



HILAIRE BELLOC

REWOLUCJA  
FRANCUSKA

CHESTERTONPOLSKA.ORG



**Hilaire Belloc**

# Rewolucja Francuska

*Wydanie pierwsze: 1911*

Przekład: Maciej Wąs

Chesterton Polska  
2018

Ilustracja okładki:

Jean-Pierre Houël: *Storming of The Bastille* .

Książka na licencji:

CC BY-NC-SA 3.0 PL

CHESTERTONPOLSKA.ORG

Słowo od tłumacza

Wstęp

Rozdział I – Polityczna teoria Rewolucji

Rozdział II – Rousseau

Rozdział III – Postaci

Ludwik XVI

Królowa

Mirabeau

La Fayette

Dumouriez

Danton

Carnot

Marat

Robespierre

Rozdział IV – Fazy

I – Od maja do 17 lipca 1789

II – Od 17 lipca do 6 października 1789

III – Od października 1789 do czerwca 1791

IV – Od lipca 1791 do września 1792

V – Od początków inwazji (września 1792) do ustanowienia  
Komitetu Ocalenia Publicznego w kwietniu 1793

VI – Od kwietnia 1793 do lipca 1794

Rozdział V – Aspekt militarny

Etap pierwszy

Etap drugi

Etap trzeci

Etap czwarty

Etap piąty

## Rozdział VI – Rewolucja i Kościół Katolicki

## *Słowo od tłumacza*

Każdy wie, że Chesterbelloc miał dwie głowy; i każdy widzi, że – historycznie rzecz biorąc – jedna głowa zjadła drugą. Chesterton trzyma się nieźle, Belloc natomiast, mimo heroiczych niemal wysiłków jednostek, to czasami jednostek naprawdę niezwykłych, wciąż pozostaje praktycznie całkowicie zapomniany. Oczywiście mowa o krajach anglojęzycznych – bo w Polsce Belloc nie tyle się nie pamięta, co po prostu nie zna. Miejmy nadzieję, że *Rewolucja Francuska*, trzecia po *Wolnej prasie* i *Państwie niewolniczym* jego książka, którą wydajemy w ramach projektu Chesterton Polska, przyczyni się, choćby w drobnym stopniu, do zmiany tego stanu rzeczy.

Choć generalnie za *opus magnum* tego autora uznaje się właśnie *Państwo niewolnicze*, przyznam, że to właśnie to dzieło, wydane ledwie rok wcześniej (1911) zrobiło na mnie dotąd największe wrażenie. Hilaire Belloc był z wykształcenia historykiem, i to w tej dziedzinie ewidentnie czuje się najlepiej, pisze najżywiej, najbardziej przekonująco, z największym rozmachem i gra o najwyższe cele (jest to tym ciekawsze, że on sam prawie nigdy nie był zadowolony z efektów swojej pracy, i nieraz odnosił się do swoich dzieł historycznych z obrzydzeniem). I istotnie, gra jest warta świeczki; bo *Rewolucja Francuska* nie jest książką historyczną taką, jak każda inna. I wyjaśnienie tego stwierdzenia można uznać za tyle wstępu, ile tutaj potrzeba – bo dzieło broni się samo.

Po pierwsze nie jest to książka zwyczajna, bo odpowiada specyficznym uwarunkowaniom czasu i dostosowana jest do potrzeb przeciętnego czytelnika angielskiego początku dwudziestego wieku. W pewnym sensie stanowi wprowadzenie do problematyki – ale wprowadzenie dość nietypowe, bo zakładające już pewien zasób wiedzy; w szkołach angielskich, jak również w całej angielskiej kulturze i literaturze, temat Rewolucji Francuskiej, jako negatywnego punktu odniesienia dla porządku wiktoriańskiego i edwardiańskiego pojawiał się bardzo często, w związku z czym Belloc decyduje się nie powtarzać podstaw, tylko od razu przechodzi do rzeczy, to znaczy: do obalania mitów, które taki przeciętny czytelnik zazwyczaj za pośrednictwem wyżej wymienionych źródeł przyswajał. Książka stanowi zatem, i sam autor formułuje to niemal dosłownie, wprowadzenie – ale do własnych *badań* nad kwestią. Dla czytelnika polskiego, przyznaję, może być to nieco uciążliwe, i być może pewne rzeczy trzeba będzie doczytać. Nie wiem zresztą, jak coś takiego mogłoby kogokolwiek zrażać, niemniej gdyby zrażało, powiem tak: niech nie zraża; zdecydowanie warto się doksztalić.

Skąd w ogóle bowiem, spytajmy, taki temat, i dlaczego Belloc uznał, że obalenie pewnych błędnych pojęć o tej właśnie kwestii jest aż tak istotne? Odpowiedź w sumie sama się nasuwa, ale – gwoli ciągłości – ubierzmy ją w słowa.

„Historia matką polityki”, powiedział ktoś; i tak przecież jest istotnie. Nie da się zaś ukryć, że Rewolucja Francuska (przez niektórych zwana Wielką Rewolucją) stanowi punkt centralny dziejów nowożytnej Europy, w ogromnej mierze odpowiedzialny nawet za kształt współczesności. Wszystkie idee, które wtedy

podjęto, wszystkie dylematy, które się wtedy narodziły, wszystkie zasadnicze spory, jakie się rozpoczęły (szczególnie spór między reakcją a demokracją, światem „starym” i „nowym”, między koncepcją poddanego a koncepcją obywatela), właściwie do dzisiaj żyją, w ten lub inny sposób, i realnie oddziałują na świadomość wielu; dlatego też właściwe zrozumienie tamtego momentu nie stanowi akademickiej ciekawostki – tylko rzecz kluczową dla naszej sytuacji współczesnej. Natomiast hasło to, „historia matką polityki”, ma swoją drugą stronę; bo istotnie, nader często to polityka jest matką historii. Jeśli jakieś problemy z przeszłości są aktualne, jeśli jakieś minione wydarzenia wciąż wywierają skutek, umysł ludzki, niedoskonały a zawsze poszukujący wieczności, zaczyna spontanicznie niemal ignorować kontekst, i postrzegać wszystko wyłącznie przez pryzmat sytuacji aktualnej. W takim wypadku, historia zaczyna się ideologizować; i fakty zaczynają służyć poglądom, a nie poglądy – dostosowywać się do faktów.

Rewolucja Francuska, ze względów zarysowanych wyżej, padła ofiarą tej przedziwnej tendencji jak żadne inne chyba wydarzenie w dziejach ludzkości; wszyscy z niej w pewien sposób jesteśmy, więc każdy chce ją mieć taką, by mu odpowiadała – by usprawiedliwiała jego miejsce na ziemi (politycznie, rzecz jasna, mówiąc). Narosło w związku z tym wokół niej mnóstwo fałszywych przekonań, które nawet w poważnej historiografii traktuje się jak pewniki. Belloc rozbija je w tej książce w puch. Z ogromną wrażliwością, dbałością i biegłością stara się odsłonić przed nami Rewolucję taką, jak była naprawdę; dyskutować o niej spokojnie, i bez zaciętrzewienia; nie deifikować jej, ani nie demonizować; nie negować popełnionych przez nią zbrodni, ale i nie przypisywać jej tego, czego nie popełniła

– i tak, analizując wszystko jak najostrożniej, trzymając się kontekstu, wygryzając w problem i brnąc aż do serca konkretnego (czasami, jak w wypadku stosowanej przezeń w rozdziale „Postaci” metody psychologicznej, balansując przy tym na granicy ryzyka), dotrzeć aż do samej „podszewki rzeczy”. Do, że tak powiem, „Rewolucji historii”.

A cóż mówi nam politycznie, co mówi nam o nas samych, ta „Rewolucja historii”? Oczywiście, tego nie powiem – bo „zabiłbym” lekturę już na samym jej początku; powiem tyle, że mówi rzeczy ciekawe, o których w Polsce prawdopodobnie nikomu się nawet nie śniło. A jeśli się śniło, to bardzo nielicznym. Dla mnie, w każdym wypadku, książka ta była (jakby to ująć, by nie dramatyzować?) w pewnym sensie „szokiem”; i, szczerze powiedziawszy, mam wielką nadzieję, że okaże się nim także dla wielu czytelników. Belloc doskonale wiedział co robi – i wiedział, że stworzenie „nowego liberalizmu”, praca, której według badacza tematu, Victora Feske’a (1996), poświęcił całe swoje życie, nie będzie łatwe.

Lecz miejmy nadzieję, że kiedyś się powiedzie; i że tytaniczny wysiłek tego wielkiego, jak mówię z pełną odpowiedzialnością, pisarza i badacza, człowieka, który ofiarował dla prawdy wiele, łącznie z karierą akademicką, o której całe życie marzył, i którą miał okazję w pewnym momencie rozpocząć, przyniesie owoc w swoim czasie; dla dobra Polski, która potrzebuje ludzi myślących prawdziwie politycznie, odważnych i nieschematycznych, którzy znajdą dla niej nowe drogi rozwoju. I dla dobra Kościoła, matki mojej, którą kocham, przy której trwam – i jakże pragnę, by – po wiekach



trudów i niepokojów – rozpostarła swe „skrzydła światła” szeroko do lotu.

Maciej Wąs,  
Sosnowiec, 21 V 2018,  
Maryi, Matki Kościoła

## ***Wstęp***

Celem tych kilku stron nie jest raz jeszcze streścić historię Rewolucji Francuskiej: kto chce, może znaleźć takie streszczenie w jednym z setki przynajmniej podręczników. Chodzi raczej o to, by – jeśli to możliwe – wyjaśnić angielskiemu czytelnikowi jej przyczyny; tak, aby mógł pojąć zarówno czym Rewolucja naprawdę była, jak i w jaki sposób przebiegała, i dlaczego sprokurowała takie właśnie a nie inne problemy, do tej pory przeciętnemu Anglikowi kompletnie nieznane.

Po pierwsze, zatem, konieczne należy wyłożyć, tak prosto, jak tylko się da, z pominięciem jej współczesnych mutacji, teorię polityczną, stanowiącą dla Rewolucji swego rodzaju religię i źródło siły motywnej; energii, z której wziął się tak nowy kodeks cywilny, jak i masakry; tak dynamiczna zmiana społeczna, którą udało się przeprowadzić, jak i rażące niepowodzenia w szczegółach aplikacji, które do dziś kładą się cieniem na tym wielkim dziedzictwie.

Następnie, należy przedstawić zwięźle zarówno łańcuch najważniejszych momentów tamtej historii, jak i sposoby, w jakie momenty te zazębiały się i wynikały z siebie – przedstawić je nie, powtarzam, w formie kroniki, ale rozprawy. Czytelnik musi wiedzieć nie tylko, że po nieudanej próbie ucieczki zaczęła się wojna, ale także jak i dlaczego się ona zaczęła. Trzeba mu zrozumieć nie tylko twardość rządów wielkiego Komitetu, ale również to, dlaczego Komitet rządził tak twardo, i z jakimi okolicznościami wojennymi miało to związek. Lecz aby ta metoda wyjaśnienia mogła zadziałać,

trzeba również omówić losy i charaktery kilku przynajmniej najważniejszych postaci tamtego czasu, bez których Rewolucja nie potoczyłaby się tak, jak się potoczyła. Tak na przykład, gdyby królowa była z krwi czy serca choć trochę Francuzką, gdyby król zachował odpowiednią czujność, gdyby ktokolwiek poza nim zachował wierność starym ideałom religijnym, cała historia wyglądałaby zupełnie inaczej – i, krótko mówiąc, jeśli chcemy zrozumieć przebieg i dramat tamtych wydarzeń, musimy zrozumieć także ludzi, którzy je tworzyli.

Później, czytelnik naprawdę zainteresowany tym kluczowym momentem historii Europy powinien pojąć (do czego zdecydowanie zbyt rzadko ma okazję) naturę jego aspektu militarnego; trudność z tym związana bierze się z dwóch przyczyn: po pierwsze, z tego, że historycy, nawet jeśli uznają wagę militarnej strony tego lub innego zjawiska dziejowego, traktują ją po macoszemu, i wydaje im się, że jedyne, co muszą zrobić, to sporządzić listę kilku ważniejszych zwycięstw i większych operacji. Tymczasem, militarny aspekt dziejów to nie zwycięstwa i operacje, lecz kampanie, których poszczególne działania wojskowe – jakkolwiek byłyby istotne – stanowią ledwie przypadkowe części. Innymi słowy, aby zrozumieć jakieś dzieje z militarnego punktu widzenia, czytelnik poznać musi przede wszystkim ruchy i charakter zmagających się armii, to zaś ma szansę uczynić ledwie bardzo rzadko. Po drugie, historycy nasi, nawet gdy faktycznie rozumieją sprawy militarne, nieczęsto pokazują je w szerszym kontekście. Píše albo historię wojenną, albo polityczną czy społeczną – i czytelnik nie jest w stanie dostrzec, w jaki sposób te dwa aspekty się zazębiają.

Rewolucja natomiast, bardziej niż jakiekolwiek inne wydarzenie historii współczesnej, zależała od spraw militarnych, i przez ich pryzmat właśnie się tłumaczy. To dokładnie z tego względu tak dużo miejsca poświęcono tutaj omówieniu tego konkretnego przedmiotu.

Bez wątpienia zwróci uwagę czytelnika fakt, że spór Rewolucji z Kościołem Katolickim również potraktowany został bardzo poważnie.

Tak mocne wyakcentowanie tego akurat aspektu zmagania rewolucyjnych istotnie może wydać się cokolwiek osobliwe, i wymaga – jak miemam – słowa wyjaśnienia.

Zachęcam Czytelnika, by, jeśli zechce, przemyślał dwie sprawy: że, po pierwsze, Rewolucja dokonała się w kraju, który w czasie wielkich wojen religijnych szesnastego i siedemnastego wieku zdecydowanie opowiedział się po stronie Rzymu; i że, po drugie, kraj ten zgodził się także na obecność wewnątrz społeczeństwa sporej grupy konwertytów, wiernych doktrynom reformacji.

Fakt, że naród francuski zdecydował się, podczas kryzysu 1572-1610, zachować katolicką tożsamość pod zwierzchnością silnej władzy centralnej, to rzecz dla historii Francji absolutnie kluczowa. Podobnie jak obecność w życiu tego narodu bogatej, bardzo znacznej, i świetnie wykształconej społeczności dysydentów. Nigdzie indziej w Europie nie współistniały ze sobą dwa tak sprzeczne zjawiska. Ich wspólne oddziaływanie nadało historii politycznej Francji unikalny charakter, który wiek dziewiętnasty, w stopniu większym jeszcze, niż Rewolucja, wydobył na światło dzienne; i w opinii autora niniejszej książki, nie da się zrozumieć Rewolucji nie biorąc na serio, i to bardzo serio, kwestii religijnej.

Jeśli można pozwolić sobie na wtręt osobisty, fakt, że autor ten samemu jest katolikiem, politycznie związanym mocno z doktryną Rewolucji, nie powinien pozostać przed Czytelnikiem ukryty. Ten zbieg okoliczności pozwolił mu bowiem być może wnikać w problem głębiej, niż czynili to dotąd ci, którzy odrzucają w całości albo republikanizm, albo katolicyzm; wierzy on wszakże również, że nie pozwolił, by jakikolwiek czysto osobisty – a więc i emocjonalny – element wkraść się w tok jego badań i zmaćł czystość opisu tego, co stanowi po prostu określony, obiektywny moment dziejów, kwestię danych raczej, niż opinii.

Kilka lat temu jeszcze, kapitalne znaczenie sporu Rewolucji z Kościołem dało się kwestionować, a przynajmniej mogli to robić ci, którzy nie mieli z tym zjawiskiem żadnych osobistych doświadczeń, i nie znali jego kolosalnych skutków. Dziś, dalsze konsekwencje, a także wzmagająca się przemoc i wrogość sprawiają, że nie da się przedstawić tamtego okresu rzetelnie, nie zajmując się przy tym porządnie także i tą sprawą.

Powyższy zarys wyjaśnia zarazem dobrze, dlaczego podzieliłem tę książkę tak, jak ją podzieliłem.

H. Belloc  
*King's Land,*  
styczeń 1911



## ***Rozdział I – Polityczna teoria Rewolucji***

Teorię polityczną, mocą której dokonała się Rewolucja, wyśmiewano już – i szczególnie w tym kraju – jako lokalną, efemeryczną i błędną. Jest to teoria uniwersalna, wieczna i prawdziwa.

Można ją krótko sformułować jak następuje: że wspólnota polityczna roszcząca pretensje do suwerenności, do moralnego prawa obrony swojego istnienia wobec innych wspólnot politycznych, czerpie polityczny i doczesny autorytet swych praw nie od tych, którzy nią w danym czasie rządzą, nie od systemu sądownictwa nawet, ale z siebie samej.

Społeczność owa wszakże nie może działać z autorytetem, o ile nie posiada zdolności do *inicjatywy zbiorowej* ; to znaczy, o ile masa jej jednostek składowych nie potrafi współdziałać celem znalezienia wyrazu dla powszechnych nastrojów, nie ma świadomości woli powszechnej, i nie wykazuje tej powszechnej jedności, która sprawia, że jako całość wspólnota owa rzeczywiście jest suwerenna.

Może być i tak, że zdolność do inicjatywy zbiorowej, i wiążącego się z nią wyrazu nastrojów zbiorowych, to rzecz niedostępna rodzajowi ludzkiemu. W takim wypadku coś takiego jak wspólnota suwerenna zwyczajnie nie może istnieć. W takim wypadku „patriotyzm”, „opinia publiczna”, „geniusz ludu” to pojęcia bez treści. Niemniej, rasa ludzka w każdym miejscu i w każdym czasie uznawała zgodnie, że takie pojęcia mają treść, i przekonanie że

wspólnota ludzka może właśnie na tych zasadach żyć, kierować sobą i być sobą, pozostaje w zupełnej zgodności z ludzką naturą i ludzkim poczuciem dobra i zła; stanowi ono znacznie bardziej fundamentalny element tej natury niż powszechne wszystkim przypadłości, determinujące ludzkie życie, jak odżywianie, rodzenie i odpoczynek; więcej – znacznie bardziej fundamentalny, niż cokolwiek, co dotyczy ciała.

Niniejsza teoria moralności politycznej, choć w praktyce może degenerować się na nieskończoną ilość sposobów, stanowi punkt odniesienia dla każdego, kto twierdzi, że pojmuje życie państwowe jako kwestię sumienia obywateli. Na niej właśnie opiera się każdy protest przeciwko tyranii, i każde potępienie obcej agresji.

Ten, który w sercu swym pała płomiennym afektem do jakiejś konkretnej maszynerii politycznej na rządzenie ludźmi, który uznaje, na przykład, sakramentalną funkcję monarchów dziedzicznych (jak w Rosji), organiczny charakter rodzimej oligarchii (jak w Anglii), mechaniczną instytucję wyborów większościowych, a nawet (w sytuacjach kryzysu) szaloną determinację, a zatem także prawo do szalonych i rozstrzygających działań, wielkich mas ludzkich, za rzecz kluczową dla zachowania bytu państwowego, zawsze – jeśli którekolwiek z tych narzędzi zawiedzie go i nie przyniesie skutków, których pragnął dla swego kraju – powróci ostatecznie do doktryny wspólnoty suwerennej. Będzie udowadniał, że choć jego ideały przepadły w wyborach, to prawdziwie narodowa tradycja i prawdziwie narodowy sentyment są po jego stronie. Jeżeli broni działań rodzimej oligarchii przed atakami trybunów ludu, czyni to zawsze argumentując (mniej lub bardziej otwarcie), że oligarchia ta

lepiej wyraża ducha narodu, wspólnoty, niż sztucznie wytworzona opinia powszechna, z demagogami (jak będzie ich nazywał) w charakterze jej tub. Nawet jeśli będzie potępiał kogoś za to, że ten miał czelność skrytykować dziedzicznego monarchę lub ograniczyć jego prerogatywy, potępi go na podstawie przeświadczenia, że taki czyn to rzecz antynarodowa, antywspólnotowa; i, jednym słowem, nikt, kto twierdzi, że jest zdrowy na umyśle, nie może przeciwstawić się w sprawach doczesnych i politycznych ostatecznemu autorytetowi tego, co w powszechnym przekonaniu stanowi (choć jakże trudno to zdefiniować!) ogólne poczucie obywatelskie, z którego bierze się państwo.

Widząc te słowa, „doczesny” i „społeczny”, musi czytelnik przejść do następnego problemu; do tego, że nawet wspólnota suwerenna nie jest autorytetem najwyższym.

Każdy, kto rozważył naturę własną i swoich bliźnich musi przyznać, że najwyższym autorytetem w każdej sprawie jest Bóg. Albo, jeśli imię „Bóg” wygląda we współczesnej angielskiej książce zbyt nienaturalnie, możemy też użyć terminu, który dla wielu zajmuje obecnie jego miejsce (choć jest bardzo niedoskonały): „zmysł moralny”.

Tak też gdyby ktoś zebrał w jakimś miejscu społeczność złożoną z kilku rodzin, tak niemoralnych albo tak zdesperowanych, że, wbrew głosowi własnych sumień i z pełną świadomością, że to, co planują, jest czymś, co określamy mianem *zła*, jednogłośnie zdecydują się to jednak uczynić, ich porozumienie, choć z pewnością nie można udowodnić tego z żadnego autorytetu o charakterze doczesnym bądź politycznym, nie daje się usprawiedliwić. Obowiązuje tu

bowiem jeszcze inny autorytet. Jeszcze łatwiej można by to dostrzec w wypadku, w którym z, powiedzmy, dwunastu rodzin siedem zdecydowałoby się (wiedząc, że to, co chcą zrobić, jest złem) uczynić jakieś zło, pięć zaś opowiedziało się po stronie dobra – a mimo tego uznano by ostatecznie, że siedem do pięciu to wystarczająca większość i wystarczający autorytet na usprawiedliwienie niegodziwości.

Należy wszakże zauważyć, że ten aksjomat obowiązuje wyłącznie w tych wypadkach, w których autorytet prawa moralnego (Boga, jak autor niniejszej książki, z całym szacunkiem do czytelników, wołałby to ujmować) jest uznawany, a mimo tego świadomie lekceważony. Jeśli owe dwanaście rodzin z pełną szczerością wierzy, że takie a takie działanie jest słuszne, wtedy – wprowadzając swoje założenia w czyn – nie tylko dysponują one pełnym autorytetem doczesnym i politycznym; ale i pod każdym względem absolutnym; i dalej, jeśli wobec jakichś podziałów większość z nich, być może nawet nie bezwzględna, a być może nawet wcale nie większość, tylko jakaś decydująca siła w ramach ich opinii publicznej – decydująca ze względu na determinację i wagę, a nie tylko liczby – ogłosi jakieś postępowanie za słuszne, w takim wypadku owa decydująca waga tej właśnie opinii nadaje temu postanowieniu autorytet nie tylko doczesny i polityczny, ale absolutny. Nie ma poza nią i ponad nią żadnej instancji, do której można by się odwołać.

Innymi słowy, można sprawiedliwie potępiać – i istotnie, zrobiono to już na tysiące sposobów – teorię, wedle której decyzja większości danej grupy z definicji musi być słuszna. Oczywiście, skoro już o tym mówimy, jest, iż jeśli jedna wspólnota suwerenna zdecyduje tak,

a druga – również suwerenna – odwrotnie, to obie nie mogą mieć naraz słuszności. Wielu ludzi rozumnych protestowało również, i też nader sprawiedliwie, przeciw koncepcji, wedle której decyzja podjęta przez większość danej społeczności, a nawet (co tym bardziej imponujące) jednogłośnie, nie tylko może być zła, ale może także dotyczyć czegoś, o czym wspólnota owa nie ma prawa decydować, ponieważ – choć posiada niewątpliwie autorytet doczesny i polityczny – czyniąc tak sprzeciwia się najwyższemu autorytetowi, jakim jest w tym wypadku jej własna świadomość dobra i zła <sup>[1]</sup> . Można – i zupełnie słusznie się to czyni – protestować przeciw koncepcji, wedle której wspólnota suwerenna nie jest zdolna rozmyślnie uczynić czegoś złego; jest do tego zdolna w takim samym stopniu, jak każdy pojedynczy człowiek. Nie da się wszakże – i tego nikt zgoda nigdy ani nigdzie nie robi – zaprzeczyć, że kiedy wspólnota polityczna działa zgodnie z własnym sumieniem, jest absolutnie suwerenna: nie ma alternatywy dla podobnie oczywistej prawdy.

Przyjmijmy zatem, jako rzecz niewątpliwą, że w sprawach politycznych wspólnota ma ostatnie słowo – choćby tylko na podstawie faktu, że żadna instytucja wewnątrz tej wspólnoty nie potrafiłaby dowieść swojego prawa do przeciwstawienia się woli powszechnej, w sytuacji w której wola ta zdołałaby się wyrazić.

Wszystkie argumenty, jakie kieruje się przeciw temu podstawowemu aksjomatowi etyki politycznej okazują się, po bardziej szczegółowej analizie, oparte na błędzie myślowym. Tak też wielu powie: „Doktryna ta wymaga od mojego kraju zrzeczenia się zwierzchności nad tym a tym narodem, gdybym wszakże się na to

zgodził, osłabię ojczyznę, której wszak jestem winien lojalność”. Doktryna niniejsza nie wymaga od niego popadania w podobne nonsensy. Wspólnota polityczna, do której należy, może z pełną swobodą bronić swego bezpieczeństwa – i z całą pewnością będzie bronić swego życia. Rzeczą uciskanych jest protestować i walczyć.

Podobnie, myśli się nieraz, że doktryny tej nie da się pogodzić z apatią i głupotą, jakie przejawiają ludzie w swoim działaniu zbiorowym w rzeczywistym świecie. Tak jednak nie jest. Apatia, głupota i wszystkie inne czynniki, które ograniczają możliwości stosowania tej doktryny, w żaden sposób nie dotyczą jej właściwych racji, tak jak fakt, iż mowa wszystkich ludzi jest niedoskonała, w niczym nie przeszkadza zasadzie, że każdy człowiek ma moralne prawo do auto-ekspresji. Że człowiek niemy nie może mówić, lecz musi pisać, nie tylko nie obala, ale raczej dowodzi prawdy o tym, że mowa stanowi dla człowieka podstawowy środek wyrazu; i na tej samej zasadzie istnienie wspólnoty politycznej niezdolnej do wyrażenia woli powszechnej nie obala, lecz dowodzi prawdziwości ogólnej zasady, że podobny wyraz i wprowadzanie w czyn podobnych decyzji to rzecz normalna dla ludzkości. Sama osobliwość kontrastu między normalnym a nienormalnym pomaga nam podjąć decyzję, i kiedy napotykamy lud podbity i nieumiejący się z tym pogodzić, ale niepodejmujący walki o niepodległość, albo lud wolny od obcego ucisku ale całkowicie bezradny wobec perspektywy samostanowienia, osobliwość tego zjawiska potwierdza regułę.

Lecz nawet jeśli to wszystko jest prawdziwe, nasz polityczny aksjomat konfrontuje się nie tylko z prostym i wtórnym

zaprzeczeniem, ale i prawdziwą krytyką; i istotnie, wszyscy ludzie z jakąkolwiek znajomością samych siebie i swoich bliźnich natychmiast dostrzegają, że, *po pierwsze*, psychologia działania zbiorowego różni się zasadniczo od psychologii działania indywidualnego, i, *po drugie*, że proporcjonalnie do liczebności, aktualnego stanu debaty publicznej, braku bliskich relacji i – ogólnie mówiąc – wewnętrznych tarć każdej dużej grupy, akcja zbiorowa wspólnoty politycznej, zbiorowa samorealizacja i egzekwowanie woli powszechnej, wszystko to staje się albo bardzo trudne albo wprost niemożliwe.

Nie należy sobie nad tym strzępić języka. Wszyscy rozumni ludzie zgodzą się co do tego, że proporcjonalnie do dystansu, liczebności i złożoności warunków, auto-ekspresja staje się stopniowo coraz trudniejsza. W narodach dużej energii i siły możemy spotkać się czasem z brutalnymi, konkretnymi i ponad wszelką wątpliwość rzeczywistymi eksplozjami woli powszechnej; to jednak bardzo rzadkie. W wypadku ludów bardziej apatycznych, możemy próbować odzwierciedlić w pewien sposób wolę powszechną przy pomocy pracującej bez przerwy maszynerii rządów deputacyjnych, która pozwala dużej wspólnotie, być może w stopniu mniejszym niż jakikolwiek inny ustrój, wyrazić siebie względnie zgodnie z prawdą. Możemy polegać na poczuciu narodowym arystokracji bądź króla. W każdym wypadku wszakże, zdajemy sobie sprawę, że znaczniejsze wspólnoty polityczne, gdy idzie o trwały zarząd nad całością ich interesu, mogą wyrażać siebie wyłącznie pośrednio i w sposób dalece niedoskonały. Nasze pragnienie, być może nader płomienne, by zawsze pozostawać w zgodzie z wolą powszechną musi realizować się albo przez dążność do ustanowienia luźnej federacji

małych, samorządnych państw, albo przez zgodę na to, by rządem centralnym państw większych wstrząsały okazjonalne insurekcje, stanowiące brutalny wyraz nastrojów społecznych, i mogące dostosować relacje rządzący-rządzeni do nowych warunków.

Wszystko to prawda: lecz podobna krytyka leżącej u podstaw Rewolucji teorii moralności politycznej, teorii wspólnoty suwerennej, wcale jej nie przeczy. Unaocznia nam tylko, że czyste prawa nie działają w sprawach ludzkich w sposób nieskrępowany, i że w pewnych warunkach może być z tym trudniej, niż w innych; nie zapewnia to ani krztyny powagi jakiegokolwiek alternatywnej tezie [\[2\]](#) \* .

Tak przedstawia się ogólna teoria Rewolucji, której mistrzowska biegłość Jana Jakuba Rousseau w języku francuskim zapewniła nieprzemijający wyraz w owej małej książce, której styl i spójność logiczną przyrównać można do jakiegoś solidnego i precyzyjnego dokonania sztuki mechanicznej. Zatyłował ją *Umowa społeczna*, i stała się ona wyznaniem rewolucyjnej wiary. Lecz choć być może żaden inny człowiek nie wyraził najpierwszej prawdy moralności politycznej tak znakomicie, prawda owa jest tak stara, jak świat; da się ją wychwycić w płomiennej retoryce setek przywódców politycznych, i to ona właśnie stoi u podstaw, a przynajmniej przejawia się w niektórych elementach, praw niezliczonej ilości wolnych państw. W języku angielskim jej najszlachetniejszą manifestacją jest prawdopodobnie *Deklaracja niepodległości* . I choć dokument ów to rzecz od rozprawy Rousseau późniejsza i (dzięki geniuszowi Jeffersona) czerpiąca z jej dziedzictwa co do niektórych swych elementów, jego język, a tym bardziej działania tych, którzy



go napisali i weń wierzyli, wystarczą by wytłumaczyć co mam na myśli angielskim czytelnikom.

Z tą ogólną teorią wiążą się, z jednej strony, pewne kluczowe zasady bez których byłaby ona kompletnie pozbawiona treści, z drugiej zespół pomniejszych rozstrzygnięć dotyczących się wyłącznie problemu konkretnej maszynerii politycznej. Owe zasady to rzecz absolutnie podstawowa dla demokracji. Rozstrzygnięcia pomniejsze zaś, pomimo całą popularność, jaką cieszyły się w czasie Rewolucji i sankcję, jaką Rewolucja im zapewniła – więcej: mimo tego, że od czasów Rewolucji są one wszechobecne, w rzeczywistości nie mają z teorią Rewolucji zgoła żadnego związku.

Typem pierwszego z tych dwóch zbiorów jest doktryna równości ludzi; drugiego – czysto „funkcjonalna” maszyneria zwana „reprezentacją”.

Doktryna równości ludzi jest doktryną transcendentálną: „dogmatem”, jak nazywa się podobne doktryny na polu transcendentálnej religii. Nie odnosi się do żadnej fizycznej rzeczywistości, którą moglibyśmy zaobserwować, i z ledwością tylko można przybliżyć ją za pomocą metafor wziętych ze świata zmysłowego. Możemy podjąć próbę jej racjonalizacji mówiąc, że to, co jest wspólne wszystkim ludziom, jest również nie tyle *ważniejsze*, co raczej *nieskończenie ważniejsze*, niż przypadłości, którymi się różnią. Możemy porównać elementy natury ludzkiej do trójwymiaru, natury jednostkowej zaś – dwuwymiaru; możemy powiedzieć, że każdy element naszej natury jest częścią powszechnej natury ludzkiej, i że wszyscy jesteśmy w tych sprawach równi potencjalnie. Żadna z tych metafor nie dociera do istoty rzeczy; i tym bardziej,

żadna z nich nie zadowoli tych, dla których dogmat ten może okazać się niezrozumiały.

Ci muszą dotrzeć do tej prawdy metodą negatywną. Jeśli ludzie *nie* są równi, żaden popis jurysprudencji, żaden akt sprawiedliwości, żaden poryw ludzkiego gniewu, żadne, najwznioślejsze nawet poczucie braterstwa, zwyczajnie nie ma znaczenia. Prawdziwość doktryny równości ludzi, jak wielu innych wielkich doktryn transcendentálnych, może być dowiedziona z potencjalnych skutków jej nieprawdziwości. Wiara w nią, to rzecz ludzka – i wierzą w nią wszystkie żywe społeczeństwa.

Z pewnością natomiast, *nie jest* ludzką rzeczą *dowieść*, że ludzie są równi – chyba że, jak powiedziałem, negatywnie; nie trzeba wszakże wcale przesadnie wygórowanej inteligencji aby stwierdzić, że bez doktryny powszechnej równości wszelkie pojęcie wolności politycznej oraz moralnego prawa każdej wspólnoty do samostanowienia po prostu znika. Wierzyć w tę doktrynę w sensie pozytywnym, wierzyć w nią płomiennie, i w imię tej religijnej wiary zwoływać krucjaty, było dla Francuzów czymś wybitnie charakterystycznym. Trzeba było właśnie by ten swoisty i dziedziczny zapal religijny Francuzów, którzy przez tak wiele stuleci element po elemencie poznawali i objaśniali naturę ludzką, pozwolił rozmyślać im się w tej definicji i czuć ją, by tak rzec, nie tyle w duszy, co w kościach. Stali się oni dla tej teorii żołnierzami, i ich kolosalny marsz przez całą Europę, który nie bez trafności porównać można do ich wielkich przygód z wieku dwunastego, czasu krucjat, nie był inspirowany żadnym elementem doktryny wolności

politycznej tak silnie, jak właśnie tak sformułowaną doktryną równości.

Pogarda, jaką powszechnie odczuwano w tamtych dniach wobec tej dumy, jaka częstokroć wiąże się z rzeczami niewrodzonymi naturze ludzkiej (najwyraźniej i najbardziej absurdalnie z czysto przygodnymi różnicami majątkowymi) nigdy nie była potężniejsza; a namiętne poczucie sprawiedliwości, owoc fundamentalnego w życiu społecznym dogmatu równości ludzkiej, które podczas Rewolucji pchnęło Francję do działań szaleńca, pchnęło ją także do działań prawdziwie twórczych.

Ci, którzy pytają, jakim cudem grupa rządzących, zmuszona mierzyć się wewnątrz z gwałtownym konfliktem politycznym, a zewnątrz z wielką wojną powszechną, znalazła w ciągu dwudziestu lat czas aby opracować kodeksy prawne, determinujące ustrój współczesnej Europy, położyć podwaliny pod powszechną edukację, pod ściśle bezosobowy typ administracji, a nawet w szczegółach odmienić materialny kształt społeczeństwa – jednym słowem: stworzyć nowoczesną Europę, jaką znamy dzisiaj – muszą zadowolić się taką odpowiedzią: że ta republikańska energia miała za swój ogień i podniecie dokładnie tę wizję: niemal fizyczne poczucie równości wszystkich ludzi.

Owe pomniejsze rozstrzygnięcia, które wplotły się w demokratyczną praktykę podczas Rewolucji, które nie wchodziły w skład jej źródłowych zasad i które, gdyby rozważano je w abstrakcji, nie miałyby wpływu na jej istotę, to już inna – i znacznie mniej szlachetna – sprawa. Jako typ wybrałem sobie tutaj maszynę deputacji, względnie tak zwanej „reprezentacji”.

System reprezentacji opracowano dla bardzo konkretnych celów pod wpływem Kościoła, szczególnie zakonów monastycznych (które go wynalazły) w czasach średniowiecza. Używano go jako skutecznej przeciwwagi dla francuskiej monarchii narodowej, skutecznej formy wyrazu woli narodowej w czasie kryzysu albo takim, w którym inicjatywa całego narodu była szczególnie pożądana.

W miarę trwania wieków średnich w Hiszpanii system ów stał się rzeczą bardzo narodową i bardzo lokalną, funkcjonującą różnie w zależności od miejsca. Nie jest zatem niespodzianką, że Hiszpania (na której terytorium miały miejsce pierwsze eksperymenty z reprezentacją) zachowała go do dziś, jako system popularny i wciąż żywy.

W Anglii reprezentacja, żywotna jak wszędzie indziej w wiekach średnich, pod ich koniec zwiędła i uległa zepsuciu, a w wieku siedemnastym przemieniła się w zwykłą fasadę dla rządów arystokratycznych.

We Francji, niemal dwa wieki przed Rewolucją system ów całkowicie zarzucono, wciąż trwało jednak po nim żywe wspomnienie; szczególnie wspomnienie wartości, jaką okazał w momentach krytycznych, w których niezbędna były konsultacje z całym społeczeństwem, i kiedy tylko inicjatywa zbiorowa całego ludu mogła ocalić państwo od zguby.

Nie ma się więc co dziwić, że Francuzi, w przededniu Rewolucji krzyczeli o odrodzenie reprezentacji, czy też – jak nazywano ten system we francuskim języku – „Stanów Generalnych”. Niemniej,

nikt w Europie nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób system ten – jako zwykła machina polityczna – mógłby przysłużyć się demokracji i jej właściwym celom. W Anglii na przykład, demokracji nie było – a reprezentacja nawet w założeniach nie miała z nią nic wspólnego. Naród zapomniał demokrację całkowicie, podobnie jak religię i stare ideały wieków średnich.

W tych częściach chrześcijaństwa, w których starożytna, chrześcijańska instytucja parlamentu nie skurczyła się do stanu zwykłej maski rządów oligarchicznych czy jednego z obyczajów prowincji, przestano z niej w ogóle korzystać. Starożytna funkcja reprezentacji, w czasie, gdy była najżywsza i najmocniejsza, to znaczy: w średniowieczu, okazjonalnie kierowała polityką narodu w momentach kryzysowych, ale generalnie służyła do regulacji podatków. W 1789 roku nikt nie zdawał sobie sprawy, co tak naprawdę może się stać z demokratycznym parlamentem.

Istniał wtedy ledwie jeden znaczniejszy przykład demokratycznej reprezentacji: Stany Zjednoczone; niemniej, warunki amerykańskie były całkowicie różne od warunków europejskich. Nie istniał tam jeszcze żaden prawdziwy rząd centralny; nie było żadnej w ogóle centralnej instytucji odziedziczonej po czasach minionych, czy to korony, czy obyczaju, czy praw. Wielkość społeczeństwa, któremu amerykańska reprezentacja wtedy przewodziła, nie dawała się porównać do dwudziestu pięciu milionów francuskich poddanych. A nawet w takiej sytuacji, większość ważnych spraw w życiu Amerykanów regulował system zaawansowanej autonomii lokalnej; jako iż populacja Amerykanów była równie nieliczna, co rozproszona, a los jej najlepszej części zależał od niewolników. W

Europie, powtarzam, tego eksperymentu nie próbowano przeprowadzić; i jednym z największych błędów rewolucjonistów we Francji było to, że – zmuszeni w krytycznym momencie Rewolucji do skorzystania z instytucji wyborów i reprezentacji – uznali nieustanną pracę tego typu maszynerii za rzecz świętą i normalną dla państwa demokratycznego.

Prawda – nie mogli przewidzieć współczesnego parlamentaryzmu. Nic nie mogłoby być bardziej obce ich koncepcji państwa, niż owa ohydna metoda polityczna, którą parlamentaryzm pomału zaczyna wprowadzać wszędzie.

Prawda – lud francuski w czasie wojen rewolucyjnych rozstał się z teorią parlamentarną bardzo szybko, i zdecydował, że rzeczą bliższą duchowi narodu jest uznać zwierzchność żołnierza (zważając, że niemal wszyscy Francuzi byli wtedy żołnierzami), i ucieleśnić wolę narodową w osobie dyktatora.

Lecz choć francuscy rewolucjoniści nie mogli przewidzieć tego, co nazywamy dzisiaj „parlamentaryzmem”, i choć społeczeństwo, z którego się wywodzili, szybko pożegnało się z oligarchicznymi tendencjami własnego parlamentu kiedy wymagały tego warunki zmagania narodowych, naprawdę odnosili się oni do maszynerii reprezentacji i wyborów z niemal absurdalnym nabożeństwem.

Posunęli się do tego, że próbowali wkomponować ją także do zamierzonej reformy Kościoła; wprowadzali ją do wszystkich elementów systemu państwowego, od najważniejszych do najmniej istotnych. Przez moment bawili się tym złudzeniem nawet w jednej z najbardziej poważnych zabaw, w jakich ludzie mogą uczestniczyć –

w kwestiach militarnych: pozwolili wyłaniać oficerów na drodze głosowania. Przyczyną tego był bardzo częsty błąd, bardziej wybaczalny w ich wypadku niż w naszym, polegający na pomyleniu woli indywidualnej z powszechną. Reprezentant (myśleli) mógł w pewien sposób pozostawać w stałym kontakcie ze swym elektoratem. Wydawało im się, że inicjatywa zbiorowa jest zawsze wystarczająco żywotna, niezależnie od wszelkich podziałów i podpodziałów, aby w każdym momencie wpływać na delegata, powozić nim jak zwierzęciem użytkowym, albo rozkazywać mu jakby był służącym.

I na próżno Rousseau, wielki interpretator teorii demokratycznej, mocą której Francja starała się działać, przestrzegał potomnych przed możliwymi skutkami wprowadzenia systemu reprezentatywnego: popadli w ten błąd, i wiele z ich dzieci wciąż nie potrafi się z niego wyzwolić.

Przenikliwy umysł Rousseau nie odkrył tak naprawdę nic innego od ogólnej prawdy, że ludzie pod władzą systemu reprezentatywnego są wolni wyłącznie wtedy, gdy ich reprezentanci nie obradują. Niemniej (jak to często bywa z intuicjami geniuszy) choć nie dostrzegał on wszystkich elementów tego zła, udało mu się trafić w samo sedno, i z tej kluczowej i sprawiedliwej zasady, którą opracował – że pod zwykłą władzą reprezentatywną ludzie nie mogą osiągnąć prawdziwej wolności – biorą się wszystkie nieszczęścia, jakie – jak już teraz wiemy – łączą się z tą formą rządów. Część tej prawdy stanowi także to, co w niezdarnym cokolwiek epigramie określone zostało mianem „wyniosłości wybranych” <sup>[3]</sup>. Jawne oczom widowisko, w którym współcześnie rządzone parlamentarnie

narody wciągane są wbrew swojej woli w system ekonomiczny, który je obrzydza, ma swoje źródło w tej samej prawdzie; z tej samej prawdy pochodzi ewidentna i serdeczna pogarda, w jaką popadły wszędzie parlamentarne instytucje – a także inna jeszcze, pochodna temu wszystkiemu zaraza, mianowicie: to, że przedstawiciele stali się dziś bardziej słuźalczy od swego elektoratu, i że we wszystkich rządzonych parlamentarnie krajach depozytariuszami władzy pozostaje ledwie kilku niegodnych intrygantów, którzy wysługując się instytucjom finansowym sprawiają, że ostatecznie rządzi nami wszystkimi banda lichwiarzy. Rousseau, powiadam, najważniejszy prorok Rewolucji, przestrzegał Francuzów przed tym niebezpieczeństwem. To kapitalny przykład jego talentu – bo przecież demokratycznego eksperymentu jeszcze w jego czasach nie przeprowadzono. Lecz czymś znacznie większym jest ta jego osobista moc, dzięki której wybił ze złota demokracji monety z godłem, którego nigdy wcześniej nie widziano na świecie. Nie ma człowieka, który potrafiłby stworzyć samemu lud czy jego wiarę – Rousseau wszakże jak nikt wcześniej stał się głosem wiary swego ludu, i czymś wartym wysiłku, a wręcz niezbędnym, jest dla każdego, kto stara się zgłębić dzieje Rewolucji, przemysleć na początku przemożny wpływ, jaki wywarł Rousseau na tych, którzy w latach 1789-94 zmienili kształt Europy.

Z jakiego powodu zdominował on całe te pięć lat – i w jak to możliwe, że jego dominacja z każdą chwilą stawała się coraz większa?

Wyjaśnienie siły wpływu Jana Jakuba Rousseau zasługuje na osobną dygresję, jako iż ledwie niewielu spośród posługujących się



językiem angielskim postarało się zrozumieć jej naturę, w salach akademickich zaś, różni prowincjusze z pełną bez troską zajmowali się tym wielkim pisarzem tak, jak gdyby był od nich kimś zwyczajnie pośledniejszym.

## *Rozdział II – Rousseau*

Aby odpowiednio zrozumieć znaczenie Rousseau dla ruchu rewolucyjnego, należy przyrzeć się bliżej roli stylu w życiu człowieka.

Ludzie działają pod wpływem słów. Mówione czy pisane, to *słowo* właśnie stanowi narzędzie perswazji, a zatem – moralnego rządu dusz.

Teraz, niezależnie od tego, jak bardzo zdegenerował się ów termin ostatnimi czasy, nie ma innego pojęcia na oddanie określonego sposobu dobierania słów, niż właśnie „styl”.

Styl to po prostu słowa, które dobieramy, i porządek, w jakim je dobieramy; i ktoś, kto pragnie wpłynąć jakoś na swoich bliźnich, ma do dyspozycji dwa skorelowane ze sobą narzędzia. Nie da się używać jednego bez drugiego. Słabość jednego stanie się słabością drugiego. Owe dwa narzędzia, to idea – i styl.

Jakkolwiek porywająca, rodzima, zestrojona z duszą słuchaczy czy możliwa do udowodnienia na podstawie najnowszych danych mogłaby być czyjaś idea, nie przekona on do niej nikogo, jeśli nie będzie potrafił jej odpowiednio wyrazić. Siła jego perswazji zaś, zależy od tego, czy słowa, których użyje, będą dobrze dobrane i ułożone właściwym porządku – porządku stosownym do geniuszu języka, z którego pochodzą.

Kwestią czy idea, której Rousseau stał się za pośrednictwem swego najśłynniejszego dzieła wielkim reprezentantem jest fałszywa czy prawdziwa, nie musimy się już więcej na łamach tej krótkiej książki zajmować. Wszyscy wiemy, że trudne przedsięwzięcie, jakim jest próba praktycznego urzeczywistnienia wolności politycznej, fascynowała wiele grup ludzkich w bardzo różnych epokach – i równie wiele obrzydzała. Tym, o czym angielscy czytelnicy z rzadka tylko słyszą, jest fakt, że przyczynę tryumfu Rousseau stanowił nie tylko pierwszy składnik perswazji – wizja intelektualna – ale również drugie spośród dwóch skorelowanych ze sobą narzędzi, przy pomocy których możemy wywierać wpływ na naszych bliźnich – mianowicie: styl. To właśnie jego sposób doboru słów języka francuskiego – oraz porządek, w jakim je układał – zapewniły mu tak wielką władzę nad pokoleniem, które w czasie jego starości przeżywało młodość.

Poczyniłem już drobną aluzję do owego słynnego traktatu, *Umowy społecznej*, tutaj zaś możemy powiedzieć drugą z najważniejszych rzeczy jej dotyczących. Dzieło to, które stało się potem najistotniejszą inspiracją Rewolucji, punktem odniesienia dla jej dokumentów i teorii politycznej, w żadnym wypadku nie wyczerpuje (jak czytelnicy zagraniczni zdają się czasem sobie wyobrażać) całego dorobku, za jaki Rousseau ponosi odpowiedzialność. Sądzić coś takiego, to popełniać nader częsty błąd pomylenia autora z książkami.

Rousseau pisał na wiele tematów: był to typ skłonny do uniesień, nerwowy, niemalże chorobliwy. Jego przesadna wrażliwość zdegenerowała się z biegiem lat w coś nieodróżnialnego od manii. Pisał o edukacji – i wspaniałość stylu dodawała mocy jego

przekonaniom zarówno w tych wypadkach, w których miał rację, jak i w tych, w których ledwie krótkie doświadczenie jednego wieku miało wykazać mu błąd. Pisał o miłości – i przynajmniej połowa z tego, co napisał, nie może wydać się godziwa zdrowemu człowiekowi. Pisał również sporo o botanice; pisał o muzyce – z jakimi sukcesami, w jednym czy w drugim wypadku, nie potrafię niestety określić. Pisał o nierównościach między ludźmi: i choć jego sentencje były piękne, a sentyment prawy, analizy, które sporządził – bardzo niewystarczające, a koncepcje historyczne po prostu złe. Pisał o projekcie światowego pokoju – i to kompletne bzdury; a także o rządzie polskim – i esej ów, to niedoścignione arcydzieło.

Ale gdy wielki pisarz pisze, każde z jego dzieł zaczyna żyć własnym życiem – i to nie żadne z powyższych dzieł, ani te o miłości, ani o botanice, nie stały się inspiracją Wielkiej Rewolucji. Inspiracją Rewolucji stała się *Umowa społeczna*.

Nie jest żadną przesadą powiedzieć, że w historii myśli politycznej żadna teoria nie została nigdy wyłożona w sposób równie jasny, przekonujący, zwięzły i precyzyjny, jak w tej króciutkiej i cudownej książce. Współczesnemu wydawcy w tym kraju wstyd byłoby ją wydrukować: nie ze względu na wyrażone w niej poglądy (które dzisiaj wydałyby mu się trochę banalne), nie ze względu na jej doskonałość, przez którą nie miałyby szans na rynku, ale ze względu na jej zwięzłość. Jest tak krótka, jak Ewangelia – i można by jej poświęcić najwyżej sto stron poważnej recenzji. Współczesny wydawca zamieszkały w tym mieście nie wiedziałby nawet, jakiej ceny zażyczyć sobie za taką publikację, współczesny czytelnik zaś – jak można dojść do podobnie wielkich rzeczy podobnie wąską

ścieżką. Transkrypcja debaty parlamentarnej, czy libretto dłuższej pantomimy, ma więcej stron.

Niemniej, jeśli czytać *Umowę społeczną* z należytą uwagą, okaże się, że mówi ona wszystko, co jest do powiedzenia o moralnym ugruntowaniu demokracji. Założenie o fundamentalnej ignorancji nas wszystkich w sprawach historii państwowości znajduje wyraz w pierwszych kilku zdaniach. Logiczne pierwszeństwo rodziny wobec państwa – zaraz potem. Idiotyczna i haniebna teza, jakoby władza pochodziła z siły – której zresztą nigdy nie wyznawał absolutnie nikt poza grupką ludzi powierzchownych bądź niedouczonej – zostaje z pełną pogardą obalona na podstawie bardzo prostego dowodu, stanowiącego treść rozdziału trzeciego – który nie zajmuje nawet pełnej strony. Dopiero w rozdziale czwartym przechodzi Rousseau do kwestii zasadniczej, którą omawia z niespotykaną wprost biegłością – przy czym logiczne pierwszeństwo *zgody zbiorowej* wobec jakiegokolwiek konkretnej formy rządów stanowi kamień węgielny tej analizy. Stąd właśnie zaczerpnięty zostaje tytuł całej książki: władza moralna ludzi w każdej społeczności wynika z ich *świadomej zgody* ; czy też, precyzyjnie mówiąc, właśnie umowy społecznej. Wszystko, co wiąże się z demokracją jako ustrojem opartym na jedynym możliwym autorytecie moralnym państwa, wyprowadza on stąd jako z pierwszej zasady i rozwija, tworząc dzieło nadzwyczajne, które w stopniu większym, niż jakiegokolwiek inne pismo niereligijne, zaważyło na losach ludzkości.

Dla człowieka dobrze obeznanego ze sprawą – a także z treścią *Umowy społecznej* – czymś, istotnie, poniekąd zdumiewającym jest zarejestrować, jakie zarzuty formułowali pod adresem tego dzieła ci,

którzy go nie przeczytali, albo też przeczytawszy – niedostatecznie zrozumieli, ze względu na niedoskonałą znajomość znaczenia terminów swoistych języka francuskiego. Dwa wielkie kontrargumenty – jeden natury teoretycznej, drugi praktycznej – na które demokracja musi odpowiedzieć, zostają na tych kilku stronach wprost prześwietlone na wylot, choć ze względu na krótkość traktatu autor byłby w pełni usprawiedliwiony, gdyby się nimi nie zajął. Argument teoretyczny przeciw demokracji mówi, rzecz jasna, że ponieważ człowiek ma skłonność do zła, władza powinna mieć charakter zewnętrzny i pozostawać nieczuła na wstrząsające nim namiętności; że każdy lud żyje w zepsuciu, ale despota czy oligarchia, zaspokoivszy swe grzeszne pragnienia, wciąż ma pewne pole, na którym może realnie rządzić – właśnie ze względu na osobistą obojętność. Granicę możliwej korupcji w rządzie oligarchicznym czy despotycznym wyznaczają pragnienia despoty czy oligarchy i nie da się ich przekroczyć – kiedy wszakże cały lud może dawać upust swojemu zepsuciu, nie ma tu już żadnego limitu, i bezsprzecznie wpłynie to zgubnie na całość ładu państwowego.

A zatem, pisze Rousseau, pełnia praktyki demokratycznej to rzecz odpowiednia dla aniołów raczej, niż ludzi.

Co do praktycznego argumentu, że ludzie nie mają dostatecznej świadomości zasad funkcjonowania państwa by móc rządzić nim w sposób demokratyczny, chyba że we wspólnotach bardzo małych rozmiarów – teza niniejsza zostaje sformułowana lepiej i z większym zrozumieniem, niż w jakimkolwiek innym wypadku. Bo książka ta to nie apologia demokracji jako metody sprawowania władzy, ale wyjaśnienie powodów, dla których demokracja jest słuszna.

Głupim pomieszaniem intelektualnym, polegającym na uznaniu rządu reprezentatywnego za demokratyczny *par excellence* nigdy nie zajęto się bardziej zdecydowanie i z większą pogardą, niż w owych kilku słowach, w których *Umowa społeczna* obala tę tezę ostatecznie i na wieki wieków; choć to naszym czasom przyszło dopiero przekonać się, w szkole nader nieprzyjemnego doświadczenia, jak wielką słuszość miał Rousseau w tej konkretnej krytyce.

Choć ten wielki pisarz musiał nadać teorii demokratycznej jej ostateczne ramy dosłownie na strzępku papieru, znajduje on jeszcze jakimś cudem sposób, by włączyć do rozważań kilka problemów pobocznych, które tylko w tej książce i nigdzie indziej poddane zostały uporządkowanej analizie – i to analizie, która – jeśli usłyszeć choćby niewielki jej fragment – natychmiast uderza czytelnika jako znak niezwyklej mądrości: że prawa fundamentalne, czy też pierwotne i najistotniejsze relacje społeczne, nowej demokracji, muszą pochodzić ze źródła zewnętrznego; że stosownie do natury danego ludu, władza ustawodawcza – niezależnie od stopnia demokratyczności ustroju państwowego – musi podporządkować się tym a nie innym urządzeniom prawnym; że demokracja koniecznie potrzebuje „trybunów”; że nie może istnieć w państwie żadne prawo ściśle niewzruszone i nieodwołalne – stąd konieczność dyktatury na czasy przejściowe; że żaden kodeks prawny nie potrafi przewidzieć wypadków przyszłych – i tak dalej.

Zupełnie usprawiedliwionym i niezmiernie przyjemnym zajęciem byłoby rzucić komuś, kto nie czytał *Umowy społecznej* (a można by wybierać spośród większości autorów dotyczących tego dzieła

rozpraw akademickich), rzucić – jak powiadam – choćby jednemu takiemu człowiekowi małe wyzwanie i poprosić, by spróbował sformułować chociaż jeden argument przeciwko teorii demokratycznej, którego nie dałoby się znaleźć na tych kilku stronach, czy wskazać jedno ograniczenie tego ustroju, o którym Rousseau przynajmniej nie wspomniał.

Gdyby ktoś potrzebował koniecznie dowodu szczególnej wartości tej małej broszury, wystarczyłoby wskazać choćby na fakt, że w czasach, w którym rozumienie problemu religijnego stało na najniższym chyba poziomie w całej historii, gdy praktyki religijne przeżywały swój najostrzejszy kryzys, i kiedy sam sens instytucji religii stawał się dla umysłów ludzkich czymś coraz bardziej i bardziej egzotycznym, Rousseau okazał się zdolny napisać jej ostatni rozdział.

Że wielkie odrodzenie religijne wieku dziewiętnastego dowiodło niewystarczalności jego poglądów na rolę religii w państwie, to żadne zaskoczenie – bo w czasie, gdy je formułował, nikomu się o podobnym odrodzeniu ani nawet nie śniło; prawdziwym zaskoczeniem jest natomiast to, że ktoś w tamtej epoce w ogóle uwzględnił rolę sentymentu religijnego w kwestiach politycznych i – przede wszystkim – dostrzegł, że pewnej części dogmatów chrześcijańskich zwyczajnie nie da się włączyć do religii społecznej.

Czymś tym bardziej nieprawdopodobnym jest, że wobec takich uwarunkowań czasu znalazł się człowiek, który rozumiał, że dla zachowania jedności państwo musi posiadać *jakąś* religię, i podjęta przez Rousseau próba określenia tego minimum religijnego, czy może tej absolutnej podstawy religijnej, bez której jedność



państwowa nie może się utrzymać, stało się dla europejskich polityków – szczególnie polityków angielskich z późniejszych pokoleń – zupełną oczywistością. Kto nie pomyślałby sobie, na przykład, gdyby natknął się bez kontekstu na takie choćby słowa dotyczące tego, czego powinno uczyć się dzieci w państwowych szkołach, że czyta po prostu przemówienie jakiegoś „liberalnego” polityka z Westminsteru (choć napisane niewątpliwie lepiej, niż umiałby to zrobić jakikolwiek polityk)?

„Punkty doktryny państwowej winny być krótkie, nieliczne, wyrażone precyzyjnie i pozbawione wyjaśnień czy komentarza. Istnienie Boga – potężnego, życzliwego ludziom, troskliwego i dobrego; szczęście cnotliwych i kara dla złych; świętość zespalających społeczeństwo ustaleń i praw; co do jej punktów negatywnych, wystarczy tylko jeden – nikczemność nietolerancji” [\[4\]](#) .

Sto stroniczek, które wyszły spod pióra Rousseau, to bezpośrednie źródło nowoczesnej teorii państwa; klarowność i niezrównana ekonomia ekspresji; ścisłość analizy, epigramatyczna niemalże bystrość sądu i mądrość – to właśnie owe wody podziemne, z których czerpie strumień współczesnej demokracji; to, co obecnie okazuje się błędami ustroju demokratycznego, to w każdym wypadku coś, przed czym autor *Umowy społecznej* przestrzegał swoich czytelników; moralna apologia demokracji jest zawsze dokładnie taka sama, jak ta, którą napisał Rousseau; i jeśli w tej jednej kwestii – kwestii religijnej – zdarzyło mu się wygrać nutę nieco mniej wyrazistą i czystą, niż w innych, koniecznie należy pamiętać, jaką rolę odgrywała wtedy religia w życiu człowieka; bo w jego dniach owi nieliczni, którzy autentycznie się nią zajmowali i ją

praktykowali, nie potrafili w żaden sposób wykazać jej związku z polityczną naturą człowieka – spośród tych zaś, na których barkach faktycznie spoczywała praca intelektu europejskiego, zdecydowana większość uważała, że problemy polityczne rozwiąże się lepiej, jeśli będzie się traktować religię (z którą stracili już wszelki związek) po macoszemu. Mylili się – Rousseau zaś, w swoich kilku ogólnych sądach dotyczących duszy, na pewno nie wyczerpał sprawy; i oni i on nie dorastali do zawrotnych wysokości ostatecznej teorii człowieka, niemniej: Rousseau był znacznie bliżej jej zrozumienia, nawet co do elementu religijnego, niż którykolwiek z jego współczesnych.

## *Rozdział III – Postaci*

### *Ludwik XVI*

Jak można by się spodziewać, historycy wyrządzili Ludwikowi XVI większą krzywdę, niż jakiegokolwiek innej postaci rewolucyjnego dramatu; stało się tak zaś dlatego, że w jego wypadku cechy osobiste w naturalny sposób przeplatają się z cechami pełnionego przezeń urzędu, tradycyjnie związanego z pewnym zespołem punktów widzenia i metod działania, który większość dziejopisarzy – rozważając charakter tego człowieka – przyjmuje za pewnik. Podobnie zatem jak nie da się myśleć o angielskim sędzi z pewną pozycją w systemie nie zakładając, że to osoba o określonym stopniu uczoności, osobistej powagi itp.; podobnie jak słysząc o słynnym żołnierzu nie da się nie przyjmować, że odznacza się on pewnymi charakterystycznymi cechami, nieodłącznie związanymi z żołnierką, tak też historycy niezmiennie często mylą osobowość i charakter Ludwika XVI z charakterem urzędu francuskiego monarchy; skutkiem czego albo z niechęci zbyt ostro atakują jego niegodne króla ułomności, albo przeciwnie: z sympatii wyolbrzymiają prawdziwie królewską godność i zdecydowanie jego oporu wobec reform.

Badacz Rewolucji dobrze uczyni, jeśli wystrzeże się będzie podobnego błędu i jego źródeł, i spojrzy na Ludwika XVI przede wszystkim jako na człowieka, który objął swój urząd niemalże przypadkowo, praktycznie bez żadnego przygotowania. Innymi

słowy, badacz taki uczyni dobrze, wręcz bardzo dobrze, jeśli próbując rozczytać dzieje Rewolucji, postara się zrozumieć Ludwika XVI przede wszystkim jako osobę, i charakter jego – właśnie jako charakter osoby. Bo istotnie, monarcha ten, ostatni z długiej, nieprzerwanej linii Kapetyngów, miał usposobienie wybitnie wprost indywidualne. Był to typ człowieka, który nawet wobec skrajnych przeciwności fortuny nie zmieniłby się ani na jotę. I faktycznie, żaden z wielkich tego świata nie zmienił się *mniej* pod wpływem powagi i odpowiedzialności pełnionego urzędu, niż on.

Podobna nieczułość na wpływy otoczenia może wynikać z jednej z dwóch przyczyn: albo z wytężonej i żywotnej inicjatywy osobistej, mogącej graniczyć z szaleństwem, albo ze szczególnych uwarunkowań konstytucji moralnej, jak gdyby czegoś ciężkiego i twardego, co chroni charakter wewnętrzny osoby przed ingerencją zewnętrzną. W wypadku Ludwika, chodziło o przyczynę drugą.

Myślał wolno, decyzje podejmował jeszcze wolniej. Poruszał się wolno. Szczególnie ruch jego oczu – był bardzo, bardzo wolny. Potrafił zasnąć ze zmęczenia w najbardziej nieodpowiednich momentach. Śmieszyły go tylko rzeczy najgrubsze, i najbardziej powierzchowne. Zwykle prostactwo, czasem z lekkim odcieniem ekscentryzmu, i bardzo płaskie, choć zaskakujące, dowcipy. Można by opisać go, z pewnego punktu widzenia przynajmniej, tak, że był to człowiek, którego nigdy do niczego nie dało się przekonać. W tych kilka poglądów, w które naprawdę wierzył, wierzył bardzo prosto, i tok rozumowania kogokolwiek, z kim rozmawiał, zawsze był dla niego za szybki. Nie należy jednak bynajmniej mniemać, że ta swoista „powłoka moralna” skrywała tępą pustkę. Przeciwnie –

skrywała ona osobowość mocną i wyrazistą. Bo Ludwik rzeczywiście w coś wierzył – i choć była to wiara bardzo ograniczona, to jednak bardzo osobista, której nie dało się jej w żaden sposób osłabić. Wierzył, na przykład, w istnienie i wartość tradycji społecznej organizmu, którym przyszło mu kierować: narodu francuskiego. Był, inaczej mówiąc, człowiekiem narodowym. Tym właśnie różnił się od wielu snobów, wielu dworaków, wielu duchownych, i wielu kobiet ze swojego otoczenia – szczególnie swojej żony.

Kolejno, wierzył gorąco we wszystkie artykuły doktryny katolickiej.

W tamtej epoce, stanowiło to – istotnie – prawdziwą osobliwość w wypadku kogoś takiego jak on: dochować wierności religii, niemniej Ludwik naprawdę był jej wierny. Spowiadał się, komunikował, słuchał mszy, wypełniał wszystkie obowiązki religijne – i nie tylko jako reprezentant pewnej tradycji, racji politycznej, czy funkcji państwowej (czyli tak, jak pojmowała to znaczna większość jego współczesnych), ale jako jednostka, dla której wszystkie te rzeczy przedstawiały wartość głęboko osobistą. Gdyby obudził się pewnego pięknego dnia jako zwykły ziemianin, i przekonał się, że całe jego panowanie to był ledwie długi sen, nie zmieniłoby to w sprawie jego praktyki religijnej zupełnie nic.

Jest to rzecz sama w sobie wystarczająco nadzwyczajna, ponieważ ziemianin, szlachcic, prawnik, czy profesor uniwersytecki pokolenia bezpośrednio przed Rewolucją, nie mieli – z reguły – żadnego pojęcia o Kościele Katolickim. W ich wypadku, wiara była martwa, może z wyjątkiem tych nielicznych, którzy – jeśli można tak powiedzieć bez lekceważenia – zamienili ją w coś w rodzaju manii, i

których przesadność sama w sobie stanowi dowód zepsucia, jakie toczyło w tamtym czasie Kościół Gallikański.

Ludwik XVI, zatem, naprawdę był religijny: okazywało się to w wielu jego działaniach, w wahaniu, jakiego doświadczał mając mianować wielu spośród niezwykle licznych biskupów-ateistów swojego wieku, w prawdziwym konaniu, które przeszedł – z autentycznego poczucia odpowiedzialności – w związku z konstytucją cywilną kleru, w niczym bardziej zaś, niż w owej osobliwej trzeźwości umysłu i drobiazgowości rytuału, z jaką przygotowywał się na swoją tragiczną, nagłą i haniebną śmierć.

Następnie, należy zauważyć, że choć nie osiągnął jeszcze wieku średniego, i choć zapał i gorliwość nie były jego mocną stroną, pracował nad sobą i osiągnął niemałą odwagę. Był biegłym i zdecydowanym jeźdźcem: umiejętność ta zaś, zawsze pozostanie obca pospolitym tchórzom. Kolejno, wyraźnie posiadał te wszystkie cechy, które nieodłącznie towarzyszą osobistej odwadze; na przykład, potrafił stawić czoła nawet naprawdę licznym grupom adwersarzy, i bardzo dobrze radził sobie ze sztuką mechaniczną – co dla mężczyzny bynajmniej nie jest bez znaczenia.

Skoro zaś mowa o jego męskości, niezwykle istotne jest dla badacza pamiętać – choć możemy poruszyć tutaj ten wątek ledwie bardzo pobieżnie – że Ludwik cierpiał na wstydliwą przypadłość fizyczną, która poważnie (i bardzo negatywnie) odbiła się na pierwszych latach jego małżeństwa, bez wątpienia zraniła jego poczucie własnej wartości, i stanowiła w jego wypadku być może jedyny poważny czynnik życiowego niepokoju. Ostatecznie, lekarze zdołali go z niej wyleczyć – w lecie roku 1777 – niemniej szczęście

to przyszło na niego gdy był już od trzech lat królem, i od siedmiu lat mężem. Tragedia ta wywarła wpływ na całe jego życie, i – powtarzam – rozważając jego relacje intymne z Marią Antoniną, czy też rolę, jaką para ta odegrała w tym wielkim dramacie, należy zawsze mieć to na uwadze.

Co do reszty, Ludwik istotnie wykazywał pewne braki charakteru (przy czym „brak” to tutaj znacznie lepsze słowo, niż „słabość”), które okazały się szczególnie szkodliwe w kwestii związanych z jego urzędem funkcji wojskowych, oraz w czasie kryzysu militarnego, któremu musiał sprostać.

Tylko bardzo niewielu obdarzonych zostało ową bystrością oka, lotnością myśli, zdolnością szybkiego podejmowania decyzji czy zrozumieniem międzyludzkich różnic i odcieni ludzkiej osobowości, które są niezbędne dla każdego biegłego dowódcy sił wojskowych, czy małych czy wielkich. Większość ludzi ma te wszystkie cechy w stopniu co najwyżej średnim. Ludwik wszakże, nie miał ich prawie wcale. Nie potrafił rozczytać najbardziej oczywistych układów strategicznych, ani ocenić należycie wartości militarnej jakiejkolwiek grupy. Był dobrym jeźdźcem – nie potrafił jednak jechać na czele kolumny. Nie tylko był w tym słaby – był absolutnie żaden. Gdyby powołano go do armii jako szeregowca, nigdy nie powierzono by mu nawet obowiązków kaprała. Stopień sierżanta pozostawałby już całkowicie poza jego zasięgiem; gdyby zaś ukończył, jakimś cudem, szkołę oficerską, zrobiłby z siebie takie pośmiewisko, że musiałby złożyć dymisję.

Brak ów objawił się nie tylko, a nawet nie głównie, w jego niezdolności do odnalezienia się w realiach kryzysu militarnego,

jakim jest każda rewolucja; nie tylko w całkowitym załamaniu nerwowym, jakie przeszedł w związku ze szturmem na pałac 10 sierpnia: ale także – i przede wszystkim – w katastrofalnej nieumiejętności doboru doradców wojskowych.

Ci, którzy postulują, w pierwszych dniach Rewolucji, użycie przeciwko paryskim tłumom siły, to znakomici dowódcy: niemniej, Ludwik tego nie wie. Ci, którzy piastują kolejno stanowisko ministra wojny, czy wodza naczelnego w najtrudniejszych dniach rewolucyjnych rozruchów, różnią się od siebie w stopniu skrajnym – niemniej, dla niego wszyscy wyglądają dokładnie tak samo. Ludwik nie widział żadnej różnicy między fircykiem takim jak Narbonne <sup>[5]</sup> a subtelnym i wykształconym kawalerzystą, jak Dumouriez <sup>[6]</sup>. Zdolności militarne La Fayette'a <sup>[7]</sup> (zdecydowanie nie do pogardzenia) rozumiał mniej więcej tak, jak głuchy muzykę, dobrą czy złą. Od początku do końca, problem militarny tamtych dni zupełnie mu się wymykał.

Inny brak jego charakteru – w dniach takich jak tamte niezwykle istotny – stanowiła kompletna niezdolność do całościowego spojrzenia na jakikolwiek problem społeczny. Dobrze rozumiał mapy i ogarniał statystyki; niestety wszakże, jego lekko wyłupiaste i wiecznie rozespane oczy pozostawały zupełnie ślepe na krajobraz – by tak rzec – rewolucyjnych wypadków. Nie potrafił dostrzec, skąd przychodziło niebezpieczeństwo a skąd obrona, jak pogrupowane są takie czy takie siły, w jakim kierunku zmierzają, gdzie muszą się wycofać. W tym względzie stanowił, jak się za moment okaże, całkowite przeciwieństwo Mirabeau <sup>[8]</sup> – i z tego to względu właśnie,



ze względu na ową słabość, czy raczej nijakość, wielka wizja polityczna Mirabeau ostatecznie spełzła na niczym.

Na koniec, nie miał najmniejszego zrozumienia dla Europy jako całości. Nie umiał nawet wyolbrzymić zagrożenia, jakie stanowiły maszerujące na Francję w ostatnich fazach Rewolucji wojska sprzymierzone. Nie oceniał ani za wysoko, ani za nisko morskiej i politycznej potęgi Wielkiej Brytanii, siły militarnej własnych poddanych, prawdopodobnej życzliwości Niderlandów (antyaustriackich, ale katolickich), stopnia upadku Hiszpanii, wewnętrznych podziałów i bezsiły Półwyspu Apenińskiego. Ludwik po prostu tego wszystkiego nie dostrzegał.

Na zakończenie niniejszego opisu (szczególnie biorąc pod uwagę krótkość niniejszego opracowania) można powiedzieć tyle, że tylko przypadek mógłby był przeprowadzić Ludwika pomyślnie przez labirynt dziejowy tamtego czasu. Przypadkiem owym byłaby obecność wiernego przyjaciela, towarzyszącego mu od dzieciństwa, ukochanego, równie religijnego jak on, ale obdarzonego tymi wszystkimi cechami, których mu brakowało. Gdyby Ludwik miał w życiu taką prawą rękę, cechy, o których wspomniałem, stanowiłyby swego rodzaju kil czy balast, który ocaliłby monarchię od zguby – bo król nie był człowiekiem słabym, impulsywnym, nawet głupim: był po prostu samotny, okropnie samotny, w swoich niedostatkach. Bez wątpienia, podobna natura nie mogłaby polegać w życiu na nikim, tylko na naprawdę bliskim przyjacielu – Ludwik zaś nie miał żadnych bliskich przyjaciół, a cóż dopiero przyjaciół o takim usposobieniu, które starałem się wyżej zarysować?

Ludwik był kim był; i z całą pewnością jedną z połowy tuzina owych najistotniejszych postaci, które sprawiły, że Rewolucja przybrała taki obrót, jaki przybrała.

## *Królowa*

Charakter Marii Antoniny z historycznego punktu widzenia najlepiej rozważać całościowo. Rozważania takie to wszakże sprawa jej biografów; z punktu widzenia jej związków z Rewolucją liczy się natomiast właściwie ledwie jeden jego aspekt, to znaczy: sposób, w jaki osoba o takim usposobieniu musiała postrzegać naród francuski, pośród którego przyszło jej żyć.

Działania królowej są trudne do zrozumienia – i zrozumiemy je wyłącznie wtedy, jeśli zdamy sobie sprawę jak wielka przepaść oddzielała ją od ogółu Francuzów; jak dalece nie była ona w stanie wyczuć ich narodowego usposobienia, ani wkomponować się w całokształt ich życia społecznego. Gdyby była kobietą niezdecydowaną i mało energiczną, obcość jej stanowiłaby ledwie niegroźną drobnostkę, ignorancja zaś, jaką przejawiała w stosunku do wszelkich form aktywności narodu francuskiego – czy też raczej jej kompletna niezdolność do zrozumienia tego narodu – ledwie prywatną bolączkę, być może mającą pewne konsekwencje tu i teraz, ale bez żadnego większego wpływu na zasadniczy kierunek rozwoju rewolucyjnych wypadków.

Niestety, jej osobista energia była nie tylko ogromna, ale i w pewnym sensie niepowstrzymana; w miarę upływu lat stawała się ona coraz większa, jej działania coraz bardziej zdecydowane, motywacja zaś, która nadawała tej energii jej specyficzny kierunek, zawsze zachowywała niezwykłą stałość, niezmaconą choćby śladem wątpliwości. Dobrze znała samą siebie, i zawsze starała się – nieraz

z pewnym sukcesem – przeforsować swoje zapatrywania. W pierwszych latach Rewolucji żaden człowiek blisko egzekutywy nie mógł się równać z nią w kwestii jasności perspektywy czy stałości w dążeniu do celu.

To właśnie ze względu na tę energię oraz determinację jej kompletny brak zrozumienia materiału, z którym przyszło jej pracować, okazał się tak katastrofalny.

To ona właśnie, jeszcze przed wybuchem Rewolucji, wybierała osobiście tych wszystkich ministrów – czy to liberalnych czy reakcyjnych – których głupia polityka doprowadziła w konsekwencji do eskalacji przemocy. To ona powołała, odwołała, a potem znów powołała na urząd ministra finansów zamożnego i znacznie przecenianego Neckera [\[9\]](#) ; to ona zastąpiła go Calonne'em [\[10\]](#) , największym patriotą spośród prekursorów Rewolucji, by potem zresztą bezmyślnie go zdymisjonować i zyskać sobie zapiekłego wroga na całe życie; to ona przede wszystkim odpowiedzialna była za konfrontacyjne nastawienie, przejawiane przez dwór w stosunku do pierwszego parlamentu rewolucyjnej Francji; to ona była głównym pomysłodawcą (i jednym z głównych autorów) planu ucieczki rodziny królewskiej zagranicę; to ona, po tym, jak plan ów spalił na panewce, zdecydowała się zdyscyplinować Francuzów przy pomocy obcych wojsk; to ona, gdy konflikt stał się nieunikniony, zdradziła plany wojenne Francji obcym urzędnikom; i na koniec, to ona właśnie była *spiritus movens* deklaracji brunszwickiej [\[11\]](#) , wydanej tuż przed inwazją na Francję, a przede wszystkim groźby całkowitego zniszczenia Paryża, zobowiązującej wszystkie władze publiczne do

przywrócenia – pod groźbą śmierci – przedrewolucyjnego *status quo*

W miarę postępu badań, kapitalne znaczenie nieprzerwanej i twardej aktywności tej kobiety będzie się stawać dla historyków coraz bardziej i bardziej jasne.

Koncepcja ludzkości wyznawana przez Marię Antoninę była zasadniczo dokładnie zbieżna z tą, która dominowała ówczesnie w kręgach podobnych do owego ciepłego i rodzinnego towarzystwa, w którym spędziła szczęśliwe lata dzieciństwa. Romantyczne afekty kilku równych jej statusem, bezwzględna lojalność sług, mętny sentyment dziejowy jaki budzi się w sercach ubogich na widok złożonych ekwipaży i spektaklu bogactwa oraz radosne okrzyki tłumów, nieodłącznie towarzyszące pojawieniu się tych symboli monarchii na biedniejszych ulicach miast – wszystko to stanowiło w oczach Marii Antoniny wyraz podstawowych emocji politycznych rodzaju ludzkiego. Gdy zaczynało ich brakować, przyjmowała to z niekłamanym zdumieniem, wszelki sprzeciw wobec nich wydawał się jej zaś złem w czystej postaci.

W iluzji tej niebagatelną rolę grała oczywiście mentalność specyficznej grupy społecznej, nazywanej przez Anglików klasą średnią, Francuzów zaś – burżuazją. Nie zdawać sobie kompletnie sprawy z tego, co służba wygaduje o swoich panach za ich plecami; nie rozumieć, że heroizm i niezłomność to cechy nielicznych; nie myśleć nigdy o rozgoryczeniu mas, ani o twórczym pędzie do autoekspresji, stanowiącym dźwignię działań politycznych; nie wiedzieć, że ludzie ogólnie (Francuzi zaś w szczególności) nie dają się zwodzić zewnętrznym błyskotkom bogactwa, ani nie uznają

ubóstwa za przyczynę niższości; widzieć społeczeństwo jako hierarchię nie urzędów, a luksusów: wszystko to może się wydać demokracji czymś nader nienaturalnym i brzydkim. W wypadku Marii Antoniny, nie było to nic brzydkiego, ani tym bardziej nienaturalnego: była to po prostu jedyna koncepcja życia społecznego, jaką mogła sobie wyrobić, efekt jej jedynych osobistych doświadczeń. Spoglądając na lud, na masę swoich poddanych, nie potrafiła pozbyć się przeświadczenia, że różni się od niego moralnie. Różnice między zewnętrznymi nawykami życiowymi bogatych, średnich i ubogich – różnice stanowiące w ostatecznym rozrachunku ledwie skutek różnic szans życiowych i możliwości wypoczynku, jakie zapewnia bogactwo – uważała za rzeczywistość fundamentalną. Podobnie jak dzieciom i pewnym zwierzętom domowym zdarza się czasem uważać tego typu przypadłości ekonomiczne za coś realnego i przyczynę realnych różnic między ludźmi, tak też i jej; – niestety wszakże, karmiła się tą iluzją w kraju, w którym miała ona znacznie słabszą siłę oddziaływania, niż w jakimkolwiek innym regionie Europy, o dzień drogi od jego stolicy.

O tych cechach charakterystycznych narodu francuskiego nie wiedziała ona zgoła nic, czy też – by ująć to bardziej konkretnie – nie potrafiła uwierzyć, by w ogóle istniały.

Skrajne okrucieństwo, którego lud ów był w stanie się dopuścić, było dla niej czymś absolutnie nie do pojęcia, podobnie zresztą jak wyżyny odwagi, na które potrafił wznieść się pod wpływem tych samych podnieć, przez które wstrząsały nim paroksyzmy nienawiści. Ale tą cechą Francuzów, której najbardziej nie potrafiła ani

zrozumieć, ani przewidzieć, była ich zdolność do *wspólnego działania* .

Że tak wielka mnogość ludzi może zdyscyplinować się i zorganizować dla osiągnięcia wspólnego celu, błyskawicznie wyłonić spośród siebie i nominować oficerów, którzy mieliby ją do tego celu poprowadzić, i – generalnie – w jednym momencie przemienić się z tłumu w załążek prawdziwej armii – to rzecz niezwykła, ale i niezwykle bliska francuskiemu duchowi narodowemu, w którą wszakże nie potrafiła ona (podobnie jak wielu naszych współczesnych, szczególnie tych, którzy mają krew niemiecką) za nic w świecie uwierzyć. Ta szczególna cecha francuskiego charakteru, gdy zaczęła wyrażać się w działaniu, czyli w fizycznym wymiarze rewolucyjnej walki, do samego końca wydawała się jej niczym innym, jak tylko koszmarnym snem; czymś, co według wszelkich praw rzeczywistości *nie powinno istnieć*, ale z jakiegoś powodu, mocą jakiegoś szatańskiego cudotwórstwa, jednak *istnieje* . To przede wszystkim właśnie ze względu na niezrozumienie tej podstawowej kwestii zdecydowała się ona polegać przede wszystkim na wojsku regularnym, i to jeszcze na zdecydowanie zbyt małej jego liczbie. Świątce wierzyła, że garstka wyszkolonych żołnierzy wystarczy do okiełznania nawet największych tłumów cywili; mundur wojskowy przemawiał do niej bardzo mocno, grupy cywilne zaś, nieważne jak bardzo liczne, zawsze wydawały się jej ledwie chaotyczną i zdezorganizowaną masą pospólstwa. Z jej perspektywy, jedynym czynnikiem, który trzeba było zwalczyć (lub któremu trzeba było się oprzeć) w zmaganiach z tłumem były opinie, obawy czy osobista chciwość jednostki. Nie była zresztą w tym błędzie odosobniona; notorycznie popełniają go na przykład

zagraniczni, a nawet niektórzy krajowi, komentatorzy, próbujący opisać i zrozumieć jakikolwiek większy ruch polityczny narodu galijskiego. Oduczenie się tego sposobu myślenia to pierwsza rzecz, jaką powinien zrobić każdy, kto chciałby rządzić Francuzami – lub choćby z nimi walczyć.

W kwestiach religijnych (jak czytelnik niewątpliwie już zauważył odgrywających w tej opowieści rolę kluczową), królowa okazywała znacznie większy indyferentyzm, niż jej małżonek, choć nigdy nie porzuciła pewnego minimum osobistej praktyki. Autentyczna pobożność zaczęła przejawiać się dostrzegalnie w jej życiu codziennym dopiero gdy spadły na nią ciężkie osobiste nieszczęścia, choć fakt faktem, że w miesiącach bezpośrednio poprzedzających reformy, jak gdyby przewidując w pewien sposób nadchodzącą katastrofę, zaczęła traktować religię znacznie bardziej poważnie.

Pozostaje jeszcze tylko opisać wpływ jaki wywierała osoby pozostające w jej bezpośrednim otoczeniu. Większość francuskiej arystokracji czuła do niej wstręt. Ten sam nieszczęśliwy zbieg okoliczności, który pozbawił ją możliwości zrozumienia francuskiego ducha narodowego wziętego *en bloc* , odciął ją zupełnie od tego spośród owego ducha szczegółowych wyrazów jaki skryształizował się właśnie w tradycji arystokratycznej. Wrodzona dla tej tradycji surowość, precyzja i błyskotliwość myśli, a także niesamowita twardość moralna zawsze pozostały dla królowej czymś zupełnie obcym, i – prawdę mówiąc – wszystkich tych czterech cech nienawidziła ona z całego serca.



W związku z tym zawsze sprawiała ona na wielkich rodach dworu, szczególnie na ich części żeńskiej, wrażenie pospolitego prostaka. Gdyby przeżyła Rewolucję, gdyby jej osobiste nieszczęścia nie okazały się tak ogromne i tragiczne w skutkach, jej legenda ukształtowałaby się przede wszystkim pod wpływem pamięci o cechach takich jak bezceremonialność i niedbalstwo, brak godności i nieeleganckie folgowanie sobie, które to cechy byłyby dla każdego Francuza o takiej pozycji społecznej równie rażące, jak rażąca jest hałaśliwość, zły akcent oraz nie dość dobra znajomość etykiety we współczesnym świecie arystokratów angielskich.

Z drugiej strony, niezwykle łatwo dawała się zwodzić słodkim słówkom łasych na stołki pochlebców, i wielka władza, jaką dysponowała tuż przed wybuchem Rewolucji, uczyniła z niej – by tak rzec – swego rodzaju *pośmiewisko* dla polityków.

Szukali jej towarzystwa, potrzebowali jej protekcji, ale, jednocześnie, w sekrecie bez ustanku urządzali sobie z niej drwiny. Jej kareta, zaprojektowana tak, by budzić podziw, i istotnie sprawiająca ten efekt w wypadku większości cudzoziemców, większości Francuzów (oczywiście tej pozycji społecznej, która pozwalała tutaj na pewną familiarność) wydawała się poniekąd teatralnym rekwizytem, a czasem wprost absurdalną zabawką. Nieustępliwość, jaką wykazywała się w pewnych dziedzinach życia, szczególnie w kwestii nieprzejednanej wrogości do niektórych ludzi (na przykład La Fayette'a), przybierała formy tak otwarte i gwałtowne, że im wydawała się przejawem zwykłej brutalności i niedomagań intelektualnych; co więcej, subtelny świat Wersalu bez trudu dostrzegał, że luksusy, którymi się otaczała, z rzadka tylko

dobierała według własnej inwencji, najczęściej zwyczajnie imitując innych ludzi.

W sprawie jej zamięłowania do zbytków, należy dodać, że zostało ono w znacznym stopniu wyolbrzymione przez jej współczesnych, a tym bardziej przez potomnych. Nie była także kobietą frywolną, ani broń Boże rozpustną. Nie potrafiła trzymać języka za zębami, i to naprawdę tragicznie, ale z całą pewnością nie żyła niemoralnie.

Miała pewne zamięłowanie do hazardu, ale w kontekście ówczesnych obyczajów, a także przekonania o niewyczerpanej rzekomo fortunie korony, trudno oskarżać ją o jakieś szczególne nieumiarkowanie; jej wydatki na biżuterię oraz ubiór w porównaniu do przeciętnej przedstawicielki co bogatszych rodów wydawałyby się naprawdę nader skromne. Z drugiej strony, jej kaprysom nie było końca, i zmieniały się one w błyskawicznym tempie, szczególnie na wcześniejszym etapie jej życia.

Otoczający ją świat dworu, którego nie rozumiała, i który nie rozumiał jej, bez ustanku szukał jakiejś możliwości, by w nią uderzyć, a oskarżenie o rozpustę stanowiło dla niego po prostu łatwą i sprawdzoną metodę załatwiania takich kwestii; nie było ono wszakże ani trochę sprawiedliwe.

Gdyby zrządzenia losu uczyniły ją żoną ubogiego człowieka z niższych warstw społecznych, Maria Antonina stałaby się naprawdę dobrą panią domu: jej energia znalazłaby odpowiednie dla siebie ujście, a i ona sama nie miała ze swojej natury żadnych skłonności do ekscentryzmu.

Spotkała w życiu kilka przyjaciół, których darzyła uczuciem gorącym i poniekąd przesadnie sentymentalnym, w kilku wypadkach odwzajemnionym, ale w kilku cynicznie wykorzystanym. Jej dwie najsłynniejsze przyjaciółki to księżniczka de Lamballe [\[12\]](#) i madame de Polignac [\[13\]](#). Nie raz przyjaźnie owe popychały ją do nieroztropnych aktów protekcji, natychmiast wychwytywanych przez opinię publiczną i wykorzystywanych przeciwko niej. Należały one na pewno do zbioru nielicznych słabości jej osobistego charakteru. Były lekkomyślne i lekkomyślności sprzyjały.

Angażowała się także w kilka drobnych i nic nie znaczących flirtów, które można by wręcz nazwać rutyną jej klasy społecznej; płomiennym i prawdziwym uczuciem do płci przeciwnej, w pełni zresztą odwzajemnionym, zapalała tylko raz w życiu. Jej wybrankiem był szwedzki arystokrata, jej rówieśnik, osobowościowo całkowite przeciwieństwo przeciętnego szlachcica Francji, romantyczny i rycerski, niepraktyczny do granic możliwości, delikatny i głęboko nieśmiały; nazywał się Axel hrabia de Fersen [\[14\]](#). Relacja ich pozostała czysta, niemniej Antonina kochała tego człowieka całym swoim sercem, i w ostatnich miesiącach jej osobistej tragedii, uczucie to musiało stanowić naczelną troskę jej duszy. Widywali się bardzo rzadko, czasem nie mając kontaktu przez całe lata; i to być może tutaj właśnie tkwiło źródło uroku i stałości tego przedziwnego romansu.

## *Mirabeau*

Mirabeau, najważniejszej z „praktycznych” postaci Rewolucji (jak można by oddać w języku angielskim najbardziej charakterystyczny element ich politycznej tożsamości), należy przyjrzeć się ze szczególną uwagą. Jego wpływ na pierwszą fazę wypadków rewolucyjnych był tak ogromny, skutek jego śmierci tak dla niej kluczowy i przesądzający, spekulacja dotycząca tego, co *by było gdyby* jednak przeżył jest tak owocna, tak fascynująca, i tak częsta, a ogólny skutek wywierany przez postawę, którą uosabiał, na rozwój wydarzeń okazał się tak daleko idący, że nie rozumieć Mirabeau to w znacznej mierze nie rozumieć wszystkiego, co się wtedy stało; no i niestety, już trzy pokolenia historyków (przynajmniej w naprawde sporej części) rozumie Mirabeau albo błędnie, albo przynajmniej powierzchownie; bo wniknięcie w motywacje tej niezwyklej jednostki to nie kwestia szczegółowych badań czy akumulacji materiału, ale raczej psychologicznej empatii.

Mirabeau był bowiem przede wszystkim artystą, mającym wszelkie moce i słabości, jakie zazwyczaj kojarzą się nam z tym terminem: to znaczy, gwałtowne emocje porywały go zarówno zewnątrz jak i wewnątrz. Lubił ich doświadczać – i lubił wywoływać je w innych ludziach. Pilnie zatem poznawał, i istotnie, mistrzowsko potrafił okiełznać, materię tych emocji; poddawał się ich działaniu i bezustannie ich poszukiwał. Głupotą jest zarówno wyolbrzymiać, jak i bagatelizować siłę takiej osobowości. To z niej właśnie, przynajmniej częściowo, bierze się muzyka, sztuki

plastyczne, i znaczna część ponadczasowych dzieł literackich rodzaju ludzkiego. To właśnie ta zdolność odczuwania, i budzenia uczuć w innych ludziach, przyodziewa owoce intelektu w szaty, które zapewniają im nieśmiertelność. To właśnie mamy na myśli mówiąc, że *styl* to niezbędny element twórczości literackiej; że wielką cywilizację sądzić można (przynajmniej częściowo) na podstawie architektury; że – według słów Platona – muzyka może być moralna i niemoralna, i tak dalej. Artysta, choć na pewno nie jest właściwym twórcą historii ludzkości, odgrywa w jej rozwoju ogromną rolę.

Gdy mówię, że Mirabeau był artystą, mam na myśli to, że gdziekolwiek znajdował on możliwość wyrażenia swoich emocji, tam natychmiast szukał tej przyjemności, i pragnął przekazać ją, ucieleśnić jak gdyby, za pośrednictwem jakiegoś konkretnego środka. Środek ów stanowiła zaś ekspresja na pewno częściowo literacka – lecz przede wszystkim, i w pełnym tego słowa znaczeniu, werbalna. Być *trybunem*, głosem wielu, perswadować – nie! – zachwycać samym akcentem i rytmem zdań, tego właśnie pragnął najbardziej; wprowadzał wszakże do swej sztuki także i jeszcze jeden pierwiastek, bez którego nie może istnieć żadne wielkie dzieło: intelekt.

Wierzył w przynajmniej główne zasady ruchu rewolucyjnego, rozumiał je i gotów był je głosić; lecz jego przemożny wpływ na innych nie brał się z przekonania: był wpływem artysty, i gdyby jakimś zbiegiem okoliczności zbratał się Mirabeau ze skrzydłem reakcji, stałby się równie sławnym wrogiem demokracji, jak stał się jej obrońcą. Zawsze zatem musimy patrzeć na niego jako na oratora,

ale jako na oratora nieprzeciętnej inteligencji, i niepozbawionego sporej dozy rozumnej wiary.

Trzeba jeszcze powiedzieć o nim dużo więcej.

Był gentlemanem; to znaczy, ponosił zarówno przyjemne jak i przykre skutki, wiążące się z odziedziczeniem wielkiej fortuny i jej użytkowaniem. Odziedziczył nie dość dużo, i zawsze tkwił po uczy w długach, uważając kwoty konieczne z punktu widzenia jego pozycji społecznej i ogromnych możliwości życiowych, jakie ona stwarzała, za coś, co po prostu należy mu się – by tak rzec – od społeczeństwa. Słuszność mamy mówiąc, że brał łapówki – ale mylimy się mniemając, że stanowiły one dla niego takie samo zobowiązanie jakie stanowiłyby dla człowieka podlejszego charakteru czy mniej szczęśliwego pochodzenia. Zniżał się, jak każdy gentleman, do najwstrętniejszych intryg, byle tylko uzyskać „konieczne środki do życia i działania”; to znaczy: pieniądze by grać swoją *rôle* . Miał jednak w sobie siłę, wypływającą z całej jego osobowości, dzięki której żadne sumy nie mogły spętać mu języka, czy zamienić go w bezwolnego adwokata sponsorów. Nigdy nie stoczył się na poziom najnędzniejszego ze zjawisk politycznych, „człowieka partii”. I nigdy nie zostałby, nawet urodziwszy się sto lat później, w warunkach współczesnego parlamentaryzmu, „parlamentarnym wyjadaczem”.

Mirabeau miał także specyficzną historię osobistą, którą należy rozumieć w ścisłym związku z typem jego osobowości.

Dużo podróżował, i znał dobrze Niemców i Anglików klas bogatszych. Lud znał słabo, nawet lud swojej ojczyzny; ludu obcych

krajów nie znał wcale. Sporo zaszkodziła mu niechęć jego własnego ojca, osobista gwałtowność, a także niemało zwykłe nieszczęśliwe wypadki. Był zdolny do wiernej i stałej miłości do kobiety, ale okazja do takiej miłości nadarzyła mu się dopiero na kilka miesięcy przed śmiercią. Był zdolny do lojalnej i ciężkiej służby na rzecz państwa, lecz żadne państwo nie chciało skorzystać z jego usług. Owocnie jest zastanawiać się, co mógłby uczynić dla francuskiej monarchii, gdyby Fortuna wcześniej zawiodła go na dwór i jeszcze przed Rewolucją zapewniła mu pewne znaczenie w poczynaniach egzekutywy. W każdym razie, Rewolucja zapewniła mu pole działania wyłącznie dlatego, że zniosła stare ograniczenia i stare konwencje, niszcząc do gruntu aparat państwowy, w warunkach którego przyszło mu wcześniej żyć. I sam musiał włączyć się w jej przebieg w charakterze burzyciela, ponieważ otrzymał swoją szansę tylko tak, i w żaden inny sposób; ale z natury swojej, człowiek ten nienawidził niszczyć. Mam na myśli to (bo takie ujęcie sprawy jest cokolwiek mętne), że nie cierpiał owego ducha gotowego odrzec naród z pewnych uświęconych tradycją instytucji, dobrze służących określonym celom, bez uprzedniego ustalenia, czym można by je zastąpić. I z tego właśnie względu stał się szczerym i oddanym obrońcą monarchii: trwałej instytucji politycznej, służącej jasno określonym celom, utrzymującej jedność narodu i skutecznie ograniczającej w państwie tendencje oligarchiczne.

Nie miał Mirabeau nic wspólnego z wielką wizją Rewolucji. Umysłowo przedwcześnie się zestarzał, bo w tym wymiarze pracował naprawdę bardzo ciężko i na wielu różnych płaszczyznach doświadczenia. Czystej teorii demokratycznej, dla wielu jego współczesnych pełniącej funkcję religii (ze wszystkimi tego

konsekwencjami) nigdy nie przyjął, ani nawet nie myślał o jej przyjęciu. Niemniej, pewne konsekwencje reformy bardzo mu się podobały. Radował się niezmiernie na myśl o wolności od wiekowych i martwych konwencji, przywilejów niemających już żadnego związku z prawdziwymi różnicami społecznymi, starymi tradycjami handlu, odstającymi już zupełnie od kontekstu warunków, oraz (i to punkt kluczowy) skamielin starej wiary religijnej, którą – jak niemal wszyscy mu współcześni – uważał za nieodwracalnie wypaloną: bo Mirabeau nie miał żadnej łączności z Kościołem Katolickim.

Wiele już powiedziało się, i jeszcze powie, na tych stronach odnośnie do sporu religijnego, który – choć nikt w zasadzie o tym wtedy nie wiedział – tkwił w samym sercu kwestii rewolucyjnej i miał stać się przyczyną trwałego i głębokiego podziału Francuzów na długie lata potem. Powtórzę jeszcze nie raz i nie raz to, co już powiedziałem: że pojednanie między Kościołem Katolickim a ruchem ku odrodzeniu demokracji stanowiło, choć nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, najważniejszy problem doczesny tamtych czasów, czytelnik zaś dobrze zapozna się w trakcie lektury z degeneracją, jaka dotknęła religię wykształconych tamtego pokolenia. W wypadku Mirabeau wszakże, areligijność ową należy wyjątkowo mocno podkreślać. Dla niego, myśl, że religia katolicka ma przyszłość byłaby czymś równie absurdalnym, jak dla polityka angielskiego sprzed trzydziestu lat, że Irlandczycy mogą stać się bogatym narodem, albo że jeszcze za jego życia angielskiemu rządowi zabraknie pieniędzy. Używam tej paraleli dla wzmocnienia argumentacji, ale to – istotnie – bardzo słaba paralela. Bo żadna paralela wzięta ze współczesności, z naszych osobliwych i



zmiennych się czasów, nie odda sprawiedliwości niewzruszonemu przekonaniu całego końca wieku osiemnastego, że wiara katolicka umarła. Sam Mirabeau prawdopodobnie nigdy w swoim życiu nie rozmawiał nawet z człowiekiem, który traktowałby sakramenty poważnie, czy przeżył choćby chwilę niepokoju z powodu artykułów wiary.

Wiedział, co prawda, że pewna grupa kobiet – oraz znacznie mniejsza grupa mężczyzn, zupełnie zresztą nic nie znaczących – trzymała się jeszcze praktyk starego zabobonu; wiedział, że w pewnych regionach całe rzesze tępych chłopów powtarzało co niedzielę stare symbole wiary, tym gorliwiej, im bardziej były ciemne. Ale o wierze żywej nie mógł mieć Mirabeau żadnego pojęcia.

Z jednej strony, na własne oczy widział wiekową, klerykalną instytucję, czysto ekonomiczną, dostarczającą posad i pieniędzy ludziom jego stanu; spotykał tych ludzi i rozmawiał z nimi, i nigdy nie dostrzegł w nich ani śladu prawdziwej religijności. Z drugiej – projekt społeczny, do urzeczywistnienia którego niezbędne było, by skamielina owa – bezsensowna i niegodziwa – wyrzekła się swej fortuny. Ale o wierze jako o realnej sile społecznej, o czymś żywym i zdolnym do odrodzenia, nie miał żadnego pojęcia. Sugestia, że przyszłość mogła przynieść jeszcze podobne zmartwychwstanie, wydałaby mu się przejawem najzwyczajszej głupoty. Kasata zakonów, w znacznej mierze jego dzieło, oraz konstytucja cywilna kleru, uchwaleniu której przewodniczył, były dla niego czymś najbardziej naturalnym pod słońcem. Chodziło po prostu o oczyszczenie współczesnego państwa z masy martwych tkanek, przez które gniło od środka. Odczuwał to tak, jak my

odczuwalibyśmy współcześnie wykup wysypiska śmieci, czy konfiskatę ziemi nieodpowiedzialnego obszarnika. Kościół niczemu nie służył, nie wierzył weń nikt, kto się chociaż trochę liczył, bronili go tylko beneficjenci jego ogromnego potencjału gospodarczego, ale nie spełniał już w społeczeństwie żadnej żywotnej, realnej funkcji.

We wszystkich sprawach Rewolucji, które umiał zrozumieć, Mirabeau zachowywał jak największą ostrożność. Znał koncepcję rządów ludu, przyjmował nawet pewną możliwość jej urzeczywistnienia, ale nie potrafił wyobrazić sobie tutaj żadnego innego środka działania poza gwarantowaną przez *status quo* potęgą klas zamożnych. O sile wojskowej sądził w znacznej mierze po prusku. I w długich i pełnych entuzjazmu fragmentach swoich dzieł opiewał armię pruską jako niezwyciężoną. Gdyby dożył chwili wybuchu militarnego zapалу republikanów, z całą pewnością odnosiłby się do niego w najwyższym stopniu nieufnie. W głębi duszy zawsze sprzyjał arystokratycznej machinie państwowej – choć nie arystokratycznej teorii państwa; z wielką determinacją dążył do zachowania – w formie wciąż żywej, choć znacznie bardziej skromnej – serca życia narodowego, tradycyjnej monarchii Francuzów; interesował się także wydatnie sporą liczbą szczegółów, których sam z siebie nie potrafił zrozumieć: metodami głosowania, kwestiami konstytucyjnymi, prawem handlowym i tak dalej. Fascynowała go także delikatna równowaga dyplomacji, oraz bliska obserwacja zachowań ludzkich w parlamencie, w którym również zasiadał.

To parlament właśnie stanowił najbardziej naturalny habitat jego działalności, miejsce, z którego zaczął *de facto* kierować postępami

Rewolucji – i to jego nieobecność w owym parlamencie, zaraz po jego śmierci, w lecie 1791, Rewolucja miała odczuć najboleśniej.

Ten krótki szkic nie jest w stanie zapewnić czytelnikowi najbledszego pojęcia o tym, kim Mirabeau naprawdę był. Jedyne teksty, które mogą to uczynić, to jego własne przemowy oraz bardziej retoryczne z redagowanych przez niego dokumentów. Prawdopodobnie z upływem czasu jego reputacja w tej dziedzinie będzie stopniowo wzrastać. Jego idee w kwestiach konstytucyjnych, czerpiące inspirację z ówczesnych wzorców zagranicznych, szczególnie angielskich, nie dawały się zastosować do narodu francuskiego i obecnie prawie nikt już o nich nie pamięta: mylił się co do polityki angielskiej tak samo, jak co do niemieckich sił zbrojnych, ale potrafił przewodzić tłumom – i osobowość jego z upływem czasu zyskuje w oczach badaczy coraz większą moc i wyrazistość.

## *La Fayette*

Główny problem osobowości La Fayette'a stanowiła, z jednej strony, spora wyniosłość wobec jego współczesnych, z drugiej – stalowa pryncypialność. Zachodzi między tymi dwoma czynnikami niezaprzeczalny związek. Te same energie duszy, które zapewniały mu tak niewzruszoną wierność wyznawanym zasadom, rodziły w nim także pogardę do tego typu ludzi, którzy go na ogół otaczali. Politycznie, najbliższym było mu do skrajnego skrzydła republikanów, z samego faktu, że autentycznie wierzył w pewne idee i gotów był wcielać je w życie ze wszystkimi logicznymi konsekwencjami. Nie miał jednak żadnych szans zrozumieć tego ruchu w wymiarze materialnego konkrety, bo jego ogromny majątek, odziedziczony jeszcze w młodości, pozbawił go na zawsze potrzebnych doświadczeń. Jego największą skazę moralną bez wątpienia stanowiła ambicja. Ambicja, która – by tak rzec – działała w próżni, nigdy nie licząc się z możliwościami i zdolnościami innych ludzi. W sprawach kariery niczego nie planował, nie ze wstrętu do zdrady i intrygi, ale dlatego, że nie potrafił. Niezmiernie zależało mu na osobistej popularności i gdy przyszła, uznał ją za swoje święte prawo; niepopularność natomiast, zawsze traktował jako jasny dowód zepsucia swych wrogów. Zbyt jawnie czynił siebie miarą wszystkiego.

Bez wątpienia, jego charakter rozwinął się w ogromnej mierze pod wpływem tego, co przeżył w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Pobyt ów odbył La Fayette bowiem akurat w najmniej stabilnym i najbardziej formatywnym okresie ludzkiego życia, niemalże wciąż jeszcze chłopiec, albo bardzo, bardzo młody mężczyzna. Dopiero co się ożenił, i dopiero co stał się właścicielem swej wielkiej fortuny. W takim właśnie momencie wziął udział w pomyślniej rebelii kolonii angielskich, i można sobie bez trudu wyobrazić, jak przemożny musiał okazać się wpływ tej wielkiej młodzieńczej wizji na całe życie tego człowieka; jako iż w koloniach nie było proletariatu, La Fayette nigdy nie widział i nie zdołał zrozumieć wywłaszczonych klas Paryża – ani nawet francuskiego chłopstwa, pracującego na jego własnym majątku; ponieważ widział, jak ochotnicza i skłonna na szybko armia zdołała – w osobiwych warunkach nadbrzeża Atlantyku i dzięki wsparciu Francji, jej wojskom – i jej pieniądзом – pokonać małe i heterogeniczne siły Jerzego III, wierzył, że tak bitny naród jak Francuzi zdoła – otoczony wrogami – szybko zorganizować coś w rodzaju amatorskiej armii obywatelskiej; ponieważ wielu, a być może większość, spośród tych, z którymi służył w Ameryce, miało za swój ideał pewien rodzaju „luzu” w relacjach społecznych, mylił tę prostą i przyziemną koncepcję ze wściekłą, ideową eksplozją i świętym pragnieniem równości, palącym jego naród wtedy, gdy los zapewnił mu w końcu wymarzoną władzę.

Sprawiedliwie można powiedzieć o La Fayettecie, że nigdy, ani razu w życiu, nie zrobił tego, co trzeba. A także, że w kwestiach politycznych nie zrobił nigdy niczego, co potem przysporzyłoby mu wyrzutów sumienia. Wymowne, że królowa brzydziła się nim wprost nieprawdopodobnie. Był to młody szlachcic dworu, przyjaciel

wszystkich jej przyjaciółek, i jego sympatia do ruchu rewolucyjnego wydawała jej się niczym innym, jak zwykłą zdradą. Bez wątpienia było także w jego ogólnym stylu bycia coś, co wydatnie ją odrzucało; że La Fayette umiał zadbać o swoją niezależność, nie można zaprzeczyć, ale że bywał przez to czasem także bezsensownie zarozumiały i odstręczający dla kobiet, historia wykazuje wystarczająco dobrze. Niemniej, żywa antypatia Marii Antoniny stanowiła raczej wyjątek, niż regułę, choć kilka co bardziej płomiennych dusz (Danton, na przykład) z jakiegoś powodu ją podzielało. Większość tych, którzy spotkali tego człowieka, czuła do niego pewną niechęć, może nawet pewną pogardę, albo też swego rodzaju wątpy i pełen dystansu szacunek; nie budził żadnych skrajnych emocji, i kiedy tchórzliwie zdecydował się poprzeć bunt przeciwko nowemu rządowi, nie było nikogo, kto chciałby się za niego poświęcić albo pójść w jego ślady.

Na pewno można stwierdzić tyle, że gdyby La Fayette nigdy nie istniał, Rewolucja potoczyłaby się mniej więcej w taki sam sposób, w jaki się potoczyła, z tym jednym wyjątkiem: że w Paryżu nie powstałaby nigdy do tego stopnia mieszczańska siła zbrojna, mająca ostatecznie wywołać spory konflikt społeczny: Gwardia Narodowa z pewnością otwarłaby się szerzej na wszystkie klasy społeczne.

W kwestiach religijnych, był La Fayette pigułką nasenną, z chrztu – rzecz jasna – katolik, ale protestant z moralności i ogólnego zachowania, dogmatycznie zaś (do końca życia) wolnomyśliciel, jak wszyscy jego współcześni. Choć osobiście bardzo odważny, niczym pospolity głupiec pogardzał instytucją pojedynku. Jedna anegdota spośród bardzo wielu pomoże czytelnikowi wyrobić sobie

odpowiedni obraz tego człowieka. Mirabeau, jak zwykle szukający pomocy w spłacaniu swych ogromnych długów, wysłał do niego – jako do również arystokraty, polityka, i obrońcy korony – pilną depeszę, prosząc o pożyczkę w wysokości £2000. La Fayette pożyczył mu tysiąc.

## *Dumouriez*

Osobowość Dumourieza jest dla Anglika naszych czasów szczególnie trudna do zrozumienia, fundamentalnie bowiem różni się co do swej istoty i cech ubocznych od dominujących typów współczesności.

Szlachetnego pochodzenia, ale urodzony w epoce, w której różnice klasowe stały się ulubionym przedmiotem drwin ludzi inteligentnych i aktywnych (a sam był bardzo inteligentny i bardzo aktywny), mężny, niezwykle kompetentny w sprawach wojaczki, umiejący szybko podejmować decyzje i doskonale oceniać możliwości swoich oddziałów czy charakter pola bitwy, kompletnie gubił się w relacjach międzyludzkich, nie rozumiał innych, i nie miał krzty lojalności do własnego państwa.

To właśnie ta ostatnia cecha zaskoczy angielskiego czytelnika najbardziej, ponieważ wyjątkową i niezaprzeczalną zaletę społeczeństw oligarchicznych (takich jak brytyjskie) stanowi fakt, że w każdych, nawet najtrudniejszych warunkach potrafią one zachować i okazywać powszechną i solidarną świadomość jedności państwowej. Zdrada stanu, działania na szkodę interesów państwa, nie dość wysokie zrozumienie realnych implikacji jego istnienia – to wszystko słabości czy grzechy nieznane kompletnie obywatelom oligarchii, i tak też obywatelom tego kraju niełatwo będzie je zrozumieć. W warunkach demokracji i despotyzmu natomiast, zapomnienie o obowiązkach wobec państwa, niemalże kompletna nieświadomość jego zbiorowej egzystencji, to bardzo powszechna



bolączka. Działa tutaj pewien mechanizm kompensacyjny, i dokładnie z tych samych przyczyn, z jakich demokracja i despotyzm pozwalają państwu na podejmowanie szybkich, skutecznych i wielkoskalowych akcji politycznych, czy też otwarte są na gwałtowne i niemalże cudowne wybuchy entuzjazmu społecznego niosące państwu ratunek bądź umocnienie, ustroje te nie znają zupełnie owej spokojnej i głębokiej świadomości bytu państwowego, której oligarchia tak bardzo sprzyja i której piętno tak trwale odciska na mentalności narodu.

Biegłość Dumourieza jako generała docenić mogą wyłącznie ci, którzy poświęcili sporą chwilę uwagi kondycji wojsk, które miał pod komendą oraz charakterowi ludzi, z którymi przyszło mu się mierzyć. Najważniejszą cechą każdego wielkiego dowódcy stanowi bezustanna gotowość do natychmiastowej reakcji na najmniejszą nawet zmianę okoliczności czy materiału, którym dysponuje, i nawet jeśli weźmiemy poprawkę na element losowy, tak ważny w sprawach wojennych, nie możemy zapomnieć, że Dumouriez zdołał ocalić od katastrofy właściwie nędzną i zdezorganizowaną zgraję, nieliczną i niesubordynowaną co do swej bardziej doświadczonej części, a amatorską i bezwartościową co do nowszej, zmuszonej do tego stawić czoła – w wąwozach i bagnach Lasu Argońskiego [\[15\]](#) – nowoczesnej i zdyscyplinowanej armii Prus.

Pamiętajmy również jego plan inwazji na Niderlandy – dobrze przygotowany i bardzo rozsądny, no a także i to, z jak wielkim kunsztem, po nieuniknionej klęsce i odwrocie na wiosnę 1793, zdołał wbrew przeciwnościom zachować dowództwo.

Pod kierownictwem rządu wojskowego, pod zwierzchnictwem Napoleona na przykład, człowiek ten byłby dla Francji po prostu bezcenny. A i to mało powiedziane: bo gdyby okoliczności pozwoliły mu na zdobycie pełni władzy – nie tylko militarnej, ale i państwowej – stać by się mógł wcale niezłym dyktatorem. Same tylko jego zdolności techniczne były tak duże, że nawet ogromne pieniądze wypłacane mu przez angielski rząd do dziś – przy całym dystansie czasowym – wydają się niezbyt wygórowaną ceną za jego usługi, opracowane zaś przezeń plany obrony Wysp Brytyjskich i kampanii ofensywnej przeciw Napoleonowi potwierdzają tylko, że nie był ceniony bez przyczyny.

Niestety, nie umiał Dumouriez odnaleźć się w specyficznych warunkach czasu jego zdrady. Niezaspokojona ambicja pchała go od intrygi do intrygi, i od polityka do polityka. A jednak ich nie znosił – jak nie znosić musiał ich każdy aktywny i biegły żołnierz; był zbyt podeszły w latach, by móc dzielić ich świeży entuzjazm, nawet gdyby osobiste usposobienie pozwalało mu rozumieć jakąkolwiek *wizję*, czy to polityczną, czy religijną. Z całą pewnością nie poczuwał się ani do cienia moralnego obowiązku wobec tego, co wydawało mu się po prostu zwykłym chaosem i anarchią – czyli do francuskiego rządu, pod którym odsłużył swoje ostatnie sześć miesięcy, i jeśli chcemy przypiąć mu łatkę zdrajcy, pamiętajmy, że w takim wypadku musielibyśmy uczynić to także w wypadku tych wszystkich, którzy uciekli z kraju na emigrację, którzy opuścili go z obrzydzeniem, a nawet tych, którzy zostali, ale tylko po to, aby – w wielkim zamęcie roku 1793 – opłakiwać swoją ojczyznę.

Być może najlepszym usprawiedliwieniem dla Dumourieza, który – nie da się ukryć – w ostatecznym rozrachunku jednak zawiódł, jest natomiast to, że należał on do tego gatunku ludzi, którzy mogli ocalić monarchię – gdyby tylko dwór wiedział, jak wykorzystać ich talenty; niestety, dwór nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

## *Danton*

Osobowość Dantona wywiera na ogół większe wrażenie, niż osobowość jakiegokolwiek innego z przywódców Rewolucji – dlatego, że potężnie ujawniały się w niej elementy uniwersalnie ludzkie, niezależne od teorii demokratycznej jego czasów, i w sensie ścisłym niekonieczne zarówno do jej obrony, jak i krytyki.

Przemawia ona bowiem do tych energii człowieczeństwa, które wyrażają się przede wszystkim w działaniu, na polu sztuki zaś – w dramacie. Żywotność, nadzwyczajna siła ducha i ciała, indywidualność charakteru, to coś fascynującego dla wszystkich, zarówno dla tych, którzy kochają Rewolucję, jak i dla tych, którzy jej nienawidzą – jak i dla tych, którzy nie dbają nic a nic ani o jej zwycięstwo, ani o jej porażkę.

To właśnie z tego względu historycy – szczególnie zagraniczni – tak często błędnie rozumieli tego człowieka. Carlyle, na przykład, choć miał tutaj świetne intuicje, sportretował go jako francuskiego rolnika, którym Danton z całą pewnością nie był; Michelet, szczerze zafascynowany jego energią, ukazuje go jako poniekąd nieokrzesanica, i – ogółem – znacząca większość tych, którzy próbują tę postać opisać, stoi w oddaleniu, tam, gdzie jej donośny głos i zamaszty gest robią największe wrażenie; ale zrozumieć kogoś można tylko wtedy, jeśli jest się z nim blisko.

Danton stanowił osobowość złożoną – w głównej mierze z dwóch bardzo wyrazistych elementów. Był człowiekiem emocjonalnym

względnie twórczym, z drugiej strony zaś, był bardzo inteligentny, i przepadał za logiką i rozumowaniem. Takie połączenie to jeden z najmocniejszych znanych naturze typów psychologicznych.

Czynnik emocjonalny i twórczy, lub – jak kto woli – męskość, zapewniał mu żywy kontakt z rzeczywistością; znał on i kochał własny kraj, na przykład, i znacznie bardziej leżały mu na sercu jego przetrwanie i dobrobyt, niż pełne urzeczywistnienie jakiegokolwiek teorii politycznej. Znał także dobrze swoich rodaków, i umiał kochać ich po prostu jako ludzi; wiedział, co czyni Francuza silnym, a co słabym. Choć nie wiedział czym ona w swej istocie jest, nie znosił próżności hugenotów, i zwalczał ją wszędzie gdzie tylko mógł. Z drugiej strony, z mlekiem matki wyssał sól francuskiego ducha, wrodzoną żywość francuskiego usposobienia, i czuł się wśród rodaków naprawdę jak w domu; ich temperament i bezpośredniość, ich hałaśliwość i słabość do retoryki, ich bojowy charakter i wojowniczość – wszystko to bardzo intensywnie przeżywał, i bardzo dobrze rozumiał. Rozumiał ich poczucie humoru, i nie szokowały go też – jak szokowałyby bez wątpienia człowieka mniej związanego z własnym narodem – ich charakterystyczne wady, szczególnie skłonność do furii i brutalności. Tym właśnie tłumaczy się wszystko to, za co postronni obserwatorzy zwykli go najczęściej krytykować, to znaczy: obojętność wobec rewolucyjnych okrucieństw, i fakt, że podczas masakr wrześniowych interesowało go głównie wojsko i polityka zagraniczna.

Dzięki tak żywej relacji ze światem realnym potrafił Danton w pewien sposób rozumieć (choć tylko zewnętrznie) mentalność Niemców. Znakomicie pojmował naturę ich manii podboju

niezwiązanego z jakąkolwiek propagandą czy głoszeniem idei. W 1792, jasno dostrzegał bezdyskusyjną wyższość ich armii nad zdezorganizowanym wojskiem francuskim: i to dlatego właśnie tak dobrze potrafił ogrywać niemiecką dyplomację, i – z drugiej strony – tak zręcznie negocjować w sprawie odwrotu sił najeźdźczych po bitwie pod Valmy <sup>[16]</sup>. Niemniej, rozumiał on także – i to znacznie, znacznie głębiej – wrodzony talent swych rodaków do samoorganizacji, i dokładnie ze względu na to tak konsekwentnie domagał się kontynuowania wojny. Należy dodać, że sam – i to zarówno w kwestiach czysto wojskowych, jak i quasi-wojskowych – obdarzony został przez naturę nadzwyczajną wprost zdolnością szybkiego podejmowania decyzji, ogólnie tak charakterystyczną dla jego narodu.

Ze względu na umiejętność logicznego myślenia potrafił on zaś, z jednej strony, przewidywać konsekwencje wielu decyzji politycznych podejmowanych w trakcie Rewolucji, z drugiej natomiast – czuł wielki pociąg do doktryny demokratycznej, do koncepcji równości ludzi, a szczególnie do projektu fundamentalnego przekształcenia instytucji narodowych – zwłaszcza wymiaru sprawiedliwości (sam był prawnikiem) – tak, by funkcjonowały prościej i bardziej racjonalnie. Bez wątpienia był szczerym i oddanym rewolucjonistą, człowiekiem idei, lepiej rozumiejącym jej konsekwencje niż wielu jego bardziej ograniczonych współczesnych. Jego republikanizm wszakże, wyglądał nieco inaczej – bo podobne poglądy w ogóle nie łączą się w sposób konieczny z republikanizmem. I gdyby jakimś zbiegiem okoliczności zaangażował się w zmagania rewolucyjne nieco wcześniej, mógłby Danton – jak Mirabeau, który dostarcza tutaj tak

fascynującej paraleli – dojść do wniosku, że monarchia będzie dla kraju ustrojem lepszym niż republika.

Trzeba zawsze pamiętać, że był to człowiek wielkiej kultury – który bardzo wcześnie w życiu osiągnął spory sukces zawodowy; już w momencie zawarcia małżeństwa, w naprawdę bardzo młodym wieku, miał on spory dochód; umiał czytać po angielsku i wcale nieźle mówił w tym języku. Ubierał się nietanio, i choć strój jego często pozostawał w pewnym nieładzie (co zresztą normalne w wypadku ludzi wielkiej energii i żywego gestu), nigdy nie sprawiał wrażenia chaosu czy niedbałości. Interesował się – zupełnie bezinteresownie – wieloma rzeczami, w związku z czym potrafił odnaleźć się intelektualnie w wielu zagadnieniach. Pojmował realne znaczenie dynamicznego rozwoju przyrodoznawstwa – podobnie jak i przesadnej złożoności ówczesnych instytucji społecznych, kompletnie nieprzystających do prostych prawd tamtego wieku.

W kwestiach religijnych był on, rzecz jasna – jak wszyscy ludzie epoki – zupełnym indyferentystą, ale w przeciwieństwie do większości z nich, umiał Danton właściwie ocenić siłę społeczną zachowaną przez katolicyzm w niektórych, zwłaszcza wiejskich, regionach kraju. Ostatnio pojawiła się tendencja do wyolbrzymiania roli, jaką w wypromowaniu go w życiu publicznym odegrała masoneria; istotnie, należał do loży, podobnie – skoro już o tym mówimy – jak wszyscy, znani czy nieznani, demokraci czy reakcyoniści, którzy przewinęli się przez scenę rewolucyjnego dramatu: prawdopodobnie król, na pewno starzy arystokraci (jak choćby ojciec pani de Lamballe), i ogromna część klasy średniej, od ludzi takich jak Bailly [\[17\]](#) po tych pokroju Condorceta [\[18\]](#) . Ale czynić

z przynależności do masonerii najważniejszy czynnik sprawczy w jego karierze to czytać historię do tyłu i wyobrażać sobie, że wiek osiemnasty nie różnił się niczym od wieku dwudziestego.

Danton ostatecznie przegrał (i zginął) ze względu na skombinowany wpływ dwóch przyczyn: po pierwsze, zaczął mieć problemy zdrowotne, po drugie – jego racjonalność i poczucie obywatelskie kłóciły się zasadniczo z zimną furią stanu wojennego drugiego roku istnienia republiki. Bruździł – i to w takim samym stopniu furii, jak i zimnej kalkulacji; sprzeciw wobec Wielkiego Terroru ostatecznie pozbawił go poparcia społecznego, ale na rozwoju wypadków zaważyło przede wszystkim to, że człowiek takiej umysłowości i poglądów stanowił bezpośrednie zagrożenie dla planów wojskowych, szczególnie Carnota [\[19\]](#), i to oni właśnie doprowadzili do jego śmierci. Jego znaczenie również, podobnie jak znaczenie Mirabeau, z całą pewnością z upływem lat będzie coraz lepiej i lepiej rozumiane, i stanie się on – choćby tylko jako uosobienie ducha narodowego – jedną z typowych postaci tych trudnych i skomplikowanych czasów.



## *Carnot*

Carnot, bezpośredni poprzednik Napoleona, i najważniejszy organizator wojskowy wczesnych wojen rewolucyjnych, swą siłę polityczną zawdzięczał sile kręgosłupa.

Wykazywał nie tylko wielką sprawność umysłu, ale potrafił pracować intelektualnie przez całe godziny, niemal bez końca. Być może zawdzięczał to wspaniałej konstytucji fizycznej odziedziczonej po przodkach, najstarszy spośród bardzo licznej rodziny, syn znanego prawnika z Burgundii.

Szczególną dumę czerpał Carnot ze swojej edukacji wojskowej, której przeznaczeniem stało się radykalnie zmienić sposób prowadzenia działań wojennych: bo jak Bonaparte, jego następca, był kanonierem, tak Carnot służył w wojsku saperskim. Niezrównana umiejętność stosowania wiedzy w praktyce oraz bardzo wysoki poziom wykształcenia ogólnego wzmacniały tylko jeszcze naturalnie silny charakter, który odziedziczył. I co ważniejsze, był również kimś, kim nie potrafił stać się żaden ze starszych oficerów – szczerym i płomiennym demokratą. Nigdy nie znalazł się w orbicie wpływów wielkich i bogatych. Ten młody człowiek doskonale wiedział, czego chce – nie tylko w kwestii wiary politycznej, ale także ogólnej filozofii życia oraz – przede wszystkim – w dziedzinie nauk wojskowych.

Powiedziano o nim, że osobiście opracował charakterystyczną dla wojsk rewolucyjnych metodę koncentracji strategicznej oraz taktycznego zmasowania sił. Jest w tym coś z prawdy; ale

wprowadzenie tej metody do powszechnej praktyki nie byłoby możliwe, gdyby nie stworzył także Carnot we współpracy z Dantonem – i nie utrzymał w mocy po śmierci tego polityka – systemu poboru powszechnego.

Rozumiał bowiem, jak tylko zawodowi żołnierze potrafią rozumieć, znaczenie przewagi liczebnej – *i z wielką roztropnością zdecydował się polegać na usposobieniu narodowym swych rodaków* ; tak też choćby w wypadku bitwy pod Wattignies [\[20\]](#) , zakończonej zwycięstwem wyłącznie dzięki wielkości jego geniuszu, choć manewr nagłego zmasowania wojsk na prawej flance (wykonany gdy natarcie na lewej ostatecznie ugrzęzło), istotnie był czymś zupełnie nowym, to jednak innowacja ta na niewiele by się zdała, gdyby Carnot nie rozumiał, że jego młodzi rodacy zdolni są przeprowadzić frontalny atak po trzech nocach spędzonych praktycznie bez snu.

W działaniach wojskowych wykorzystywał zresztą zręcznie nie tylko usposobienie swego narodu, ale ogólny nastrój Rewolucji. Jeden z najważniejszych atutów wojsk rewolucyjnych, na przykład – w okresie rozpoczynającym pasmo ich tryumfów – stanowiły liczne oddziały harcowników, mężnych i skutecznie oczyszczających pole wojskom liniowym, które jako pierwsze w historii nowoczesnej wojskowości zaczęły świadomie stosować kamuflaż. Oddziały te pojawiły się czysto spontanicznie; same „wydzieliły” się niejako z każdej jednostki – na skutek własnej aktywności żołnierzy, a nie odgórnego rozkazu. Ale to Carnot rozpoznał ich wartość (pod Hoondschoote [\[21\]](#) ), zorganizował i trwale włączył do armii francuskiej.

Stoicka niezłomność charakteru to najszlachetniejsza spośród wielu szlachetnych przymiotów jego duszy. Nigdy nie pogodził się z powstaniem Cesarstwa, w związku z czym przeżył gorycz wygnania oraz na zawsze miał już uchodzić w oczach najbardziej niegodziwego ale i najinteligentniejszego spośród swych współczesnych, Fouché'a [\[22\]](#), za zwykłego głupca. Traktował innych surowo, ale siebie chyba jeszcze surowiej, prawdziwy żołnierz o umyśle bystrym i twardym jak stal – oraz właściwy sprawca Wielkiego Terroru, który zawsze był dla niego wyłącznie tym, czym miał być: militarnym środkiem ocalenia republiki.

## *Marat*

Marata ocenia się bardzo łatwo. Nietrudno bowiem jest dostrzec autentyczną szczerą entuzjasty, gdy dotyczy ona ideałów prostych i szlachetnych, stanowiących do tego – by tak rzec – własność wspólną całej ludzkości.

Równość społeczna i oparcie rządu na woli generalnej: to właśnie te dwa fundamentalne dogmaty, wokół których – niczym wokół osi – obracała się historia Rewolucji, stanowiły dla Marata polityczne *credo*.

Ci, którzy go ze względu na nie wyszydzą lub potępiają, w oczywisty sposób sami wykluczają się z wszelkiej dyskusji. Bo na szyderstwo i potępienie zasługuje – i to bardzo sprawiedliwie – nie bezsporna prawda moralna, którą wyznawał, ale *sposób*, w jaki się z nią obchodził. Wierzył w nią nie tylko w całkowitej izolacji od innych prawd – ale to przecież zwykła wada fanatyka – ale tak, jak gdyby żadne inne prawdy zgoła nie istniały. I kiedykolwiek jego ukochany ideał napotykał w praktyce na opór i perspektywa jego urzeczywistnienia zaczynała się oddalać, ten gorejący nieokiełznanym i nieskończonym niemal zapałem tropiciel politycznych intryg natychmiast szukał kozła ofiarnego, znajdował go, i zaczynał domagać się wdrożenia brutalnych środków zaradczych.

Jego denuncjacje często zresztą były bardzo trafione: w wielu wypadkach potrafił pogodzić się ze sprawiedliwymi, choć

niekorzystnymi dla jego sprawy wyrokami sądów, w wielu intryganci, których wykrył, byli przynajmniej częściowo winni tego, co im zarzucał, i nawet jego brutalnym projektem politycznym, momentami przynajmniej, trudno zarzucać nieracjonalność. Ale podstawowy błąd tej udręczonej duszy polegał na tym, że poza ofiarami złego systemu i broniącą ich żelazną pięścią demokracji, nie widział absolutnie nic. Nie umiał pogodzić się z ludzką niedoskonałością, z głupotą, z nieporozumieniami, z najzwyklejszym w świecie upływem czasu i z tym wszystkim, co czyni ludzkie życie czymś tak złożonym, i tak nieskończenie zdolnym do adaptacji.

Humoru, nieomylnego znaku tej mądrości, nie miał za grosz; i chyba jeszcze mniej „rozsądku” (w angielskim znaczeniu tego słowa), o ile podobnie absolutną próżnię można w ogóle stopniować.

Zawsze należy pamiętać, że tak kompletny brak pewnych niezbędnych dla dobrej konstytucji umysłu elementów praktycznie równa się szaleństwu. Tak też Marat nie był całkiem zdrowy. Jego szaleństwo często przybierało formy bardzo szlachetne, co do tego, w co wierzył, trudno mieć wątpliwości, i co więcej, dla większości z nas są to idee naprawdę godne wiary. Niemniej, obchodził się z nimi tak, jak w naszym społeczeństwie obchodzą się ze swoimi ideałami ludzie obłąkani, powiedzmy, na punkcie kolektywizmu, czy prawa własności – myśląc wyłącznie o nich i o niczym innym, wrzeszcząc nad nimi i tocząc pianę z ust, i dostając spazmów, ilekroć napotkał na swojej drodze nie tylko czynny opór, ale zwykłe trudności. Jako praktyk był dla Rewolucji i jej celów kompletnie bezwartościowy. Lecz jego ideały i wierność im były w tak oczywisty sposób proste i

szczerze, że nie dziw, że to jego właśnie obrał sobie lud francuski (na kilka miesięcy) jako swego rodzaju symbol czy godło.

Co do reszty, fizycznie – podobnie jak duchowo – bardzo cierpiał; dokuczała mu nieuleczalna choroba skóry, oszpecając twarz, i drażniąc tylko dodatkowo jego i tak kompletnie rozchwianą psychikę.

Niektórzy mówią (choć zawsze trzeba mieć się na baczności przed tak zwane „naukową” metodą czytania historii), że ze względu na niekorzystną kombinację różnych typów rasowych, pozostawał Marat jak gdyby w stanie permanentnego napięcia: jego twarz na pewno była zniekształcona i niespokojna – ale tego typu fizyczne przesłanki są bardzo niewiarygodne.

Ci, którzy zetknęli się z nim w kontekście bardziej praktycznym, myśleli o nim jak najgorzej; nieliczna grupa tych, którzy go naprawdę znali, darzyła go ogromną miłością; znaczna większość wszakże, ludzie, którzy mieli z nim styczność jedynie przelotnie, po prostu się z nim męczyła, zniechęcona i podirytowana jego pustą agresją. Był to starszy człowiek wśród bardzo młodych ludzi; a także (o czym nigdy nie wolno zapomnieć), wielki uczony w swej własnej dziedzinie – to znaczy w dziedzinie medycy; i ktoś, kto uczynił dla Rewolucji znacznie mniej, niż jakakolwiek inna postać o podobnej reputacji. To on jednak ponosi pełną odpowiedzialność za masakry wrześniowe

[\[23\]](#) \* .

## *Robespierre*

Żadna postać Rewolucji nie wymaga od badacza większego odczytania i bardziej dogłębnej znajomości francuskiego ducha narodowego, niż właśnie Robespierre.

Żadna również nie ma tak wielkiego znaczenia dla zrozumienia tamtej epoki jako całości, i żadna (z powodów, o których za chwilę) nie była nigdy bardziej *błędnie* rozumiana i przedstawiana, nie tylko w sferze popularnej legendy, ale także w ważkich debatach kompetentnych historyków.

Jest to tak bardzo prawdziwe, że nawet pomimo upływu czasu, który (współ z rozwojem badań naukowych) zazwyczaj usuwa podobne błędy, żadnemu współczesnemu autorowi nie udało się jeszcze skonstruować prawdziwego obrazu tego człowieka.

Przyczyna podobnie sromotnej klęski badań historycznych leży w tym: że obok Robespierre'a historycznego istniał także – w umysłach jego współczesnych ( *poza tymi, którzy poznali go osobiście przy sprawowaniu funkcji rządowych* ) – Robespierre legendarny, Robespierre wyobraźni ludu; i ów Robespierre legendarny, choć dla potomności okazać się miał przerażający i wstrętny, samemu Robespierre'owi historycznemu wydawał się nad wyraz sympatyczną i pociągającą wizją, w związku z czym zdecydował się on nie ingerować za bardzo w rozwój wypadków. Bo Robespierre, choć bardzo sprawiedliwy, nie miał za grosz pokory.

Problem jest niezmiernie subtelny, i nieprawdopodobnie trudny. Historyk, badając materiały źródłowe, podejmować musi nieustanny wysiłek rozróżniania dowodów mocnych i słabych, kluczyć, i w każdym momencie powracać pamięcią do tego, kim Robespierre *naprawdę* był; inaczej straci kontakt z rzeczywistością i zacznie dawać ucho legendzie – legendzie potężnej i trudnej do przezwyciężenia, nie tylko ze względu na ogromną liczbę tych, którzy ją do dziś kolportują, ale i czyny samego Robespierre’a, który zrobił wiele, by nadać jej pozór prawdy. Robespierre legendarny to postać niezbyt skomplikowana, i można opisać ją w kilku ledwie zdaniach.

Wyobraźmy sobie człowieka wierzącego w teorię demokratyczną ze szczerością nieznaną niemal w świecie paraleli, człowieka, który nie dbał w życiu o nic więcej, niż tylko o urzeczywistnienie tej teorii, i który poświęcił politycznej walce o to urzeczywistnienie wszelkie korzyści osobiste. Oto człowiek ów, uwielbiany, a w końcu i ubóstwiany niemal przez lud Francji, staje się coraz bardziej i bardziej wpływowy. Zostaje członkiem rządu (Komitetu Ocalenia Publicznego), zaczyna dzierżyć pełnię władzy zarówno oficjalnej, jak i nieoficjalnej, i decyduje się – mistrz politycznej intrygi – użyć tej ogromnej siły dla ustanowienia demokracji idealnej, uznającej istnienie Boga i opartej na cnocie; aby jednak wizja ta stała się rzeczywistością, bohater nasz musi uciec się do środków terroru. Odkrywa, że ludzkie niedoskonałości, uniemożliwiające realizację jego wzniosłych ideałów, są przerażająco liczne: tak też zaczyna karać je śmiercią. Twarde rządy zbierają krwawe żniwo; giną nawet najlepsi spośród demokratów; w końcu szala goryczy zostaje przelana, jego podwładni z Komitetu wypowiadają mu



posłuszeństwo; zostaje wyjęty spod prawa, w geście obrony próbuje wywołać w Paryżu zbrojną insurekcję ludu lecz jego plan spala na panewce, zostaje aresztowany i poddany egzekucji; rządy terroru dobiegają końca.

Wizja ta, choć całkowicie legendarna, ma w sobie sporo prawdy – ale prawda ta sprzyja tylko, na mocy jakiejś perwersji, utrwaleniu fałszu.

Bez wątpienia, mało kto dorównywał Robespierre'owi szczerością demokratycznej wiary; i ze względu na tę szczerość, rzeczywiście był on także – jak głosi jego przydomek – całkowicie „nieprzekupny”, a nieprzekupność w wypadku polityka odpowiada w pewien sposób temu, co Kościół nazywa u świętych heroicznością cnót. *Faktycznie* : wszedł w skład Komitetu Ocalenia Publicznego; *faktycznie* wspierał Wielki Terror, a gdy zginął, Wielki Terror *faktycznie* się skończył. Co zatem przesądza o tym, że legenda naprawdę jest *tylko* legendą?

Kilka kluczowych kwestii, które zupełnie zmieniają obraz rzeczy: choćby fakt, że Robespierre nie był najważniejszą osobistością Komitetu Ocalenia Publicznego, wszechwładnej egzekutywy młodej Republiki; że nie chciał nigdy Wielkiego Terroru, że nigdy nie korzystał ze stwarzanych przez Wielki Terror możliwości, że z czasem zaczął się nim brzydzić, i – ogółem – nigdy nie rządził Francją.

Nie trzeba chyba zbyt długo rozwodzić się nad tym, dlaczego i na jakie sposoby podobne fakty niszczą przekaz legendarny do szczytu. Rozumienie natury owych kluczowych dwunastu miesięcy

od lata 1793 do lata 1794 zależy w całości od tego, czy uznamy je za w historii Rewolucji okres „robespierre’owski”, czy nie: i nie, Rewolucja *nigdy* nie przeszła takiego okresu.

Czym zatem tak naprawdę były te miesiące? I skąd wzięło się błędne przekonanie, jakoby Robespierre odgrywał przez nie rolę faktycznego dyktatora?

A zatem miesiące owe, które w przybliżeniu można by nazwać miesiącami Terroru, były – jak się jeszcze przekonamy – okresem obowiązywania stanu wojennego; Wielki Terror zaś, to po prostu stan wojenny w praktyce – radykalna metoda zmuszenia narodu do wysiłku obronnego, zakładająca przy tym bezwzględne karanie wszystkich tych, którzy przeszkadzali – czy rzeczywiście, czy tylko w oczach Komitetu – temu przedsięwzięciu.

Żadnego z członków Komitetu Ocalenia Publicznego nie można uznać za w ścisłym sensie twórcę tego systemu, ale człowiekiem najbardziej zdeterminowanym w jego wdrażaniu był bez wątpienia komisarz wojenny, Carnot. Przy okazji, popierali jego utrzymanie na przykład ludzie tacy jak Barrère [\[24\]](#) , który czynił to w trosce o jak najdłuższe istnienie Komitetu, któremu w całości zawdzięczał swoją pozycję polityczną. Albo tacy jak Saint-Just [\[25\]](#) – którego poparcie wynikało z wiary, że tryumf Francji w zmaganiach wojennych (w których brał czynny udział) oznaczać będzie powszechne i wieczne zwycięstwo demokracji w Europie. Albo inni jeszcze, tacy jak Bon [\[26\]](#) , który dawał po prostu upust starej, sekciarskiej zapiekłości hugenotów. Ale spośród wszystkich członków Komitetu, Robespierre odnosił się do Terroru z największym dystansem, i podejrzewany był

przez swych towarzyszy – z upływem czasu coraz bardziej zresztą – o chęć ingerencji w strukturę całego systemu.

Dlaczego zatem Robespierre'a powszechnie uznaje się za głównego inspiratora Wielkiego Terroru, i dlaczego po jego egzekucji Wielki Terror istotnie ustał?

Otóż związki Robespierre'a z Wielkim Terrorem niemal automatycznie (i niesłusznie) dedukuje się z jego rzeczywistych i ścisłych związków z ogólną atmosferą społeczną tamtego czasu, z jej gigantycznym napięciem, z płomiennym porywem demokratycznego zapału, jaki ją przepajał, ale i z towarzyszącym mu panicznym niemal strachem przed reakcją. Robespierre był idolem ludu i stał się także symbolem ludowego szału, rzekomo rządzącego wtedy Francją. Ale Francją nie rządził lud, ani tym bardziej jego szal. Francją rządził Komitet Ocalenia Publicznego, z Carnotem jako mózgiem operacji. Robespierre był postacią popularną i porywał tłumy; ale nigdy nie miał za sobą realnej *siły* mas, podobnie jak żadnej innej siły politycznej.

Dlaczego zatem ze śmiercią Robespierre'a Wielki Terror ustał, choć to nie on był za to zjawisko odpowiedzialny? Otóż politykę Terroru prowadzić było bardzo trudno; wobec braku poczucia zagrożenia, podobnie absolutny, nietolerancyjny i bezwzględny rząd wojskowy stawał się właściwie niemożliwy do utrzymania. Kilka tygodni przed śmiercią Robespierre'a zwycięstwa wojsk francuskich zaczęły coraz wyraźniej odbierać mu rację bytu. Gdy Komitet wymusił na parlamencie wyjęcie Robespierre'a spod prawa, nieświadomie podciął gałąź, na której siedział; bo to *osobista popularność wielkiego jakobina sprawiała, że polityka Komitetu w*

*ogóle była możliwa do zrealizowania* . Po jego śmierci, okazało się, że naród nie chce i nie będzie jej dłużej znosić. Lud Francji godził się na Terror w fałszywym mniemaniu, że tego pragnie jego bożyszcze, Maksymilian Robespierre. Z Robespierre'em na szafocie, wszelkie złudzenia przysły.

I na koniec, skoro Robespierre sprzeciwiał się polityce Wielkiego Terroru, dlaczego nie zdecydował się zorganizować przeciw niemu ludowego oporu?

Miał taką możliwość w grudniu 1793 – siedem miesięcy przed swą katastrofą – w związku ze sprawą Dantona. Danton musiał zniknąć, ponieważ jego apele o miłosierdzie dla przeciwników osłabiały militarną władzę Komitetu. Robespierre mógł go ocalić: wolał go jednak poświęcić. Powodem tego było błędne mniemanie, jakoby lud popierał Komitet przeciw Dantonowi; sam nie miał w sobie nic z przywódcy (poza pewną biegłością retoryczną, sprowadzającą się zresztą w sporej mierze do mówienia ludziom tego, co chcieli usłyszeć), a główną słabość czy wadę jego charakteru stanowiło umiłowanie popularności.

Później, latem 1794, gdy Robespierre podjął jednak pewne działania przeciw Terrorowi, uczynił to wyłącznie prywatnie. Kompletnie nie umiał wyczuć nastroju ludu i wciąż wydawało mu się, że Wielki Terror cieszy się ogólnym poparciem – i sam nie chciał ryzykować utraty popularności. Człowiek naturalnie tak kryształowo uczciwy przez ostatnie miesiące swego życia kuszony był do kłamstwa – i w tak ważnej sprawie, w tak krytycznym momencie, uległ. Z punktu widzenia pamięci o osobie, a także historii w ogóle, jest to pożałowania godne. I ten jeden moment słabości nie tylko stał

się przyczyną błędu historycznego, niezmiernie poważnego w skutkach (ale nie poważniejszego od innych, które można odnaleźć w literaturze współczesnej), ale także zohydził Robespierre'a potomności.

Czynnikiem odgrywającym ogromną rolę w budowie publicznego znaczenia tej postaci – o którym bardzo często się dziś zapomina – była ogromna moc jego wystąpień. Sam fakt, że wciąż debatuje się żywo nad tym – po tak ogromnych zmianach, jakie zaszły w sferze smaku! – czy faktycznie świadczą one o wielkiej elokwencji autora, czy nie, to wystarczająco wymowne świadectwo siły ich oddziaływania. Mówił w sposób racjonalny i uporządkowany, przywołujący na myśl subtelność wczesnych parlamentów, ale potrafił także dostosować się do brutalnych warunków późniejszych lat Rewolucji. Jego frazeologia, i sam punkt widzenia, zależały wyłącznie od nastawienia odbiorców. Bezbłędnie potrafił wyrażać ich własne uczucia, i to w sposób bardzo dokładny – oraz taki, który ich porywał. Ponieważ nigdy nie popadał w przesadę, a nieopanowani okrutnicy, którzy go słuchali, czuli dumę, że ich agresja może znaleźć wyraz tak bardzo uczony, tak biegły, i tak zrównoważony.

Pochodził ze szlachty, choć ubogiej. Sporo mówi o jego usposobieniu fakt, że przez pewien czas myślał o wstąpieniu do zakonu, i że już we wczesnej młodości popadł w pychę jako autor. Nie został po nim żaden pomnik [\[27\]](#) ; ale ze względu na siłę jego wiary, oraz wierność, jaką okazał jej w czynie, sława jego, choć pewnie nie zwiększy się, to na pewno będzie trwać.

## *Rozdział IV - Fazy*

## ***1 – Od maja do 17 lipca 1789***

Pierwszą elementem historii Rewolucji, którego znaczenie czytelnik nasz musi uchwycić, jest spór parlamentu z koroną.

Jaka była natura tego konfliktu?

Linia podziału nie przebiegała, wbrew temu, jak to się czasem przedstawia, po prostu między starym a nowym, między przywilejami a demokratycznym pragnieniem równości społecznej, czy tradycyjnymi organami władzy a demokratycznym postulatem rządów narodu. Sądzić w ten sposób, to czytać historię do tyłu, i upatrywać w chaosie i niepewności 1789 dojrzałej formy dziejowej, która zestaliła się dopiero po długich latach zmagania.

Problem podstawowy stanowiła kwestia legalności i nielegalności.

Prawa francuskie, a także wszystkie odziedziczone po przeszłych pokoleniach metody administracji, z samej natury jakby domagały się – jako zwieńczenia i uzupełnienia – bardzo konkretnej i określonej formy zwierzchności: rządu centralnego o nieograniczonych prerogatywach. Król miał władzę absolutną. Mógł dowolnie umarzać długi, skazywać ludzi bez procesu, ułaskawiać bez podania przyczyny, decydować o wojnie i pokoju, i tak dalej. W kwestiach mniejszych, takich jak dyscyplina administracyjna – teoretycznie i prawnie przynajmniej – było bardzo podobnie. Monarcha nie *sprawował* wszakże swojej władzy tak absolutnie, jak rządy współczesne, nie mieszał się – na przykład – bez przerwy do najmniejszych szczegółów życia ubogich, jak czynią to obecnie

politycy angielscy; w samej bowiem naturze podobnego autokratyzmu leży bowiem, pomimo teoretycznej wszechwładzy, jak gdyby instynkt samoograniczenia, mający chronić instytucje polityczne przed upadkiem; i pod tym względem, autokratyzm niewątpliwie przyrównać można do arystokracji, czy ściślej mówiąc oligarchii, władzy nielicznych: bo owi „nieliczni” zawsze zdają sobie sprawę z tego, że przywileje ich zależą ściśle od opinii, czy też może raczej tolerancji, publicznej; tak więc dokładają ogromnych starań, aby nigdy nie przekroczyć pewnych granic, i nie zrobić czegoś, co podkopałoby fundamenty moralne tej nadzwyczajnej pozycji; są otwarci i elastyczni, i bez ustanku szukają świeżej krwi wśród innych klas społecznych.

Na podobnej zasadzie, autokracja zawsze ma charakter ludowy. Siłę swą daje odczuć przede wszystkim wielkim i wpływowym, z rzadka tylko uderzając w masy. Intelktualiści, bogaci, uprzywilejowani z urodzenia, fortuny, czy wyjątkowych zdolności osobistych, w naturalny sposób budzą jej nieufność. Z masami, wszakże, wygląda to inaczej, i istotnie, każda autokracja w ostatecznym rozrachunku stara się ich reprezentować, a w pewnym sensie także być im posłuszna.

Otóż autokracji francuskiej wieku osiemnastego (bo Francja była po prostu krajem autokratycznym) zabrakło we wczesnych fazach Rewolucji nie tyle *woli* nawiązania podobnie dobrych relacji z ludem – ale raczej *wiedzy* jak to uczynić.

Parlament, tuż po tym jak zebrał się w maju 1789 roku, natychmiast zaczął wcielać w czyn ową wielką teorię, której przeznaczeniem okazało się rozpaść Francję na całe pokolenie.



Niższa izba ogłosiła: „Jesteśmy ludem; naraz symbolicznie, jako jego bezpośredni i legalni reprezentanci, oraz” (choć była to czcza fikcja) „z urodzenia i historii. To my zatem jesteśmy prawdziwym suwerenem; książę zaś, głowa egzekutywy, to ledwie urząd, funkcja państwowa, o autorytecie moralnym nieporównanie mniejszym od autorytetu prawdziwego źródła władzy politycznej”. Otóż nastawienie to, będące zasadniczo podświadomym nastawieniem wszystkich i właśnie w izbie gmin [\[28\]](#) , co oczywiste, osiągające najwyższy stopień natężenia, kłóciło się wyraźnie z literą prawa. Nie mogąc zatem wyrazić się w języku obowiązującego ustroju, musiało szukać dróg działania w ścisłym tego słowa znaczeniu *rewolucyjnych*.

Korona, generalnie życzliwa własnemu narodowi, i rozumiejąca tę nową teorią bardzo dobrze (mówiąc „Korona” mam na myśli króla i wąskie grono jego najbliższych doradców), zareagowała gniewem – nie ze względu na nielegalność samej teorii czy wydumanego nieco uzasadnienia (bo trudno byłoby mówić tutaj o „nielegalności” czegokolwiek), ale *działań* podjętych przez parlament. I ten stosunkowo niewielki zgrzyt stał się punktem zapalnym, który uznać musimy za przyczynę wszystkiego, co stało się później. Szlachta, 108 głosami do 47, zdecydowała – dzień po rozpoczęciu obrad parlamentu – przenieść swoje obrady w inne miejsce. Duchowieństwo, znacznie mniejszą większością 133 do 114 głosów, zdecydowało podobnie, czyniąc przy tym wszelkie wyraźne zastrzeżenie, że to rozwiązanie tymczasowe. W reakcji, gminy ogłosiły miejsce swych obrad za siedzibę Zgromadzenia Narodowego, i rozpoczęły walkę (by zacytować tutaj słowa stosownej uchwały) o „zebranie w tym miejscu wszystkich przedstawicieli narodu i obronę zasady głosowania indywidualnego”

(wedle której prawo głosu przysługiwać miało pojedynczym posłom, a nie stanom *en bloc* ) „czyli jedności i niepodzielności Stanów Generalnych”. I choć stanowisko to zostało później sporo uściślone i złagodzone, to jednak gminy nigdy go zasadniczo nie zmieniły, uznając za sprawę obowiązku moralnego – szlachta zaś, argumentowała z tradycyjnego prawa każdego stanu do autonomii sądu w sprawach publicznych. Innymi słowy, arystokraci opierali się na prawie i precedensie; gminy – wyłącznie na teorii politycznej; gdyby zaś wszystkie stany zdecydowały się obradować wspólnie i przyjąć zasadę głosowania indywidualnego, to gminy właśnie, dorównujące liczebnie dwom pozostałym izbom razem wziętym, dzięki wsparciu sojuszników, których miały zarówno wśród arystokratów jak i duchowieństwa, dysponowałyby większością.

Otóż król i jego doradcy, szczególnie Necker, którego głos ciągle jeszcze sporo ważył, wcale nie odgrywali w tym sporze roli „imposybilistów”. Dążyli do porozumienia, i na przełomie maja i lipca učinili istotnie sporo, aby zostało ono osiągnięte. Niemniej, negocjacje się przeciągały, i z czasem wszystkim zaczęło wydawać się, że nic z nich nie wyjdzie – tak też 10 czerwca Sieyes [\[29\]](#) zgłosił w Zgromadzeniu Narodowym wniosek o „weryfikację władzy” (francuskie wyrażenie, oznaczające weryfikację każdego członka danego ciała politycznego pod kątem akceptowalności dla tego ciała wziętego jako całość, a także stosunku do jego konstytucji), zaznaczając, że weryfikacja ta powinna objąć „każdego członka Zgromadzenia” (czyli nie tylko przedstawicieli gmin, ale także kleru i szlachty), „niezależnie od obecności bądź nieobecności przedstawicieli dwóch stanów uprzywilejowanych”. Procedurę przeprowadzono 15 czerwca. Na weryfikacji nie stawiał się żaden

przedstawiciel szlachty i niemal ani jeden duchowny, poza trzema pomniejszych księżmi (z prowincji Poitu) – ale obecność tej trójki wystarczyła za potwierdzenie prawomocności postępowania. Później dołączył jeszcze tuzin innych księży z innych prowincji; ale nikt więcej.

Do tego momentu nie wydarzyło się jeszcze nic, co można by uznać za w ścisłym sensie „nielegalne” czy „rewolucyjne”. Gminy upomniały się po prostu o pewne prawa, wynikające z teorii politycznej uznawanej za słuszną przez znaczną większość narodu, król zaś, prawowity depozytariusz władzy państwowej, póki co nie interweniował. Można porównać tę sytuację do tego, z czym często mamy do czynienia w wypadku angielskich związków zawodowych; o legalności niektórych działań można było powątpiewać, ale sąd nie wydał jeszcze stosownego orzeczenia.

Pierwszy faktycznie rewolucyjny akt miał miejsce dopiero 17 czerwca, dwa dni po zamknięciu procedury weryfikacji, i badacz Rewolucji dobrze uczyni, jeśli zachowa tę datę w pamięci i zacznie uważać ją – nie za moralną inspirację Rewolucji przecież, ale za konkretny i możliwy do zlokalizowania początek Rewolucji właśnie jako *rewolucji*. Bo to właśnie w tym dniu, gminy, choć wsparte ledwie przez garstkę księży, i kompletnie zignorowane przez arystokrację, *obwołały się Zgromadzeniem Narodowym*; to znaczy: przeforsowały fikcję, jakoby wszystkie trzy stany były obecne i brały udział w głosowaniach. Do tej deklaracji dodały one jeszcze bardzo ostrą proklamację suwerenności, jawnie godzącą w Koronę i w jej legalne kompetencje. Prawda, uchwała od początku miała mieć ledwie charakter „tymczasowy”, niemniej sposób, w jaki ją napisano,

bynajmniej na to nie wskazywał, bo w decyzji swojej samozwańcze „Zgromadzenie Narodowe” ogłosiło, że „tymczasowo” podatki i daniny podnosić można według starych procedur, ale wyłącznie do momentu rozwiązania Zgromadzenia, po którym to rozwiązaniu – i tutaj dochodzimy jakby do „formuły sakramentalnej” całego kryzysu – „zgodnie z *wolą i zarządzeniem* Zgromadzenia Narodowego wszelkie podatki i daniny, które nie zostałyby w przez owo Zgromadzenie dobrowolnie i formalnie zatwierdzone ulegają likwidacji w każdej prowincji kraju, niezależnie od różnic w charakterze administracji lokalnej”. (To jasna aluzja do faktu, że w niektórych prowincjach istniała machina rządu reprezentacyjnego, nad innymi zaś jurysdykcję bezpośrednio sprawowała Korona.) „Zgromadzenie ogłasza, że gdy w porozumieniu z Koroną (a więc nie *pod zwierzchnością* Korony) zakończy pracę nad restrukturyzacją finansów publicznych, poświęci się kwestii restrukturyzacji i obsługi długu publicznego” i tak dalej, i tak dalej.

Oto właśnie punkt wyjścia sporu o suwerenność, jaki rozgorzał od tamtego momentu między Stanami Generalnymi a Koroną; z Koroną jako instytucją niezmiernie starożytną, korzeniami sięgającą czasów Cesarstwa Rzymskiego – i Zgromadzeniem Narodowym jako nowinką, i to świadomą siebie nowinką, niemniej opartą na teorii politycznej korzeniami sięgającej początków społeczeństw.

Dwa dni później, 19 czerwca, „Zgromadzenie Narodowe”, wciąż jeszcze tylko samozwańcze, i działające całkowicie poza granicami prawa, zabrało się do pracy, wyznaczyło składy odpowiednich komitetów, i *de facto* ogłosiło się w ten sposób suwerenem. Spotkało się to z ostrym sprzeciwem szlachty (przede wszystkim biskupów), i

król – za radą Barentina [\[30\]](#) , strażnika pieczęci – zdecydował się na bezzwłoczną interwencję. Za wymówkę posłużył fakt, że „obrad królewskie” (jak je nazywano) Stanów Generalnych wymagały pewnych przygotowań miejsca, i gdy gminy stawili się pod dotychczasową salą obrad następnego dnia (20 czerwca), zastały zatrzaśnięte drzwi. Zebrały się zatem na niedalekim korcie do gry w tenisa, i złożyły uroczystą przysięgę, że nie rozejdą się dopóki nie dadzą Francji konstytucji. Kontynuowały pracę w niedalekim kościele, ale 23 czerwca obrady królewskie jednak się rozpoczęły i król ogłosił swoją decyzję.

Czytelnik koniecznie musi zwrócić uwagę na uderzający fakt, że nawet w chwili kryzysu Korona próbowała uniknąć konfliktu totalnego. Szukano kompromisu. Necker opowiadał się właściwie za zupełną kapitulacją, królowa zaś (wraz ze swym otoczeniem) domagała się manifestacji siły i anulowania wszystkich uchwał podjętych przez gminy. Ostatecznie, Korona zgodziła się na to, by Stany Generalne w pewnych sprawach obradowały wspólnie, lecz bezwzględnie nakazała także zachowanie zasady rozdzielności stanowej „w tym wszystkim, co dotyczy starożytnych i konstytucyjnych praw każdego stanu, konstytucji przyszłych parlamentów, majątków feudalnych i prerogatyw dwóch stanów wyższych”. Takie rozwiązanie sprawy, choć czysto ilościowe, niweczyłoby doszczętnie starania gmin, dorównujących – jak się już powiedziało – liczebnie dwom pozostałym izbom oraz posiadających sojuszników zarówno wśród liberalnej części duchowieństwa, jak i arystokracji. Tym środkiem ilościowym towarzyszyło wszakże również natychmiastowe anulowanie aktu suwerenności Zgromadzenia Narodowego, w którym ogłosiło się ono jedynym

organem uprawnionym do decydowania w sprawach podatkowych. Co więcej, królewska proklamacja kończyła się wezwaniem, by następnego dnia stany obradowały oddzielnie.

W tym krytycznym momencie Zgromadzenie wypowiedziało królowi posłuszeństwo. Nurt czasu płynąć zaczął innymi kanałami, kanałami Rewolucji, z każdym dniem, i z każdym nowym wydarzeniem, pogłębiając je i poszerzając. Już 20 czerwca, gdy Zgromadzenie Narodowe zdecydowało się jednak obradować, mimo jasnej sugestii ze strony dworu, dołączyła do niego większość duchowieństwa. W ów kluczowy dzień obrad królewskich, 23 czerwca, król miał w pewnym momencie pół godziny, gdy mógł użyć siły, zaaresztować posłów i rozwiązać Stany Generalne. Posłowie gmin przyznali sobie co prawda pełną nietykalność, i ogłosili, że wszelka próba aresztowania ich będzie kompletnie bezprawna, jednak słowa te nie miały rzecz jasna żadnej mocy. Ostatecznie jednak wojsko nie interweniowało. Dnia następnego, 24 czerwca, większość duchowieństwa znów dołączyła do gmin w ich obradach (jawnie sprzeciwiając się królewskim rozkazom), 25 zaś, poszło za tym przykładem 47 arystokratów. Król uległ, i 27 czerwca, dwa dni później, nakazał, by Stany Generalne zaczęły obradować wspólnie.

Zgromadzenie Narodowe zyskało w tym momencie sankcję prawną, i z wielkim zapałem zabrało się do pracy. Korona, stare centrum władzy państwowej, zrzekła się dotychczasowych funkcji i poparła Rewolucję, działając wszakże – by tak rzec – na przekór samej sobie. Król zgodził się co prawda nadać pozory legalności działaniom jawnie bezprawnym, i bezpośrednio godzącym w jego

tradycyjne prerogatywy, ale uczynił to z wyraźną niechęcią, i dla wszystkich jasne było, że dwór szykuje się do kontruderzenia.

Ważne, aby czytelnik dobrze zrozumiał jakie siły stanęły naprzeciw siebie wtedy, w przededniu zbliżającej się konfrontacji. Póki co, Rewolucja toczyła się, by tak rzec, na papierze; rewolucyjny akt suwerenności z 17 czerwca, obrady królewskie z 23, wreszcie królewska proklamacja z 27 pieczętująca zwycięstwo gmin – wszystko to były ledwie słowa, i nic poza słowami. A jeśli ktoś przeszedłby w końcu od słów do czynów – jakie *fizyczne* argumenty miały w swych rękach obie strony sporu?

Zatem Korona miała po swojej stronie armię z jej profesjonalnym dowództwem. Bo nigdy nie wolno zapominać, że Korona była egzekutywą – i pozostała nią aż do szturm na pałac trzy lata później, owego zwieńczenia i dopełnienia Rewolucji jakie miało miejsce 10 sierpnia 1792. Zgromadzenie Narodowe zaś – bez wątpienia opinię publiczną, co w kontekście militarnym wszakże nie ma większego znaczenia, i – to już znacznie istotniejsze – władze francuskich miast.

Znikomość miejsca nie pozwala nam tutaj na przedstawienie wyczerpującego opisu źródeł i siły francuskiego systemu municypalnego; wystarczy zatem zwrócić uwagę na to, że cywilizacja galijska przez całą swoją historię, prawdopodobnie jeszcze od czasów poprzedzających inwazję Cezara, a na pewno od momentu, w którym Galia znalazła się pod zwierzchnością Rzymu, była właśnie cywilizacją *municypalną*. I tak zostało do dziś. Nazwy regionów wiejskich w znacznej większości pochodzą od nazw większych miast. To miasta właśnie stanowiły siedziby hierarchii

Kościół, depozytariusza wszystkiego, co pozostało nam z czasów starożytnych. To w miastach powstawały uniwersytety, cechy, ośrodki opinii i korporacje, które stworzyły życie narodu. Najważniejszym spośród owych miast był Paryż. Stary system władzy municypalnej, choć dotknięty zepsuciem i nazbyt wewnętrznie zróżnicowany, wciąż zapewniał miastom możliwość podjęcia skutecznej akcji zbiorowej. I nawet tam, gdzie brakowało po temu odpowiednich narzędzi, akcja ta mogłaby się zawsze w ten czy inny sposób ujawnić, szczególnie wobec kryzysu w jakim znalazła się Francja w tych dramatycznych czasach. W Paryżu, na przykład, gdy nadszedł czas rozwiązań siłowych, kolegium elektorskie nominujące reprezentantów tego miasta natychmiast (i zupełnie spontanicznie) pełnić zaczęło funkcję organizacji w pełnym tego słowa znaczeniu municypalnej, to znaczy wyrażającej i pełniącej wolę ludu. To miasta, a Paryż w szczególności, zdolne były do spontanicznych inicjatyw oddolnych, to one zachowały w sobie bojowego ducha i wołały o powszechny dostęp do broni, a gdy ich lud się uzbroił, potrafiły w mgnieniu oka sformować z niego autentyczne oddziały wojskowe; i to właśnie te oddziały stanowiły argument fizyczny Zgromadzenia Narodowego.

Czym natomiast dysponował król? Jak już powiedzieliśmy, przede wszystkim regularnym wojskiem kraju. Ale, co nader wymownie świadczy o charakterze epoki, w tamtym momencie mógł wykorzystać tylko część potencjału tego wojska. Bo armia to nie tylko broń, ale i żywi ludzie; i choć potrafi działać wbrew powszechnej opinii szeregowców, i potrafi słuchać rozkazów nawet gdy cywilna część społeczeństwa zerwie wszelkie prawne i techniczne więzy z aktualną władzą, to jednak zawsze istnieje tutaj



jednak pewna granica wytrzymałości – i, jak powiadam, Korona nie mogła skorzystać z usług wszystkich żołnierzy, przynajmniej nie tych urodzonych we Francji i mówiących po francusku. Szczęśliwie dla niej, spory procent armii francuskiej stanowili w tym czasie żołnierze najemni.

Ponieważ Francja znalazła się *de facto* w stanie wojny, trzeba nam koniecznie rozważyć cele strategiczne tej siły wojskowej. Celem zasadniczym był, oczywiście, Paryż, najważniejsze z miast kraju; i to właśnie po jego murami zgrupowano, w pierwszych dniach lipca, wszystkich najemników króla. Po tej koncentracji, i po zabezpieczeniu bram miejskich – szczególnie północnej i zachodniej – przez liczne i lojalne wobec niej oddziały (szczególne znaczenie miała tu kawaleria, bezwzględnie najskuteczniejszy środek dyscyplinowania cywilów), Korona była gotowa do czynu.

11 lipca, Necker – reprezentujący w rządzie skrzydło liberalne – został zdymisjonowany. Powołano nowego ministra, i rozpoczęła się kontrrewolucja. Lud Paryża zareagował natychmiast.

Wieści o dymisji Neckera doszły do mieszkańców stolicy (oddalonej od Wersalu raptem o godzinę drogi konno) w niedzielę 12 lipca, popołudniu. Na ulicach zaczęły zbierać się tłumy; pierwsza szarża kawaleryjska, przeprowadzona na otwartych rubieżach miasta z dala od centrum i zakończona kompletnym fiaskiem, podgrzała tylko dodatkowo i tak dość już gorące nastroje mas (atakowali Niemcy pod dowództwem arystokraty), i przelała czarę goryczy. W błyskawicznym tempie powołano oddziały ochotnicze, ze sklepów rusznikarskich zaczęto rekwirować broń, kolegium elektorskie, wybierające członków rady miasta, przejęło kontrolę nad

ratuszem, ale punkt zwrotny powstania – moment, który przesądził o jego powodzeniu – stanowiło zdobycie znacznej ilości uzbrojenia, w tym jednego działu, składowanej w zbrojowni Pałacu Inwalidów.

Dysponując takimi środkami, tłum paryski zdecydował się zaatakować znajdującą się na drugim końcu miasta fortecę (i arsenał), która od długiego czasu uchodziła w oczach mas za symbol monarchii – Bastylię. Kwestiami takimi jak absurdałne niedobory kadrowe garnizonu twierdzy, tego, czy tłum w ogóle mógł zdobyć coś tak dobrze ufortyfikowanego, czy nie, albo domniemywanej lecz niezmiernie wątpliwej zdrady jej zarządcy, nie mamy powodu się tutaj zajmować. Bastylię zdobyto – po długim szturmie okupionym sporymi stratami w ludziach. Do pory wieczornej tamtego dnia, 14 lipca 1789 roku, Paryż zjednoczył się w wielką siłę wojenną. Krótko potem nadeszły wieści o bezwarunkowej kapitulacji króla.

Rankiem następnego dnia zjawił się on przed Zgromadzeniem Narodowym i obiecał wycofać wojska; obiecał także przywrócić na dawną funkcję Neckera, przyznał Paryżowi prawo do reorganizacji samorządu (pierwszym burmistrzem został Bailly), a na koniec – i to ma znaczenie absolutnie kapitalne – zezwolił na sformowanie podległej władzom miasta milicji z La Fayette'em jako wodzem naczelnym. 17 lipca Ludwik udał się do stolicy przypieczętować swoją porażkę i pojawił się w ratuszu z trójkolorową kokardą u czapki; lud zwyciężył.

Wypada zająć się tutaj jeszcze aspektem militarnym tych dramatycznych wydarzeń, rozstrzygających – *fizycznie* – kwestię rewolucyjną.

Paryż miał ówczesnie około miliona mieszkańców: być może, że około 600 000: liczba ta zmieniała się w zależności od pory roku. Zagraniczne wojska najemne, w głównej mierze odpowiedzialne za tłumienie oddolnych porywów ludu, były zbyt małe na przeprowadzenie czegokolwiek, co chociaż przypominałoby oblężenie. Mogły one zablokować bramy i odciąć miasto od zaopatrzenia, ale w takim wypadku z całą pewnością któraś z ich grup – niezmiernie oddalonych od siebie (okrążenie miasta zajmowało przynajmniej dzień drogi) – zostałaby zaatakowana i niemal na pewno zmiażdżona przez ogromnie przeważające siły cywilów, do tego częściowo uzbrojonych.

Czy wobec wzrastającego napięcia żołnierze mogli zmusić ludzi do powrotu do domów? Bardzo wątpliwe. Ulice Paryża były skrajnie wąskie i kręte, obszar potencjalnych działań – ogromny, rdzennie francuska tradycja walk na barykadach – wciąż żywa, a spontaniczna reakcja paryskiego motłochu (fantastycznego materiału na rekruta) dorównywałaby szybkością najbardziej profesjonalnym działaniom dowolnej armii świata.

Ogromnym błędem było zlekceważenie obrony Pałacu Inwalidów, ale nawet gdyby paryżanom nie udało się zdobyć jego zbrojowni, zapasy broni i prochu zgromadzone w innych częściach miasta wystarczyłyby na zorganizowanie długiego i dotkliwego dla napastników oporu. Lokalne siły wsparcia (o niewielkiej, trzeba przyznać, wartości militarnej), „Gwardia Francuska”, jak je nazywano, stały bezwzględnie po stronie ludu. I ogółem, Korony zwyczajnie nie można oskarżać w tej sprawie o jakiegokolwiek

poważniejsze zaniedbania wojskowe. Jej porażka na pewno nie wynikała z braku determinacji.

Prawda jest taka, że (jeśli patrzeć na sprawę wyłącznie z militarnego punktu widzenia) walcząc z dużymi grupami (a) ludzi uzbrojonych, (b) w warunkach, w których nie można ich rozprościć, i (c) z narodowych tradycji czy usposobienia zdolnymi do szybkiej i spontanicznej organizacji oddolnej, nigdy nie można mieć pewności zwycięstwa, a czynnik zmienny (czyli stopień determinacji, zdecydowania i zjednoczenia moralnego cywili) wymyka się przewidywaniom niemal do niemożliwości.

Patrząc na pierwotny plan wojskowy można stwierdzić, że Korona oceniała ów czynnik zmienny zdecydowanie zbyt dla siebie optymistycznie. Ale nawet ówczesna opinia klas wykształconych, życzliwych Rewolucji, nie ustrzegła się tutaj błędu. Tymczasem determinacja paryskich tłumów była tak duża, że żadna – dosłownie żadna – siła wojskowa, którą dysponował wtedy król, niezależnie od jej jakości i rozmiarów, nie potrafiłaby osiągnąć pierwotnego celu i opanować stolicy.

Co do absurdalnego mniemania, jakoby jakakolwiek, najmniejsza nawet liczba mundurowych zdolna była poskromić największe tłumy cywilów, nawet najlepiej uzbrojone i zorganizowane (byle tylko mundurowi naprawdę mieli *mundury*), to dla każdego, kto wykazuje choćby minimum zainteresowania historią wojskowości, nie jest ono warte nawet minuty namysłu. Szczerze mówiąc, nie wiem, kto mógłby traktować coś takiego poważnie – chyba tylko profesorowie uniwersytetów.

Tak też właśnie zakończyła się pierwsza faza Rewolucji, trwająca od rozpoczęcia obrad Stanów Generalnych, czyli od maja, do lipca 1789 roku.

## ***II – Od 17 lipca do 6 października 1789***

Przyjrzelśmy się już uwarunkowaniom militarnym, które przesądziły o porażce kontrrewolucji. Po niej nastąpił zaś bardzo krótki okres przejściowy, nie dłuższy niż trzy miesiące – i możemy opisać go tutaj w dosłownie kilku zdaniach.

W tym właśnie momencie Rewolucji idee mogły rozwijać się najswobodniej, w tym robiono najmniej, by sprawdzić je w praktyce, i w tym – w związku z wymienionymi wyżej okolicznościami – było najwięcej miejsca na czysty entuzjazm. To dlatego właśnie w tym okresie nastąpiło, na przykład, zupełnie spontaniczne zrzeczenie się praw feudalnych przez szlachtę. I dlatego na terytorium całej Francji trwały brutalne powstania. To właśnie wtedy promulgowano *Deklarację praw człowieka i obywatela*, dokument, który w sensie historycznym zasadnie porównać można do *Deklaracji niepodległości* (bo to właśnie te dwa teksty pospołu stanowią najwspanialszy pomnik początków nowoczesności). To właśnie w tym okresie tak szybko i zgodnie położono fundament pod nową konstytucję, zapoczątkowując także tradycję polityczną *jednej izby*, którą współczesny naród francuski tak nieroztropnie zdecydował się porzucić. Ale to również właśnie w tym okresie Korona, a właściwie ci, którzy jej doradzali, opracowała nową metodę oporu. Król wahał się czy przyjąć *Deklarację praw człowieka*, a także akt z 4 sierpnia, w którym szlachta zrzekała się przywilejów feudalnych. Głupstwem byłoby wyolbrzymiać militarną wagę konsekwencji tego wahania. Fakt, Ludwik zawezwał wojska, ale tylko tyle, ile potrzebował do

zapewnienia sobie osobistego bezpieczeństwa, i nie ma najmniejszego powodu podejrzewać, że miał jakieś inne, ukryte zamiary. Niemniej, brygada, która zaczęła strzec jego pałacu (bo była to tylko jedna brygada, dodatkowo niepełna) od razu wzbudziła pewne podejrzenia; a zwyczajnie głupia postawa królowej (przez całe życie uważającej regularnych żołnierzy za coś w rodzaju talizmanu, byle tylko ci nosili mundury i trzymali się prosto) przyspieszyła wybuch. Wydano ucztę, na której oficerowie gwardii mieli za zadanie zabawiać oficerów regimentów flandryjskich, które dopiero co dotarły do Wersalu. Jak zwykle przy takich okazjach, nie wylewano za kołnierz, i z czasem całą sprawa przerodziła się w wielką manifestację rojalistyczną – królowej zaś, ewidentnie się to bardzo podobało; uświetniła ją swoją obecnością i nie potępiła niczego, co się wydarzyło – i w ten sposób dała początek plotkom jakoby to ona sama odgrywała w tym wydarzeniu rolę kierowniczą.

Skąpe zbiory, niemożność zaradzenia niedoborom żywności w Paryżu, nieustanne poczucie zagrożenia, w którym pogrążeni byli mieszkańcy stolicy, a także nieustanna czujność o bezpieczeństwo parlamentu, obradującego spokojnie od wczesnego lata – nie trzeba chyba mówić, co oznacza kombinacja podobnych czynników; i ta naprawdę mała rzecz szybko okazała się iskrą na beczkę prochu. Błędem jest wyobrażać sobie, że eksplozja, która nastąpiła później, była kontrolowana, albo że podobnie masową reakcję dałoby się wywołać sztucznie. Wielkie rzesze kobiet (od których wszystko się zaczęło), a za nimi również i mężczyźni, ruszyły na Wersal.

Oczywiście, nie nastąpiło nic w rodzaju bezpośredniego ataku, choć pałac bał się go panicznie. Obecność wojskowa przy dworze

była póki co dość duża, by zapobiec przemocy.

Nocą na miejscu akcji zjawił się La Fayette na czele swoich nowych oddziałów.

Przeceniono jednak znacznie możliwości tej nowej siły; tłum zdobył pałac już rankiem następnego dnia, i choć nie udało mu się zamordować królowej, to było bardzo blisko, i dwóch gwardzistów poniosło śmierć. Wobec tych przykrych scen, których brutalność i pozorna anarchia stanowiły ledwie maskę zbiorowej determinacji ludu, rodzina królewska zmuszona została opuścić Wersal i udać się do Tuileries; w reakcji, parlament również przeniósł obrady bezpośrednio do Paryża, i ani król ani posłowie nie powrócili już nigdy na przedmieścia.

Fakt powrotu monarchy do stolicy jest zresztą znacznie istotniejszy niż wyczyny tłumu. Obecność króla właśnie w *Paryżu*, mistyczna niemal jedność jego osoby z miastem stołecznym, przez wieki stanowiła jakby sakrament francuskiego życia politycznego. Dokładnie sto lat wcześniej Ludwik XIV złamał tę tradycję, i przeniósł się na Wersal. Współcześni obywatele państwa oligarchicznego mogą pojąć wagę tego błędu właściwie wyłącznie przez analogię, i spróbować wyobrazić sobie (na przykład) co by się stało, gdyby cała arystokracja kraju nagle przeniosła się do miast. Przyszli historycy cywilizacji przemysłowej, nawiasem, będą mieli tutaj znacznie łatwiejsze zadanie, bo stosowna paralela sama się narzuca; i niejeden dziejopis zwróci na pewno jeszcze uwagę na konsekwencje jakie ma w naszych czasach odpływ wielkich przemysłowców na wieś – co to znaczy porzucić centrum swojej władzy, i odizolować się kompletnie od żywotnych spraw ludu.



A zatem zrządem losu zarówno rodzina królewska, jak i Zgromadzenie, znalazły się w stolicy, w samym sercu życia narodowego; ale skutki były tutaj bardzo różne. Bo gdy parlament krok po kroku, powoli ale skutecznie, zbliżał się do osiągnięcia tego, co uważał za całkowitą demokratyzację kraju (choć miała być to demokratyzacja dramatycznie *częstkowa*, co się jeszcze później okaże), wpływy Korony zaczęły ograniczać się właściwie wyłącznie do samego dworu. Opór wobec Rewolucji stawał się kwestią osobistą. Król wciąż jest jeszcze głową egzekutywy; przynajmniej teoretycznie ma absolutną kontrolę nad wojskiem i budżetem; odpowiada za całość funkcji wykonawczych rządu. Te tradycyjne prerogatywy mało go już jednak obchodzą, i nawet nie śniłoby mu się użyć ich do odzyskania przedrewolucyjnej pozycji. Od tej pory działa właściwie wyłącznie jako jednostka, i to jednostka, która się boi. Królowa, zawsze patrząca na Rewolucję i jej skutki z czysto osobistego punktu widzenia, od października 1789 roku przejmuje zatem w stronnictwie dworskim rolę siły wiodącej; i na osiemnaście następnych miesięcy, głównym zmartwieniem tego stronnictwa staje się osobiste bezpieczeństwo. Pośród całego przepychu Tuileries, w wielkim teatrze zewnętrznych pozorów władzy, większych, niż w wypadku jakiegokolwiek innego monarchy Europy, Ludwik, jego żona, i kilku ich najbliższych i najbardziej oddanych przyjaciół czują się jak w więzieniu – i pragną jak najprędzej się z niego wyswobodzić.

### ***III – Od października 1789 do czerwca 1791***

Tym właśnie tłumaczy się wszystkie wydarzenia fazy bezpośrednio następnej, trwającej od wczesnych dni października 1789 do ostatniego tygodnia czerwca 1791. Przez te dwadzieścia jeden miesięcy król pozwala Rewolucji toczyć się własnym torem, samemu usilnie szukając drogi jej stłumienia – czy to wewnętrznie (po ucieczce z Paryża), czy to przy wsparciu obcych wojsk. Ale nawet tutaj nie zachowuje pełnej konsekwencji. Wzrastający wstręt króla i dworu do ogólnego charakteru rewolucyjnych wypadków uniemożliwiał mu czysto „funkcjonalną” (że tak powiem) i hipokrytyczną akceptację postanowień Zgromadzenia Narodowego – a tylko ta mogłaby gwarantować mu spokój i bezpieczeństwo.

Przemyślana i na zimno przeprowadzona intryga mogła jeszcze uratować we Francji ustrój monarchiczny – i, przedziwnym zbiegiem okoliczności, właśnie w tym momencie, król miał odpowiedniego człowieka na wyciągnięcie ręki: skuteczny intrygant, potencjalny zbawca królestwa i obrońca dynastii był wtedy w Paryżu, i działał; nazywał się Mirabeau.

Ten znakomity polityk dominował Zgromadzenie Narodowe coraz bardziej i bardziej wydatnie; dawał się poznać od samego początku obrad; to on był głosem jego sprzeciwu wobec króla; to on 23 czerwca 1789 odpowiedział mistrzowi ceremonii, że gminy się nie rozejdą; to dzięki jego inicjatywie posłowie stanu trzeciego poszli na konfrontację, i przyznali sobie – w perspektywie możliwej interwencji wojskowej – pełną nietykalność cielesną. Pochodził z rodziny

arystokratycznej, znanej powszechnie z bogactwa i ekscentryzmu, w głównej mierze ze względu na wyczyny jego ojca. Osobiście jeszcze przed Rewolucją zasłynął publicznie ze swej gwałtowności, romansów, inteligencji i gigantycznych długów. Był od króla i królowej o kilka lat starszy; jego osobowość ich odpychała; mimo wszystko, szczerze pragnął ocalić Koronę – i, nie tracąc faktycznej zwierzchności nad Zgromadzeniem Narodowym (którą zapewniały mu wielka biegłość retoryczna oraz umiejętność manipulacji), w sekrecie służyć rodzinie królewskiej, przede wszystkim królowej, którą darzył wielkim, niemalże religijnym uwielbieniem, pomocą i radą – radą, która *rzeczywiście* mogła ją ocalić. Jak się za chwilę przekonamy, plany Mirabeau coraz wyraźniej i wyraźniej ciążyły w kierunku wywołania wojny domowej. Niestety, polityk ten zmarł tuż pod koniec fazy wypadków rewolucyjnych, którą się teraz zajmujemy (konkretnie 2 kwietnia 1791), król i królowa zaś, działali coraz mniej racjonalnie, a coraz bardziej panicznie – i te dwa czynniki uniemożliwiły rozwiązanie sprawy w sposób prawdziwie polityczny; zabrakło nawet niskiej polityczności intrygi; i dalszy rozwój wypadków przyniósł tylko z jednej strony (ze strony Rewolucji) błyskawiczną i niekontrolowaną ekspansję teorii demokratycznej (gdy ostrożność klasy średniej przestała wystarczyć do tonowania nastrojów), z drugiej zaś – fizyczny strach dworu, pragnienie ucieczki, ale także odwetu – i pełnego przywrócenia starej narodowej monarchii.

Tych osiemnaście miesięcy, jakie upłynęło od momentu, w którym Paryż na powrót stał się siedzibą tak dworu jak i Zgromadzenia Narodowego do śmierci Mirabeau, ma znaczenie kluczowe, i to z kilku powodów, które to powody należy rozważać, że tak powiem,

łącznie, bo tylko taka metoda opisu pomoże nam zrozumieć ich kumulatywny skutek.

1. W tym właśnie okresie Zgromadzenie Narodowe wykonało swą zasadniczą pracę *konstruktywną*, odmieniając oblicze narodu. Złożone z prawników ciała doradcze zwane „parlamentami” zostały zlikwidowane (jedenaście miesięcy po tym, jak król zmuszony był wrócić do Paryża), miejsce starych prowincji zajęły nowoczesne departamenty, stara milicja – krajowa i prowincjonalna – uległa likwidacji; niemniej (i koniecznie trzeba o tym pamiętać) *stara armia regularna pozostała nietknięta*. Zreorganizowano wymiar sprawiedliwości i procedury sądowe. Spisano nowe kodeksy prawne, i skończono z chaosem „prawa zwyczajowego”. Słowem, wszystko to, co kojarzymy zazwyczaj jako największe dokonania Wielkiej Rewolucji albo zyskało pełną formę teoretyczną, albo przynajmniej ogólny zarys.

2. Pośród wszystkich konstruktywnych wysiłków tego czasu miejsce szczególne zajmuje konstytucja cywilna kleru, o której powie się jeszcze sporo w dalszych częściach tej książki; stanowiła ona najbardziej brzemienne w skutki dokonanie (i najpoważniejszy błąd) tych osiemnastu miesięcy.

3. Duch Rewolucji, trudniejszy do zdefiniowania niż jej teoria, ale łatwy do uchwycenia jeśli tylko śledzi się uważnie rozwój wypadków, powoli – ale skutecznie – wszedł w fazę dynamicznego rozwoju. Władza królewska, wciąż tożsama z władzą wykonawczą, coraz mocniej i mocniej drażniła opinię publiczną i –

4. Owa opinia publiczna zaczęła przyjmować coraz bardziej scentralizowane i ogólnonarodowe formy wyrazu, czego zarodkiem i symbolem zarazem stała się wielka *Fête de la Federation* , zorganizowana w Paryżu 14 lipca 1790 roku jako upamiętnienie zdobycia Bastylii. Na uroczystości zjawili się delegaci Gwardii Narodowej ze wszystkich zakątków kraju, co miało znaczenie kluczowe: bo wprowadziło do ruchu rewolucyjnego element wojskowy, tym samym zjednując mu sympatię większej części armii regularnej.

5. I kolejno, przez całe te osiemnaście miesięcy trwała tak zwana „emigracja”, to znaczy – rzecz jasna – odpływ z Francji wielu spośród bardziej uprzywilejowanych (i całej rzeszy mniej uprzywilejowanych), a także małej grupy duchownych. Koniecznie należy odnotować tutaj czyny rodzonych braci króla (pierwszy, hrabia d’Artois [\[31\]](#) , uciekł zaraz na początku Rewolucji, drugi – na końcu, i zbiegiem okoliczności mniej więcej w tym samym momencie, co król) – bo to oni właśnie, we współpracy z co bardziej znacznymi arystokratami, doprowadzili do powstania w środowisku emigrantów regularnej organizacji politycznej, bez ustanku knującej przeciw rewolucjonistom poza granicami kraju (zwłaszcza w Niemczech i we Włoszech), i –

6. To właśnie na przestrzeni tych osiemnastu miesięcy należy szukać zasadniczych przyczyn przyszłej, wielkiej europejskiej wojny. Armia emigrantów pod wodzą księcia Condé [\[32\]](#) sformowała się szybko nad brzegami Renu, i choć próżno jeszcze było wypatrywać w Europie jakiegokolwiek innej antyrewolucyjnej reakcji militarnej, to

jednak owi *émigrés*, jak ich nazywano, zasiali ziarno mające wydać owoc podczas strasznych wydarzeń 1792.

Jak rzekłem, przez te osiemnaście miesięcy, gdy Rewolucja wykonała już większość swej konstruktywnej pracy, gdy zasiano ziarno wielkiej wojny, i gdy absolutna władza egzekutywy – Korony – coraz mocniej drażniła opinię publiczną Francji, a szczególnie Paryża, Mirabeau był jedynym człowiekiem, który mógł ocalić ciągłość instytucji politycznych narodu i obronić monarchię. Dwór udzielił mu wsparcia finansowego, on zaś miał w zamian opracować plan działania. Rada, której udzielił, była godna prawdziwego geniuszu, ale stanowiła również arcydzieło praktyki politycznej – dlatego ostatecznie nie spotkała się z ciepłym przyjęciem. Tak więc Mirabeau również zalecał królowi opuszczenie Paryża, ale chciał, by Ludwik uczynił to otwarcie, przy asyście wojskowej, udał się do jednego z niedalekich centrów rojalistycznych (takich jak choćby Compiègne), i tam czekał na rozstrzygnięcie wojny domowej.

Tymczasem, królowa forsowała zupełnie inny, i znacznie bardziej osobisty, plan działania, nie mający w sobie ani krzty polityczności. Jedyne, czego pragnęła, to ocalić życie swoje, swego męża i swoich dzieci. Datę ucieczki ustalano, przenoszono i jeszcze raz przenoszono. Bo dwór jednogłośnie zdecydował się zrealizować koncepcję królowej, a nie Mirabeau – czyli po prostu uciekać. Armia dowodzona przez generała Bouillé [\[33\]](#) miała wysłać na wielki trakt wiodący z Paryża na wschód małe podjazdy; pierwszy miał przechwycić rodzinę królewską tuż za Chalôns i odeskortować ją dalej; inne podjazdy miały dołączać stopniowo później, i (w razie potrzeby) bronić króla do ostatniej kropli krwi, dopóki nie dotrze do

miejsowości Varennes i nie przejmie dowodzenia nad całością sił rojalistycznych.

Co miało nastąpić potem – nie wiemy. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że Król nie chciał uchodzić zagranicę, ale zamierzał schronić się w Montmédy. Konflikt jaki by wtedy nastąpił, na pewno nie byłby zwykłą wojną domową: niemal na pewno włączyłyby się do niego wojska państw obcych (o zagranicznych najemnikach nie wspominając), i wspólnie z siłami rojalistów starały się zdobyć Paryż, i dokonać bezwzględnej restauracji starego porządku.

Gdyby Mirabeau żył, próby realizacji tego nieroztropnego i niegodnego monarchy planu być może udało by się uniknąć; niestety, zmarł 2 kwietnia 1794 – i już niedługo potem rozpoczęła się trzecia [\[34\]](#) faza Rewolucji, mająca doprowadzić do wielkiej wojny i końca ustroju monarchicznego.

Krótko po śmierci Mirabeau rozpoczęły się wielkie niepokoje publiczne, które przeraziły rodzinę królewską i zmusiły ją do rezygnacji z planu opuszczenia Tuileries i spędzenia Wielkiej Nocy w Saint-Cloud, na przedmieściach. Choć ucieczkę odkładano jeszcze kilka razy, ostatecznie – w nocy z 20 na 21 lipca 1791 – rodzina królewska opuściła Paryż. Zabrakło bardzo niewiele, ale przez kilka niefortunnych zbiegów okoliczności, ostatni z których – słynny pościg Doureta [\[35\]](#) – stanowi na pewno jedno z najlepiej znanych wydarzeń historii ludzkości, król, królowa oraz ich dzieci zostali schwytani (ledwie kilkaset jardów od celu) i sprowadzeni z powrotem do Paryża, w którym powitały ich ogromne i wściekłe tłumy

francuskiego ludu. Z tą nieudaną próbą ucieczki, trzecia faza Rewolucji dobiega końca.



## *IV – Od lipca 1791 do września 1792*

Aby zrozumieć kapitalne znaczenie zarówno ucieczki jak i jej fiaska, kolejny raz trzeba nam podkreślić tutaj absolutnie wyjątkową rolę, jaką odgrywała monarchia w tradycjach i instynktach narodu francuskiego. Trudno zbyt mocno zaakcentować katastrofalną nieroztropność tego uczynku: podobnie jak i gwałtowność rewolucji moralnej, którą spowodował. Społeczeństwo uznało ucieczkę Ludwika właściwie za akt abdykacji. Opinia prowincji, opinia cicha i umiarkowana, ale realnie bardzo silna, wciąż życzliwa królowi i uznająca jego panowanie za oczywistość, zupełnie osłupiała, i w znacznej części – nieco później – odwróciła się od Korony.

Doskonałym świadectwem rzeczywistego znaczenia monarchii w historii Francji jest fakt, że nawet w dobie tak wielkiego kryzysu imię „republika” z rzadka tylko pojawiało się na ustach ludzi, a jeśli, to tylko przedstawiciele paryskich kółek inteligenckich. Wszystkie konstytucyjne i aktywne ośrodki władzy zawiązały wielką konspirację mającą na celu ocalenie monarchii za cenę najbardziej nawet absurdalnych pozorów i fikcji. Mieszczańska Gwardia Narodowa pod dowództwem La Fayette’a stłumiła, w słynnej masakrze na Polu Marcowym [\[36\]](#), kiełkujący ruch polityczny ludu. Radykałowie (z Dantonem na czele) uciekli zagranicę bądź zaczęli się ukrywać. Księżę Orleanu nie zdołał wykorzystać nadarzającej się okazji i obwołać się regentem: tradycja monarchiczna była po prostu zbyt silna.

Tuż po obchodach drugiej rocznicy zburzenia Bastylii, w lipcu, parlament wydał nonsensowny dekret stwierdzający, że król nie ponosi odpowiedzialności za własną ucieczkę, że „poniósł go koń”, we wrześniu zaś Ludwik, choć zawieszony w prawach władzy wykonawczej, złożył przysięgę na wierność konstytucji i ponownie stał się wodzem naczelnym wszystkich sił zbrojnych kraju.

Ale cała ta pośpieszna łatanina, ta desperacka próba ratowania fasady monarchii konstytucyjnej (fikcji, której śmieszność ubliżała francuskiemu duchowi narodowemu bardziej, niż jawne kłamstwo), przyszła za późno. Królowa napisała już do swego brata Leopolda, cesarza Austrii, otwarcie sugerując mu zgrupowanie przy granicy z Francją sporych sił wojskowych i użycie ich jako czynnika nacisku w relacjach z rewolucjonistami. Jej czyn zbiegł się w czasie z rozwiązaniem owego wielkiego parlamentu, wybranego przy najbardziej w historii Francji demokratycznym cenzusie, który odmienił oblicze całego społeczeństwa i położył fundamenty pod nową, rewolucyjną konstytucję. Do czasu gdy następny parlament rozpoczął obrady (1 października 1791), wojna stała się realną możliwością; potem zaś, możliwość owa przemieniła się w prawdopodobieństwo, prawdopodobieństwo zaś – w rzeczywistość.

W nowym parlamencie największe znaczenie, nie ze względu na liczbę, ale siłę przywódczą, odgrywała grupa szczerych i nader elokwentnych posłów, których – z racji tego, że najważniejsi spośród nich pochodzili z departamentu o nazwie Żyronda – nazywano „żyrondystami”. Wyznawali oni ideał demokratyczny w formie najczystszej i najbardziej płomiennej, jaką tylko można sobie wyobrazić – mniej *francuskiej*, zapewne, niż niektórzy bardziej

radykałni od nich politycy, ale takiej, która do dziś wzbudza szczery entuzjazm wielu historyków.

Verganiaud [37] i Isnard [38] odgrywali w tej grupie rolę wielkich mówców, Brissot [39] – intelektualisty-intryganta, żona Rolanda [40] zaś, jednego z posłów – jak gdyby duszy całego towarzystwa. To właśnie ich działania doprowadziły ostatecznie do wybuchu wojny – i wiele mówi to, doprawdy, o charakterze tego zgromadzenia.

Radykalna opozycja, o której już napomknąłem (potocznie określana mianem „górali”), w kwestii instynktów, poglądów i sposobu działania reprezentowała przede wszystkim lud paryski. Robespierre, z początku nieznany orator, potem zaś „oficjalny” niemal fanatyk Zgromadzenia Narodowego, choć w tej kadencji nie był posłem, stanowił zapewne najbardziej rozpoznawalną osobistość tego stronnictwa – właśnie dlatego, że przemawiał w Paryżu, i był tam uwielbiany; a „górale”, istotnie, *byli* Paryżem, tak w parlamencie jak i poza nim; Paryżem, stolicą, mózgiem francuskiego organizmu politycznego. Nie przypadkiem później to oni właśnie (choć z początku przeciwni działaniom wojennym) mieli zapewnić armii francuskiej niezbędną siłę i moc, uciekając się do brutalności i despotyzmu, którymi brzydziły się czystsze i mniej praktyczne umysły żyrondy.

3 grudnia 1791 roku (aby przypomnieć tu choć jedną z ważniejszych dat tego szalonego okresu poprzedzającego wojnę, mającą ostatecznie odmienić oblicze Rewolucji), król wysłał do króla pruskiego list (bez żadnych wątpliwości podyktowany mu przez żonę, co można bardzo łatwo stwierdzić), w którym błagał go

(podobnie jak Antonina wcześniej cesarza Austrii) o mobilizację znacznych sił wojskowych mających służyć za narzędzie nacisku na polityków Rewolucji. List ów, to wymowne świadectwo czasu. W obu stronnictwach rośnie napięcie, i eksplozja mogła nastąpić w każdej chwili. Gra zaś bynajmniej nie toczyła się tylko o mętne generalizacje. Anektując enklawę Państwa Papieskiego (Awinion) rząd rewolucyjny otwarcie złamał obowiązujące umowy międzynarodowe, a znosząc przywileje feudalne alzackich książąt Cesarstwa Niemieckiego podważył polityczny ład Europy. Aby zrozumieć wagę tego uczynku, musimy wyobrazić sobie co by się stało, gdyby państwo współczesne skonfiskowało oszczędności prywatnych obywateli obcego kraju; był to podobny kaliber problemu.

Rewolucjoniści wszakże, również mieli słuszne powody do niepokoju – bo Cesarstwo zezwoliło emigrantom na sformowanie sił wojskowych zaraz pod granicami Francji.

Niemniej, te jasne i oczywiste z prawnego punktu widzenia sprawy nie stanowiły prawdziwych przyczyn wojny. Prawdziwą przyczyną było dążenie niezreformowanych rządów Europy (szczególnie Prus i Austrii) do zatrzymania postępów rewolucyjnych (we własnym interesie) i przekonanie, że regularne armie krajów niemieckich z łatwością rozprawią się, w razie potrzeby, z nową władzą Galii.

Dwór w Wiedniu nie przyjął naprawdę sprawiedliwego zadośćuczynienia oferowanego przez władze francuskie książętom Alzacji za utratę przywilejów feudalnych; Leopold, członek tego samego pokolenia, co Ludwik i Maria Antonina, zmarł 1 marca 1792, jego syn zaś, który zajął miejsce na tronie, miał ledwie dwadzieścia

cztery lata; i bardzo łatwo dał się przekonać do rozpoczęcia działań wojennych.

Francuzi również, z wyjątkiem „górali” (a w szczególności Robespierre’a), nie do uwierzenia zgodnie opowiadali się za wojną.

Tak też opowiadali się za nią dwór i reakcyoniści; bo – jako niewzruszenie pewni zwycięstwa koalicji – upatrywali w niej swoje wybawienie.

Frakcja rewolucyjna – to jest miażdżąca większość opinii publicznej oraz tak zwani „patrioci” (jak sami się określali), politycy żyrondy, pragnęli zaś czegoś w rodzaju rewolucyjnej krucjaty; jak wszyscy idealiści karmili się iluzjami, i naprawdę wierzyli, że wojska francuskie stać na podobny wysiłek. Przygotowano plany kampanii (które królowa bez chwili zwłoki przekazała wrogowi); w marcu 1792 roku funkcję ministra spraw zagranicznych objął Dumouriez, znakomity żołnierz, i miesiąc później, 20 kwietnia, Francja wypowiedziała wojnę Austrii (czy, gwoli precyzji, „królowi Austrii i Bohemii”).

Taki był bowiem wciąż tytuł oficjalny bratanka Marii Antoniny, choć dziedzica Cesarstwa, to jeszcze niekoronowanego na cesarza. Żyronda miała nadzieję, że ten gest pozwoli jej uniknąć wojny z całymi Niemcami, i istotnie, elektorzy ostatecznie (z jedynym wyjątkiem landgraфа Hesji) ostatecznie Józefa nie wsparli. Ale największa bezwzględnie siła w Niemczech – ta, której Dumouriez obawiał się najbardziej – Prusy, już tak. Listy Ludwika zrobiły swoje.

W tym krytycznym momencie, francuska armia i jej twierdze obronne miały się najgorzej w dziejach. Dyscyplina wojskowa

właściwie nie istniała. Wojsko regularne starego *regime'u* straciło w wyniku emigracji od sześciu do dziewięciu tysięcy oficerów, z nowymi ochotnikami armii rewolucyjnej (z których sformowano pod dwieście batalionów) żyło mniej więcej jak pies z kotem; co więcej, bataliony ochotnicze były w większej części źle zaopatrzone, nieliczne, niektóre istniały tylko na papierze; żaden nie przeszedł odpowiedniego szkolenia. Nawet w spokojniejszych czasach, w których rząd mógłby działać sprawnie i skutecznie, do utrzymania granic potrzeba byłoby czterystu tysięcy ludzi; takie są dane szacunkowe. Tymczasem, od gór Szwajcarii po Kanał La Manche, Francja mógł skorzystać ledwie z *jednej piątej* tej liczby. Pod bronią było ledwie osiemdziesiąt tysięcy mężczyzn. Sama armia pruska, nie licząc sił sojuszniczych, przewyższała tę skarłałe i zdezorganizowane wojska niemal trzykrotnie.

Pierwsze starcia zamieniły się w naraz tragiczne i groteskowe widowisko; niedoświadczeni żołnierze francuscy pierzchali przed Niemcami w kompletnej panice. Król wykorzystał te klęski jako pretekst do zdymisjonowania żyrondystów i rozpoczęcia reakcji. Parlament zareagował w sposób z militarnego punktu widzenia kompletnie jałowy, i obliczony wyłącznie na walkę z Koroną, co stanowiło właściwie akt zdrady narodowej. Nakazał rozwiązanie gwardii królewskiej, sformowanie za murami Paryża oddziałów tzw. „federalnych” [\[41\]](#) i rozpoczęcie represji wobec ortodoksyjnych księży; grając na przeczekanie, i wypatrując rychłego nadejścia wojsk koalicyjnych, Ludwik zawetował dwie ostatnie z tych ustaw. La Fayette, dowódca armii środka (z kwaterą główną w Sedanie), stacjonującej dokładnie na linii ataku, poparł króla.

Gdyby wojska Austrii i Prus w tym momencie przyspieszyły, Rewolucja dobiegłaby końca. Szczęśliwie czy nie, mobilizacja się przeciągała, a ich marsz – choć dobrze zaplanowany – był niezmiernie powolny. Lud paryski długo nie martwił się wojną, o czym wielka manifestacja antyroyalistyczna z 20 czerwca świadczy aż nadto dobitnie. Dopiero pod koniec sierpnia główne siły dwóch monarchów, pod wodzą księcia Brunszwiku (cieszącego się opinią najlepszego dowódcy swojego czasu), ruszyły na stolicę. I dopiero 23 sierpnia najeźdźcy zdobyli pierwsze miasteczko przygraniczne – Longwy.

W międzyczasie nastąpiły dwa wydarzenia, które wyzwoliły w narodzie francuskim – mimo nieprawdopodobnej nędzy jego sił zbrojnych – pokłady determinacji i poczucia solidarności, które pozwoliły do pewnego stopnia owej nędzy zaradzić. Po pierwsze zatem, na trzecie obchody rocznicy zburzenia Bastylii (14 lipca) ściągnęły do Paryża delegacje z innych miast, w tym wiele zbrojnych; to zapewniło narodowi jedność odczuwania. Po drugie, książę brunszwicki wydał w Cobletz, siedzibie jego sztabu – 25 dnia tego samego lipca – swój słynny manifest, którego treść Paryż poznał trzy dni później, i który (choć wielu współczesnych historyków usiłuje ten fakt zanegować) wprawił opinię publiczną Francji w istną furję.

Otóż manifest ten wzywał Francuzów, w imieniu całej koalicji, do przeprowadzenia całkowitej restauracji starego systemu oraz ogłosił rewolucjonistów i nowe władze kraju za rebeliantów i zagroził im karą śmierci, co samo w sobie stanowiło wystarczająco agresywną prowokację – ale na tym nie koniec, bo w dokumencie znalazła się

jeszcze jedna klauzula, która rozwścieczyła lud Paryża szczególnie skutecznie. Autorem tego punktu była Maria Antonina, a treść jego stanowiła groźba, że w razie jakiegokolwiek próby ataku na pałac królewski, Paryż zostanie przez wojska koalicyjne splądrowany i objęty dyktatem wojskowym.

Dwa dni później „federalni” z Marsylii – znakomici żołnierze, wszyscy z klasy średniej – choć z wojskowego punktu widzenia ledwie amatorzy, i do tego bardzo nieliczni, weszli do miasta. To właśnie od tego momentu ich pieśń marszowa, zwana „Marsylianką”, zaczęła stawać się tak popularna. Dokonali rzeczy niemal niemożliwej; przeszli całą Francję, ciągnąc ze sobą do tego jedno działo, w średnim tempie osiemnastu mil na dzień – w samym środku wyjątkowo upalnego lata, i zajęło im to niespełna miesiąc. Historia wojskowości nie zna paraleli tego wyczynu, ówczesna opinia publiczna nie dała się zaś ledwie porwać poetyckiej przesadzie widząc w tym marsyjskim batalionie przyszłych bohaterów zbliżającej się konfrontacji.

Ostatecznie, lud starł się z dworem 10 sierpnia. Pałacu strzegło około sześciu tysięcy żołnierzy [\[42\]](#) \*, z których około jedną piątą stanowili zawodowi żołnierze gwardii szwajcarskiej. Pałac (Tuileries) był zatem, czy może powinien być, w tamtych warunkach po prostu nie do zdobycia. Atak mas paryskich, możemy mieć najzupełniejszą pewność, skończyłby się sromotną klęską, gdyby tylko połączenie między Tuileries a Luwrem zostało skutecznie przerwane. Istotnie, sporą część posadzki udało się do tego momentu zerwać, niemniej albo wykop był niedostatecznie szeroki albo posterunek nie miał dostatecznie dużej załogi; lud i „federalni”, z łatwością odrzuceni od



frontu pałacu, zdołali wdrzeć się do niego dokładnie tam, gdzie łączył się z Luwrem; zaczął się zmasowany ostrzał pokojów Tuileries ze skrzydła – i królewski garnizon, wobec tak ogromnej przewagi taktycznej przeciwnika, skapitulował.

W tym samym czasie, król, królowa, delfin, jego mała siostrzyczka i reszta związanych z rodziną królewską schronili się w sali obrad parlamentu.

Po zwycięstwie ludu podjęto decyzję co do ich dalszych losów; zostali oni uwięzieni w dawnym klasztorze templariuszy, właściwie średniowiecznej fortecy na północno-wschodnim krańcu Paryża, i choć monarchia nie została jeszcze formalnie zniesiona, najbardziej radykalni – i najbardziej energiczni – politycy Rewolucji szybko zajęli miejsce starej egzekutywy. Głową tej grupy był nie kto inny, tylko Danton. Ona to właśnie wprowadziła do struktur władzy wojskowego ducha, pogardę dla formalizmu i szybkość decyzji. Współsprawców znanej już powszechnie zdrady dworu, jego sojuszu z obcymi państwami, aresztowano na setki. Zaciąg ochotników do armii, już wtedy bardzo żywy, znalazł nareszcie oficjalne wsparcie władzy; Rewolucja zaś, zrzucając ostatni balast, natychmiast weszła w fazę największego radykalizmu. W tym samym momencie, najeżdźca przekroczył granicę, i 19 sierpnia pierwsi niemieccy żołnierze postawili swe stopy na francuskiej ziemi.

Bardzo możliwe, że zwłoka Prusaków była w pełni świadoma, ponieważ międzynarodowa sytuacja Francji nie należała do najłatwiejszych, i decyzja o interwencji nastąpiła bardzo późno. Miejsce, podobnie jak i data, tego wydarzenia zasługują na sławę większą od tej, którą się obecnie cieszą. Książę Brunszwiku wszedł

na ziemię Francji dokładnie w owym małym trójkącie rozciągającym się na granicy Lotaryngii i Luksemburga, w wiosce zwanej Redagne: tam właśnie uprzywilejowani i możni Europy postawili pierwszy krok na drodze wiodącej do Paryża – i ku zniszczeniu ustroju demokratycznego. Osiągnięcie pierwszego celu zajęło im dwadzieścia dwa lata – drugi do dziś *nie* został osiągnięty, ale nie z braku starań.

Siły, które Francja mogła rzucić tamtego dnia przeciw wojskom koalicji, zostały zmiażdżone. Cztery dni później, jak już widzieliśmy, Fryderyk zajął przygraniczną twierdzę Longwy; przed upływem tygodnia dotarł pod Verdun.

Verdun nie miało najmniejszych szans – żadnego garnizonu i żadnej możliwości obrony. Wieści o jego nieuniknionym upadku dotarły do Paryża 2 września; wszyscy wiedzieli zaś, że w razie upadku Verdun droga do stolicy stanie otworem; od tego momentu, na skutek psychologicznego wpływu wojny na życie narodu, oblicze Rewolucji gwałtownie – i nieodwracalnie – się zmienia.

## ***V – Od początków inwazji (września 1792) do ustanowienia Komitetu Ocalenia Publicznego w kwietniu 1793***

Piąta faza Rewolucji rozpoczyna się zatem właśnie w owych pierwszych dniach września 1792 roku, gdy Paryż niemal szalał z przerażenia wobec postępów wojsk koalicyjnych, i gdy rewolucyjna egzekutywa, wzniesiona na ruinach starej monarchii i na jej podobieństwo, zyskała pełnię władzy, i trwa aż do ustanowienia tzw. „Komitetu Ocalenia Publicznego” siedem miesięcy później. I owe siedem miesięcy opisać można jak następuje: –

W tym okresie, rząd francuski próbował rozpętać przeciwko innym państwom Europy, by tak rzec, wielką wojnę o demokrację. Projekt ten zakończył się całkowitym fiaskiem. Zamiast na dyscyplinę, umiejętność przewidywania i rzetelną wiedzę militarną, postawiono na entuzjizm społeczny. Całkowicie abstrakcyjny ideał żyrondy, projekt republiki doskonałej, którą tak bardzo pragnęli żyrondyści ustanowić, okazał się w kontekście militarnym tragicznie niewystarczający; konieczne było zatem przekazanie władzy w ręce żywiołów zdyscyplinowanych i militarystycznych, nawet mimo niekwestionowanych ciągów do tyranii, jakie bez wątplenia łączą się z tą stroną francuskiego geniuszu narodowego, by ta niebezpieczna przygoda w ogóle mogła zakończyć się dla Francji szczęśliwie.

Okres ten zaczyna się od wydarzeń, które pospolicie określa się mianem „masakr wrześniowych”. Kilka stron wcześniej napisałem, że wraz ze zdobyciem Tuileries oraz ustanowieniem nowej,

rewolucyjnej egzekutywy z Dantonem na czele „współsprawców znanej już powszechnie zdrady dworu, jego sojuszu z obcymi państwami, aresztowano na setki”.

Więźniowie ci, stłoczeni w przepelnionych więzieniach miasta, zostali w liczbie jedenastu tysięcy zmasakrowani przez niewielką ale dobrze zorganizowaną grupę morderców – dokładnie w te dni, w których cały Paryż oczekiwał wieści o upadku Verdun – i w którym te straszne wieści istotnie do Paryża dotarły. Ta straszna zbrodnia wstrząsnęła sumieniem Europy i narodu francuskiego. Nigdy nie wolno wszakże mylić jej z prawnie uregulowaną i wojskową polityką terroru, z represjami stosowanymi wobec powstańców, ani ze wstrząsającą niekiedy brutalnością tłumu; bo choć istotnie, wniosek o natychmiastową egzekucję udało się przegłosować w niektórych parlamentach lokalnych, ostateczna decyzja stanowiła zimny, rozmyślny i dobrowolny akt garstki fanatyków. Wydarzenie to miało zatem charakter zupełnie odrębny, i charakter ów sprawił, że oczom ówczesnych Francuzów jawiło się ono tak, jak powinna jawić się i nam: jako zwykłe morderstwo.

Więźniowie byli nieuzbrojeni – istotnie, choć spiskujący, nie posunęli się nigdy do walki zbrojnej; mord na nich inspirowany był, w wypadku większości tych, którzy rozkazali go przeprowadzić, zwykłą i osobistą nienawiścią. A uczynił to mały i nieoficjalny komitet, działający zupełnie spontanicznie, którego głową był Marat [\[43\]](#) \* .

To właśnie te masakry stanowiły zasadnicze tło psychologiczne dla obrad trzeciego rewolucyjnego parlamentu, który przeszedł do historii pod nazwą *Konwentu Narodowego* albo po prostu *Konwentu*.

Parlament ów odgrywać miał rolę – z początku rzeczywistego, a potem ledwie nominalnego – ośrodka władzy we Francji w ciągu długich trzech lat, które właśnie się zaczynały; lata owe, choć straszne i dramatyczne, okazały się ostatecznie czasem militarnego ocalenia republiki, a zatem to dzięki nim właśnie demokratyczny eksperyment współczesnej Europy mógł i może nadal trwać.

Konwent zebrał się pierwszy raz 20 września, w pałacu Tuileries. Podczas długich i żmudnych godzin obrad, wybierania prezydium, rozdzielania ról, armia francuska – ku własnemu zdziwieniu – w wielkiej kanonadzie pod Valmy zdołała zatrzymać postęp wojsk koalicji.

Rankiem dnia następnego posłowie zebrali się w budynku starej ujeżdżalni koni (słynnym *Manège*), w którym obradowali także przez dwie poprzednie kadencje. Tuż przed końcem obrad, jeden z nich zgłosił wniosek o zniesienie ustroju monarchicznego; parlamentarzyści jednogłośnie zagłosowali „za” i rozeszli się do domów.

Trzeciego dnia, 22 września, wydano dekret, że wszystkie dokumenty publiczne powinno datować się jako wydane „w pierwszym roku republiki”; a jednak, nastroje nie były szczególnie wysokie; idea „państwa bez króla” stanowiła pomysł nowy i niewypróbowany w praktyce; żadna inna forma rządu poza monarchią zwyczajnie nie mogła wywołać społecznego entuzjazmu. Dopiero po długim czasie, gdy imię „Republika” zaczęło kojarzyć powszechnie jako synonim wolności politycznej, gdy stało się ono jakby „sztandarem” zwycięskich wysiłków obronnych narodu, zyskało

ono w większej części Europy, a przede wszystkim we Francji, ów przemożny i religijny niemal powab, który ma do dziś.

Cios zadany siłom najeźdźców pod Valmy (powtórzmy: ku zdumieniu zarówno wojskowych, jak i polityków!) okazał się mieć dla kampanii znaczenie decydujące. Choroby i trudności w komunikacji uniemożliwiły Niemcom dalszy marsz. Zaczęli przeto negocjować odwrót – i za kilka tygodni, nieniepokojeni przez nikogo, ponownie przekroczyli granicę Lotaryngii.

Tymczasem, w Paryżu rozgorzał spór między władzami miejskimi a krajowymi, który – ze względu na to, że Paryż był w swym działaniu znacznie bardziej zdeterminowany, rewolucyjny i (przede wszystkim) znacznie bardziej bojowy od parlamentu – musiał zakończyć się zwycięstwem stolicy. Żyronda wciąż forsowała w Zgromadzeniu projekt republiki idealnej; republiki gwarantującej maksimum indywidualnej wolności wszystkim obywatelom, i maksimum autonomii wszystkim miastom i parafiom kraju; z drugiej strony wszakże, coraz bardziej zyskiwał na znaczeniu ideał wprost przeciwny – i znacznie bardziej francuski – ideał radykałów rewolucyjnych, których określiliśmy wcześniej mianem „górali”, mających poparcie samorządu Paryża (tak zwanej „komuny”) i niezwykle dobrze czujących ducha narodu. Był to prastary, rdzennie francuski i wojskowy ideał silnej władzy centralnej, mogącej skutecznie pokierować Galią w owej walce na śmierć i życie, w której Rewolucja zwarła się właśnie z mocarstwami „starej” Europy: dlatego też „górale” ostatecznie dopięli swego.

Całą jesień wynik zmagania wojennych pozostawał niepewny, ponieważ choć armie republiki odniosły – pod wodzą Dumourieza –

wielkie zwycięstwo pod Jemappes i załły terytorium Królestwa Belgii, na południu zaś przekroczyły Ren, kampania będąca właściwie wielkim porywem entuzjazmu społecznego, prowadzona do tego z wykorzystaniem oddziałów tak różnorodnych, i czasami tak niezdyscyplinowanych, prędzej czy później musiała – i sam Dumouriez wiedział o tym aż za dobrze – skończyć się katastrofą. Ale do początku nowego roku opinia publiczna nie wiedziała o tym zgoła nic a nic, i większości Francuzów wydawało się, że wojna rewolucyjna definitywnie zmieniła się z kampanii obronnej w krucjatę przeciw arystokratycznym rządóm Europy. Naród szalał z uniesienia. Agresywne posunięcia dyplomatyczne, jak choćby wydanie słynnej „deklaracji braterstwa” ze wszystkimi ludami pragnącymi zrzucić jarzmo tyranii, czy też otwarcie szlaków wodnych na rzece Skaldzie [44] (co było jawnym złamaniem umów międzynarodowych, między innymi z Anglią) to rzeczy symptomatyczne, wydatnie świadczące o osobliwej energii momentu; prawdziwa kulminacja miała jednak dopiero nadejść – i tak niedługo później, Zgromadzenie Narodowe oficjalnie postawiło króla w stan oskarżenia. Rozpoczął się dziwny proces-nie-proces.

4 stycznia roku 1793 (król spisał swój testament już w Boże Narodzenie) skrzydło żyrondy wniosło o poddanie wyroku pod osąd społeczeństwa, i ta sprawiedliwa inicjatywa przepadła wyłącznie ze względu na strach przed wojną domową. 15 stycznia, posłowie rozstrzygnęli: „czy król winny jest spisku przeciw wolności publicznej i ogólnemu bezpieczeństwu państwa”. Wielu nie stawiało się na głosowanie, i wielu wstrzymało się od głosu; nikt wszakże nie zagłosował przeciw; technicznie biorąc zatem, Ludwika skazano jednogłośnie.

Owo kluczowe głosowanie miało, jak to się mówi w języku francuskim, charakter „nominalny”; to znaczy: każdy poseł wywoływany był do głosu po imieniu i mógł, jeśli chciał, wygłosić krótkie uzasadnienie swojej decyzji. Druga próba odwołania się do ludu została odrzucona 424 głosami do 283. W głosowaniu nad kwestią kary, które nastąpiło później, wzięło udział ledwie 721 posłów. Mieli oni do wyboru trzy opcje: za karą śmierci, przeciw karze śmierci, oraz za tak zwaną „warunkową” karą śmierci, czyli – wprost mówiąc – również przeciw niej. Większością 53 głosów (czyli naprawdę minimalną) przegłosowano ostatecznie opcję pierwszą, większością 70 odrzucono wniosek o odroczenie wykonania kary, i tak też 21 stycznia 1793, około godziny dziesiątej rano, Ludwik został ścięty na gilotynie.

Zaczęły się wojny z Anglią, Holandią i Hiszpanią; i niemal w tym samym momencie nastąpiło to, co nastąpić musiało – gwałtowny zwrot w przebiegu działań wojennych. Bo francuska ofensywa za linię Renu, na Niderlandy i na Palatynat, choć efektowna, pozbawiona była solidnych fundamentów strategicznych i logistycznych. Już miesiąc po śmierci króla Dumouriez zarządził odwrót, i 18 marca poniósł ostateczną klęskę pod Neerwinden [\[45\]](#) . To właśnie te wydarzenia, a szczególnie ta konkretna katastrofa, przesądziły o politycznym fiasku żyrondy oraz jej projektu republiki idealnej, państwa opartego na pełnej wolności jednostki i autonomii regionów. Jeszcze przed klęską pod Neerwinden Danton, już nie minister, ale wciąż najważniejszy mówca w parlamencie, wniósł o ustanowienie specjalnego sądu dla zdrajców – sądu nazwanego potem „trybunałem rewolucyjnym”. Wieści o porażce przygotowały



tylko grunt pod dalszą radykalizację działań, i kryzysową reorganizację struktur rządowych; a gdy Dumouriez, przekonany o nieuchronnej klęsce armii republikańskich, sprzymierzył się z najeżdżcą i opowiedział za przywróceniem starego porządku, specjalna komisja parlamentarna powołana do kontroli ministrów dostała do reki niespodziewanie silne karty. Żołnierze odwrócili się od swego dowódcy; zdrada stała się faktem; rankiem następnego dnia Konwent powołał do istnienia pierwszy Komitet Ocalenia Publicznego, mający stanowić od tego momentu – wespół ze swym drugim wcieleniem – despotyczne i wojskowe centrum rządów rewolucyjnych. Zagwarantowano mu tajność obrad, praktyczną (choć nie teoretyczną) kontrolę nad wszystkimi ministerstwami, ogromne pieniądze na wyłączony (i niejawny) użytek, słowem: wszystkie narzędzia niezbędne rządowi wojskowemu do skutecznego działania. Nastął czas russowskiego *dyktatora* – ten wielki umysł, którego *Umowa społeczna* stała się ewangelią Rewolucji, przewidział bowiem również po jakie środki będzie musiała sięgnąć demokracja w dniu swej najcięższej próby; jego teoria znalazła pełne potwierdzenie faktyczne. Pierwszy Komitet składał się z dziewięciu członków, z Barère'em, którego nazwać można „sekretarzem” Komitetu, Dantonem, jego geniuszem, i Cambonem [\[46\]](#), jego skarbnikiem, na czele.

Z ustanowieniem tego prawdziwie francuskiego urzędu, nowego co do formy, lecz co do istoty swej związanego organicznie z militarną i narodową tradycją Galii, wszystko zaczęło się zmieniać; Rewolucja została ocalona. Trzeba nam teraz tylko przyjrzeć się dokładnie, w jaki sposób Komitet prowadził Francję przez wielki kryzys zmagania wojennych. Rządy jego trwały przez niemal

szesnaście miesięcy, od początku kwietnia 1793 do 28 lipca 1794 – i z przyczyn praktycznych dobrze podzielić tę fazę na dwa odrębne okresy.

## ***VI – Od kwietnia 1793 do lipca 1794***

Pierwszy okres tej fazy, trwający do lata 1793, to zatem czas stopniowej konsolidacji Komitetu jako nowego organu władzy, wielkiego dzieła zniszczenia, jakiego władza ta dokonuje, a także zmagania narodu, któremu przewodzi, z wielką siłą sojuszu „starych” państw Europy.

Okres drugi trwa od sierpnia przez następne miesiące 1793, do siódmego miesiąca 1794, w którym to czasie wojskowe rządy Komitetu przynoszą obfity owoc, naród zostaje uratowany, i – w warunkach dramatycznych i niespodziewanych – Wielki Terror nagle dobiega końca.

Pierwszym krokiem podjętym przez Komitet na drodze do konsolidacji władzy było ułożenie sobie stosunków ze stolicą; Komuna Paryska, oraz lud, który za nią stał, dostała w sporze z żyrondą wolną rękę.

Z perspektywy polityki wewnętrznej (na której skupia się większość historyków), atak ludu paryskiego i komuny na parlament stanowił po prostu kulminację długiego sporu między żyrondą, z jej ideałem republiki federalnej, a stolicą, pragnącą ustanowienia silnego rządu centralnego. Niemniej, w kontekście ówczesnej sytuacji wojskowej, z której Komitet Ocalenia Publicznego w pełni

zdawał sobie sprawę – i nad którą musiał panować – sprawa przedstawia się zupełnie inaczej.

Gdy armia francuska znalazła się w odwrocie, parlament ogłosił pobór, mający objąć trzysta tysięcy ludzi. „Ogłosił” to może zresztą za duże słowo; po prostu przegłosował, skutki zaś okazały się mało imponujące: oddziały były zbyt nieliczne, i zdecydowanie za mało profesjonalne – bo wojsko formowane w warunkach tak poważnych niedoborów finansowych i systemu „wykupywania” się od służby nigdy nie mogłoby sprostać wymaganiom wielkiej wojny.

Prawo poborowe przegłosowano 24 lutego. W większości wsi, datę rozpoczęcia poboru ustalono na 10 marca. W konsekwencji, cały region Francji rozciągający się między północnym a południowym ujściem Loary (region o swoistych uwarunkowaniach geograficznych i politycznych, nad którymi nie mamy, niestety, czasu się zatrzymywać), zaczął stawiać opór. Oczywiście, dekret wzbudził niezadowolenie wszędzie, bo służba wojskowa nigdy nie cieszy się wśród populacji osiadłej dużą popularnością. W tym konkretnym wypadku wszakże, reakcja okazała się szczególnie gwałtowna – bo mieszkańcy regionu nie popierali Rewolucji, i odnosili się do nowych władz i ich polityki ze wstrętem. Ogromną rolę odegrała tutaj także konstytucja cywilna kleru. Pobożność i ortodoksja tych ziem były, i po dziś dzień są, absolutnie wyjątkowe. W związku z tym, parlament spodziewał się zapewne z ich strony jakichś form oporu: tym, czego się natomiast nie spodziewał, była porażka.

Cztery dni przed klęską pod Neerwinden, i cztery dni po ogłoszeniu dekretu o poborze, wściekły tłum wieśniaków przejął kontrolę nad miasteczkiem Chollet, leżącym w południowej części

regionu – Wandei. Trzy dni przed zawiązaniem się Komitetu Ocalenia Publicznego, powstańcy pokonali armię regularną pod Machecoul, po zwycięstwie torturując i mordując okrutnie wszystkich jeńców. W kwietniu, gdy Komitet walczył dopiero o ugruntowanie swej władzy, rebelia zaczęła wchodzić w fazę kulminacji. Siły wysłane do stłumienia buntu były kompletnie bezwartościowe, bo wszystkie najlepsze oddziały skoncentrowano przy granicach. Większa część z nich nie zasługiwała nawet na współczesną nazwę „milicji”. Czekano na odsiecz małej armii regularnej z Orleanu, niemniej nim zdołała ona dotrzeć na miejsce, Thouras, Parthenay i Fontenay przeszły w ręce powstańców. Teren rozciągający się między tymi miejscowościami stanowił jakby trójkąt, wbity głęboko w terytorium młodej republiki: wielkie miasto Nantes zostało oskrzydłone. I nawet wobec takiego kryzysu, żyrondyści trzymali się kurczowo swego ideału: ideału republiki opartej na maksimum wolności indywidualnej, i samorządzie regionów. Nie dziw zatem, że lud paryski ostatecznie nie wytrzymał, i postanowił odsunąć tych ludzi od władzy – i że Komitet Ocalenia Publicznego postanowił mu w tym nie przeszkadzać.

Pierwszy raz uderzono w żyrondyistów 31 maja. Wojska pozostające pod komendą władz miejskich nie wzięły bezpośrednio udziału w przewrocie, choć przedstawiciele niektórych dzielnic Paryża domagali się aresztowania przywódców żyrondy. Do sali obrad wtargnął tłum. Komitet Ocalenia Publicznego udawał, że chce kompromisu, niemniej zbadane niedawno dokumenty z tamtego czasu jasno dowodzą, że potajemnie popierał Paryż; zaproponował, aby dowództwo nad oddziałami paryskimi przejęło Zgromadzenie

Narodowe – niemniej Zgromadzenie tak naprawdę niewiele mogło, i faktyczna kontrola przeszłaby w ręce komisarzy.

Ostatecznie, tamtego dnia nie stało się nic dramatycznego – ale parlament okazał się wobec stolicy kompletnie bezsilny. Na granicach wrzało; nieprzyjaciół parł do przodu. Obrona wielkiej fortecy granicznej Valenciennes zależała w całości od losów sąsiedniego obozu wojskowego pod Famars. Wobec postępów wroga, obóz ów został ewakuowany dnia 23 maja, i choć sprzymierzeni potrzebowali jeszcze kilku dni na rozmieszczenie ciężkiej artylerii Austriaków, Valenciennes zdane było do tamtego dnia na ich łaskę i niełaskę. Prócz tego, do rewolucjonistów zaczęły dochodzić wieści, że bunt wandejski nie był jedyny. Lyon powstał trzy dni wcześniej. Rozgorzały zacięte walki. Rojaliści i żyrondyści połączyli siły, wtargnęli do ratusza i proklamowali powstanie nielegalnego samorządu powstańczego. Paryż usłyszał o tym tuż po wydarzeniach 31 maja; nastąpiła błyskawiczna i gwałtowna reakcja. Tym razem wojsko paryskie przyłączyło się do protestujących i pomaszerowało na parlament. Z bronią w ręku zażądano natychmiastowego zawieszenia w prawach posłów dwudziestu dwóch wymienionych z imienia przedstawicieli żyrondy. Wiele napisano już, i czasami czynili to naprawdę znakomici historycy, aby umniejszyć wagę tego wydarzenia, i zrobić z niego anarchiczny zamach Komuny Paryskiej na parlament. Choć Barrère i Danton oficjalnie ogłosili *votum separatum*, tak naprawdę to oni odnieśli wtedy tryumf. Do listy dwudziestu dwóch nazwisk dodano jeszcze siedem. Wielcy ludzie żyrondy, Brissot, Verganiaud i tak dalej, choć nieuwiecznieni, znaleźli się w tak zwanym „areszcie domowym”. Tamtego dnia, 2 czerwca 1793, autorytet moralny Konwentu jako

ciała administracyjnego (choć nie ustawodawczego) został złamany. Paryż zwyciężył – tak się przynajmniej wydawało; lecz faktycznym zwycięzcą, panem sytuacji – silniejszym niż kiedykolwiek, i kierującym nawet polityką stolicy – był Komitet Ocalenia Publicznego.

Pierwszy Komitet istniał do 10 lipca. Pośród chaosu tak dramatycznych działań wojennych i tak zacieklego sporu wewnętrznego, Konwent uchwalił (z inicjatywy Komitetu) słynną konstytucję roku 1793, wielki manifest demokracji, pozostający – od momentu powstania do dziś, i jakby w geście kpiny z ideałów, które go zrodziły – ledwie martwą literą. Znalazły się w niej zapisy o powszechnych prawach wyborczych, corocznych wyborach do parlamentu, referendum, wybieralnej egzekutywie – rzeczy, o których nawet dzisiaj, w dobie powszechnych rządów parlamentarnych, możemy ledwie pomarzyć. Przegłosowano ją ledwie trzy tygodnie po przewrocie paryskim. Dwa tygodnie później, 10 lipca 1793, powołano drugi Komitet Ocalenia Publicznego.

Przez cały ten czas, Wandejczycy szli do przodu. Nantes zdołało się obronić, lecz siły republikańskie – jak zobaczymy za moment – nie zdołały jeszcze ustabilizować sytuacji. Rebelia lyońska przybierała na sile, i tydzień później radykał Chalier [\[47\]](#) stracił życie na gilotynie. Coś podobnego zaczynało się w Marsylii. 10 lipca Konwent wezwał na przesłuchanie generała Westermanna [\[48\]](#), osobistego przyjaciela Dantona, którego wojska dopiero co poniosły porażkę w starciu z rebeliantami.

Warto zwrócić w tym momencie uwagę na jedną z owych charakterystycznych i przypadkowych drobnostek, od których zależą losy narodów. Danton, *spiritus movens* centralizacji, człowiek, który negocjował z Prusakami po Valmy, który w pojedynkę właściwie przeciwstawił anarchii żyrondy silny i zorganizowany rząd – został złamany. Zdrowie go opuściło. Fizycznie był gigantem – ale po prostu drastycznie się przemęczył.

Zaproponowano reorganizację Komitetu, którym kierował, oczywiście odstawiając go na boczny tor. Ze starego składu został tylko Barrère, jako swego rodzaju „łącznik” między dwiema epokami. Brutalny i fanatyczny pastor kalwiński, Jeanbon Saint-André, jedna z najodważniejszych i najbardziej zwichrowanych postaci Rewolucji; Couthon [\[49\]](#), przyjaciel Robespierre’a; Saint-Just, kolejny z przyjaciół przywódcy jakobinów, bardzo bliski zresztą (człowiek młody, przystojny, szalenie odważny i męski) – ci, a wraz z nimi kilku innych (ostatecznie skład liczył dziewięć osób), weszli do Komitetu z zewnątrz.

Robespierre uchodził już wtedy w oczach ludu za przywódcę całej Rewolucji, i za niedługo miał uchodzić za niego w oczach całej Europy: to punkt pierwszy. Drugi punkt jest zaś równie ważny, choć zazwyczaj nie zwraca się nań żadnej uwagi: bo Robespierre *nie był* przywódcą ruchu rewolucyjnego, i nigdy nim nie został.

Co do punktu pierwszego, Robespierre osiągnął swoją pozycję dzięki kilku fortunnym zbiegom okoliczności: po pierwsze dlatego, że jako jedyna z postaci tej fazy Rewolucji uczestniczył w życiu publicznym od samego jej początku; pełnił funkcję posła na pierwszy



parlament, i przemawiał w nim od pierwszego miesiąca obrad. Choć nieznany jeszcze w Wersalu, w rodzinnym mieście Arras cieszył się już wtedy sporą sławą.

Po drugie, uczestniczył w nim bez przerwy, budując swoją pozycję i reputację miesiąc po miesiącu, stopniowo, przez całe cztery lata. Obok niego, nie znalazłoby się na scenie politycznej jednego człowieka, o którym można by powiedzieć coś podobnego. Reakcjonistów już nie było, rewolucjonistów umiarkowanych też nie; czołowe postaci 1793 to co do jednej nowe twarze – z wyjątkiem Robespierre’a; swoją stale rosnącą sławę zawdzięczał zaś wielki jakobin przede wszystkim: –

(Po trzecie), swojej bezwzględnej i kryształowej uczciwości. Wierzył w demokrację, w ducha *Umowy społecznej*, głębiej i płomiennie, niż ktokolwiek inny na świecie – i nigdy nie zgrzeszył przeciw najmniejszemu z artykułów tej wiary. Nie ma zaś skuteczniejszego narzędzia zdobycia trwałej sławy, niż mocne przekonania. Co więcej –

Po czwarte, jego przemowy zawsze oddawały myśli słuchaczy, ale z precyzją, która ich przerastała, i którą podziwiali. Czy Robespierre był dobrym stylistą to wciąż kwestia dyskusyjna, i spierają się o nią znawcy literatury francuskiej. Na pewno jednak uchodził w swoim czasie za wielkiego mówcę, choć przemawiał zimno i do przesady logicznie.

Po piąte, wyznawał spójną i jasną doktrynę: to jest, nie tylko wierzył w ogólną teorię demokratyczną, wspólną prawie wszystkim jego współczesnym, i to wierzył w nią gorąco i niewzruszenie, ale

potrafił uzupełnić ją o precyzyjny system moralny, a nawet coś, co stanowiło poniekąd namiastkę religii.

Po szóste, potrafił Robespierre – jak podobne postaci zawsze zresztą potrafią, choć nieczęsto czynią – zgromadzić wokół siebie grupę oddanych wielbicieli i współpracowników, najwybitniejszym spośród których był wspomniany już wcześniej, młody i niewiarygodnie odważny Saint-Just.

To właśnie zbieg tych wszystkich sprzyjających okoliczności, powiadam, sprawił, że gdy dołączył do Komitetu Ocalenia Publicznego, 27 lipca 1793, jawił się Robespierre francuskiej opinii publicznej jako najważniejsza postać Rewolucji.

Zauważmy koniecznie, że inaczej niż jego zwolennik Saint-Just, a zwłaszcza niż Danton, przywódca jakobinów pozbawiony był zupełnie wszystkich tych cech żołnierskich, które niezbędne są do kierowania narodem żołnierzy – zwłaszcza w warunkach wojny: i to jakiej wojny! Komitet Ocalenia Publicznego był Cezarem Francji rewolucyjnej. Robespierre jako jedno z wcieleń Cezara okazał się katastrofą. Jego popularność stanowiła niezaprzeczalny atut, i inni komisarze zdawali sobie z tego sprawę, niemniej w kwestiach wojennych pomysły miał słabe, mętne i czysto osobiste. Ambicje przywódcze, jeśli w ogóle je przejawiał, pozostawały u niego w cieniu ambicji bycia zbawcą narodu i wielkim obrońcą eksperymentu demokratycznego, jeśli chodzi zaś o te funkcje polityczne, które wiążą się z planowym dogrywaniem szczegółów działania i umiejętnością narzucania innym swej woli, nie miał o nich najmniejszego pojęcia. W czasie kryzysu ostatnich lat Rewolucji, który chcemy tutaj prześledzić, podporządkował się zatem

Robespierre zupełnie woli innych komisarzy, nie przewodził im, nawet ich nie inspirował – a jednak (i to wielka ironia jego losu) w oczach Francuzów i rządów całej Europy uchodził za ich zwierzchnika.

Pierwsze tygodnie po tym, jak człowiek ten wszedł w skład Komitetu Ocalenia Publicznego, miały dla ruchu rewolucyjnego znaczenie absolutnie kluczowe. Despotyzm Paryża (według moich ustaleń wspierany potajemnie przez Komitet [\[50\]](#) \*) sprowokował powstania w niemal wszystkich prowincjach. Normandia podniosła bunt, i 13 lipca pewna młoda dziewczyna z tamtego regionu zasztyletowała Maratę. W Lyonie, jak już się przekonaliśmy, rebelia trwała od kilku tygodni; Marsylia wypowiedziała stolicy posłuszeństwo w pierwszym tygodniu lipca, Bordeaux i cały departament Żyrondy – rzecz jasna – również, ponieważ walczył o swoich. Później przyszedł czas na Tulon, wielki port Francji: ustanowiono tam reakcyjny samorząd, a małego chłopca, więzionego ciągle w Paryżu, ogłoszono dziedzicem tronu jako Ludwika XVII; przed końcem sierpnia wpłynęły do Tulonu floty angielska i hiszpańska, i rząd narodowy miał już przeciw sobie nie zdezorganizowanych rebeliantów, ale znakomity obcy garnizon.

Tymczasem, siły koalicji na granicy belgijskiej parły do przodu, zdobywając twierdzę za twierdzą, nad Renem kapitulowało Mayence, Valenciennes i Condé na północnym wschodzie, a znaczne siły nieprzyjaciela maszerowały na Dunkierkę. Powstanie w Wandei, które wybuchło wcześniej w tym samym roku, choć spowolnione udaną obroną Nantes, wciąż nabierało rozpędu.

Dopiero w sierpniu udało się podjąć skuteczne działania obronne. Carnot, który w krótkim czasie miał okazać się geniuszem militarnym Rewolucji, wszedł w skład Komitetu. 23 sierpnia parlament narzucił narodowi prawdziwy pobór, bardzo inny od nieudaczných i zdezorganizowanych usiłowań wiosennych. Był to pobór rekruta, połączony z powszechną konfiskatą żywności, zwierząt i wozów transportowych, akcja masowa, która wkrótce przyniosła Francji około pół miliona nowych żołnierzy, może trochę mniej. We wrześniu wszystko zaczęło się odwracać, i pierwsze zwycięstwo doby kryzysu, tryumf pod Hoondschoote, odrzuciło nieprzyjaciela od Dunkierki. Do połowy października Francuzi odnieśli kolejny sukces, tym razem pod Wattignies, łamiąc oblężenie Maubeuge. Lyon został zdobyty, Normandia spacyfikowana; do końca roku odzyskano Tuluzy i zniszczono ostatnią większą armię Wandejczyków.

Tymczasem wszakże, kryzys przynosić zaczął podwójny skutek, moralny i materialny. Moralnie, wywołał coś w rodzaju szaleństwa narodowego, domagającego się najbardziej skrajnych rozwiązań, z których wiele udało się zresztą wprowadzić w czyn z czymś, co nazwać można „twórczą bezczelnością”. Zmieniono kalendarz, zniesiono tygodniowy podział miesięcy, miesiącom nadano inne nazwy i wyznaczono inne ramy. Podobne przedsięwzięcie doskonale oddaje ówczesny stan mentalny rewolucjonistów. Chcieli stworzyć nową ziemię.

Dołączyły się do tego również brutalne ataki na to, co uznawano za ostatnie niedobitki katolicyzmu, odrażające prześladowanie księży, z których niezliczone mnóstwo zginęło, brutalnie zamordowanych, bądź wobec niewyobrażalnych trudów wysiedleń.

Represje wobec powstańców osiągały niekiedy rozmiary niepotrzebnej surowości, albo wprost obłądu, który rozszalał się przede wszystkim w Arras i Nantes.

Wobec całego tego zamętu, polityczne centrum kraju – Komitet Ocalenia Publicznego – nie tylko zachował zimną głowę, ale użył gigantycznych oddziałów wojskowych, jakie pojawiły się skutkiem tej wielkiej burzy, do przeprowadzenia skutecznej kampanii wojennej, a uczynił to dzięki możliwościom stwarzanym przez tzw. „Wielki Terror” – dla Komitetu ledwie zwykły stan wojenny i sprawne narzędzie despotycznych rządów. Z dwóch tysięcy ludzi, jacy przewinęli się przez salę trybunału rewolucyjnego i zginęli na szafocie, znaczną większość stanowili ci, których Komitet postrzegał jako wrogów rządu wojskowego; mężczyźni i kobiety, którzy złamali jakiś konkretny paragraf prawa przygotowanego na te wyjątkowe czasy. Niekiedy byli to generałowie, którzy zawiedli na polu bitwy bądź których podejrzewano o zdradę; niekiedy zaś, i to to wypadki zdecydowanie najgłośniejsze, politycy, dążący do ograniczenia absolutnych prerogatyw nowej władzy.

Z tych największym był bezsprzecznie Danton. Przed końcem roku 1793 zaczął on głośno sprzeciwiać się polityce Terroru; być może uważał, że kraj udało się już ocalić, w związku z czym podobnie twarde prawo stało się niepotrzebne. Komitet miał wszakże inne zdanie, i gdybyśmy mieli dostęp do dowodów, przekonalibyśmy się, że szczególnie Carnot naciskał na bezwzględne tłumienie wszelkiej opozycji. Danton i jego współpracownicy – w tym Desmoulins [\[51\]](#) , wielki publicysta

Rewolucji, człowiek, który rozstawił po całym kraju wydarzenia lipca 1789 – zostali ścięci w pierwszym tygodniu kwietnia 1794.

Drugą stroną tych działań stanowiły represje podjęte wobec ludzi drugiego skrzydła: okrutników, których brutalność – przesadna nawet jak na tamte czasy – groziła wywołaniem reakcji. Najważniejszym z nich był Hébert [\[52\]](#) , „głos” Komuny Paryskiej; również marnie skończył.

Tymczasem, Komitet przyzwolił na pewną dozę prześladowań, i pewną liczbę mordów politycznych, zwłaszcza ten na królowej. Rozsądek polityczny domagałby się, aby trzymać ją w charakterze zakładnika; poświęcono ją wszakże dla zaspokojenia społecznej żądzy zemsty – i głowa jej spadła na ziemię tego samego dnia, w którym odniesiono wielką wiktoryę pod Wattignies. Później przyszedł czas na jej siostrę, Elżbietę [\[53\]](#) , którą pochłonęły te same żądze tłumu, i której *casus* należy policzyć między te stosunkowo nieliczne, które nie mogły być częścią planów Komitetu, i wzięły się wyłącznie z zastarzałej nienawiści społecznej, choć w wypadku wielu arystokratów, wpływowych ze względu na urodzenie i odziedziczoną fortunę, trudno jednoznacznie ustalić, w jakim stopniu zaprowadziły ich na szafot nieszczęśliwe zbiegi okoliczności, a w jakim autentyczna kolaboracja z obcokrajowcami.

Przez ostatnie cztery miesiące czasu, którym zajmujemy się w niniejszej książce, to jest od kwietnia po egzekucji Dantona, przez maj i czerwiec do końca lipca, Robespierre wysuwa się na plan pierwszy. Doktryny (czy opinie), które wyznaje, wprowadzone zostają do prawa państwowego – przede wszystkim dogmat istnienia

Boga i nieśmiertelności duszy. Więcej – nowa religia tworzy publiczny rytuał, on zaś staje się jej najwyższym kapłanem. Nigdy nie był bardziej uwielbiany; niemniej liczba jego wielbicieli prawdopodobnie od tego momentu zaczyna się zmniejszać. Wiemy tyle, że on sam nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Widział tylko rosnący entuzjazm najbliższych współpracowników. Komitet wciąż posługiwał się nim do własnych celów – zwłaszcza w czasie czerwcowego wzmożenia terroru – lecz bardzo możliwe, że pierwszy raz od tylu miesięcy próbował Robespierre zdobyć w tym urzędzie jakiś rodzaj zwierzchności: wiemy na przykład, że zaczął bić w pozycję Carnota, zdecydowanie najważniejszego spośród komisarzy.

W przeszłości, Komitet pozwalał Robespierre'owi na prowadzenie prywatnej polityki, jeśli tylko nie kolidowała ona z ogólnym planem militarnym dla kraju. W znacznej mierze to on właśnie doprowadził – nie tyle z osobistego przekonania, co z pragnienia obecności publicznej – do skazania i egzekucji królowej. Gdy Danton rozpoczął swoją kampanię przeciwko Wielkiemu Terrorowi, Robespierre grał na zwłokę – i nieusuwalną plamę na jego pamięci oraz w pełni zasłużonej reputacji człowieka kryształowo uczciwego stanowi fakt, że ostatecznie przyzwolił na represje wobec twórcy pierwszego Komitetu, a potem jeszcze przyłożył rękę do jego egzekucji. Choć możemy przypuszczać, na podstawie kilku wskazówek, jakimi tutaj dysponujemy, że na niejawnych obradach sprzeciwiał się tej decyzji, ostatecznie uległ – i co więcej, ponieważ Saint-Just pragnął gorąco odgrywać w procesie rolę oskarżyciela, sporządził dla młodego przyjaciela stosowne notatki. To Komitet ponosi pełną odpowiedzialność moralną za eskalację terroru, jaka nastąpiła w

ostatnich miesiącach kryzysu, lecz Robespierre był na tyle nieroztropny, że pozwolił się wykorzystać: podpisywał dokumenty, i wspierał tę politykę publicznie (wierząc zapewne, że cieszy się ona poparciem ogółu). Stało się to przyczyną jego zguby. Najwięksi radykałowie, wciąż niezaspokojeni i łaknący zemsty, postanowili go obalić.

Mnóstwo tych, którzy mogli stanowić następne ofiary, i którzy wyobrażali sobie, że Robespierre naprawdę jest tym, na kogo pozuje (nie mogli przecież niczego wiedzieć na temat tajnych obrad Komitetu), również dążyli do tego, by go jak najszybciej usunąć. Tak też jego „osobowość sceniczna”, fikcyjna całkiem rola głowy państwa i najważniejszego polityka kraju, ściągała na Robespierre’a cały gniew za Wielki Terror; nad „Nieprzekupnym” zaczęły gromadzić się czarne chmury.

Komitet natomiast, z którym – ufając w swoją pozycję – zaczął przywódca jakobinów zadzierać, i w którego rządy próbował ingerować (na pewno starając się ocalić życie przynajmniej kilku skazańców), postanowił pozbyć się problemu. Kryzys nastąpił w czwartym tygodniu lipca: lub, według nowego kalendarza, w drugim tygodniu thermidora. Robespierre’a zakrzyczano w parlamencie – co, ponieważ człowiek ten wciąż święcie wierzył w swoją popularność, okazało się dla niego prawdziwym szokiem, natomiast wiara ta nie była zupełnie pozbawiona podstaw; i gdy w toku tych samych obrad, „Nieprzekupny” został wyjęty spod prawa, jego brat [\[54\]](#) postanowił pójść na szafot razem z nim. Wyrok objął także Sain-Justa, któremu – nie chcąc opuszczać towarzyszy w dniu klęski



– dobrowolnie zdecydował się towarzyszyć jeden z jego najbliższych przyjaciół, Lebas [\[55\]](#) .

Pierwszym skutkiem okazał się spór kompetencyjny; po aresztowaniu Robespierre’a, przełożony więzienia, w którym miano go uwięzić, odmówił współpracy. Robespierre, korzystając z okazji, wezwał swych zwolenników by spotkali się w hotelu de Ville, po zmroku, i spróbowali wywołać powstanie. Istnieje mnóstwo sprzecznych relacji na temat tego, co się potem stało, niemniej dwie rzeczy przynajmniej wiadomo na pewno: że lud nie odpowiedział na wezwania Robespierre’a, i że parlament, mając wsparcie Komitetu, wysłał na interwencję oddziały wojskowe, które z łatwością stłumiły maleńką rebelię w hotelu de Ville. Prawdopodobnie, aby inicjatywa okazała się skuteczna, rebelianci musieliby dysponować ręcznym podpisem samego Maksymiliana: tego nie wiemy; wiemy, że ostatecznie Robespierre nie podpisał odezwy, prawdopodobnie nie chcąc postąpić wbrew woli generalnej, pogwałcić suwerenności ludu, w którą tak gorąco wierzył. Siedział przy biurku, patrząc długo na leżący przed nim dokument, gdy żołnierze parlamentu wdarli się w końcu do pokoju, w którym się ukrywał, i pewien młody chłopak (imieniem Merda) wypalił do niego z pistoletu; strzał rozgruchotał Robespierre’owi szczękę (dowody świadczące o prawdziwości tej wersji są przesądzające). Niektórzy z jego towarzyszy uciekli, niektórych schwytano, niektórzy popełnili samobójstwo, większość aresztowano na miejscu. Następnego dnia, 10 termidora, to jest 27 lipca 1794 roku, o godzinie siódmej trzydzieści wieczorem, Robespierre i dwudziestu jeden jego zwolenników zginęli na gilotynie.

Mocą przedziwnej ironii dziejów, upadek tego człowieka, spowodowany głównie tym, że próbował on zatrzymać Wielki Terror, odebrał Terrorowi wszelką podstawę moralną; ponieważ lud Francji wyobrażał sobie, że wszystko, co się dzieje, wynika z woli Robespierre'a – i gdy Robespierre zniknął, zniknęło również wszelkie uzasadnienie tych okrucieństw. Zaczęła się reakcja; i od tego dnia wznosząca fala Rewolucji, fala gigantycznego wysiłku moralnego i fizycznego, który pozwolił niezwykłym ludziom tamtego czasu przedyskutować i przetworzyć każdy najmniejszy szczegół teorii demokratycznej, obronić ten wielki eksperyment militarnie, i – jednym słowem – położyć podwaliny nowoczesnego państwa europejskiego, zaczyna opadać.

## *Rozdział V – Aspekt militarny*

Rewolucja nigdy nie osiągnęłaby swojego celu; przeciwnie, sprowokowałaby jedynie brutalną reakcję przeciwko tym wartościom, które dojrzewały tuż przed jej wybuchem, i którym zapewniła tryumf, gdyby armia francuska nie okazała się skuteczna na placu boju; niemniej, zrozumienie tego prostego faktu (mam na myśli sukces wojsk rewolucyjnych) niestety samo w sobie bynajmniej nie jest proste.

Tymczasem nikt chyba nie ma wątpliwości, że Rewolucji jednak udało się wywołać trwałą zmianę w Europie. Nikt nie ma wątpliwości, że zwycięstwo jej stanowiło zasiew, z którego urodziło się – i wciąż rodzi – nowoczesne społeczeństwo. Niemniej, natura, przyczyny i skutki jej militarnych sukcesów wciąż pozostają powszechnie nieznane, i tym powszechniej kompletnie niezrozumiane. Nie było bowiem chyba takiego przypadku w historii, by wysiłek wojenny osiągnął swój cel, jednocześnie kończąc się całkowitym fiaskiem – poza wojnami rewolucyjnymi właśnie. Po dwudziestoletnim marszu, w trakcie którego idee Wielkiej Rewolucji padły na ziemię całej Europy i miały czas, aby się ukorzenieć, armie francuskie, z własnej głupoty czy podstępny innych, weszły do Rosji, i poniosły sromotną porażkę; po której nastąpił ostateczny rozgrom sił demokratycznych pod Lipskiem, i genialna strategicznie kampania 1814, a także wspaniały zryw tak zwanych „stu dni”, uwydatniając tylko nieodwracalność i ostateczność tego, co według wszelkich znaków zewnętrznych stanowiło kompletną klęskę. Bo po tej kampanii,

przyszła pierwsza abdykacja Napoleona – a po stu dniach rzeź Waterloo, i ruina armii francuskiej. Jeśli rozważymy choćby podobną ekspansję kultury greckiej na Bliskim Wschodzie, jaką spowodowały zwycięskie kampanie Aleksandra, czy też zapierający dech w piersiach marsz Cezara przez Galię, zobaczymy, Rewolucja jawi się nam jako wydarzenie dziejowo nie mniej doniosłe. Dokonała ona mieczem czynów równie wielkich, jak Cezar i Aleksander, i z całą pewnością zapoczątkowała jedną z najgłębszych transformacji europejskiej kultury. Lecz fakt, że tę wielką opowieść czytać można jako opowieść o klęsce, może sprawiać badaczowi niemałe trudności.

Wszystko bierze się z wpływu elementu absolutnie zabójczego dla poprawnej interpretacji dziejów wojennych: analizowania ich przez pryzmat cywilnej motywacji i moralności, który boleśnie rozpoznajemy w tak wielu opracowaniach na temat.

Przeciętny badacz skłonny jest postrzegać szczerzy entuzjazm wojsk francuskich, więcej nawet – sam ruch rewolucyjny w sensie politycznym – w kategoriach swego rodzaju siły cudownej. Często zdarza mu się używać na określenie zwycięstw rewolucjonistów słowa „nieunikniony”, które, o ile kiedykolwiek ma jakikolwiek sens w odniesieniu do świadomych działań żywych, realnych ludzi, to na pewno nie w odniesieniu do działań żołnierzy.

Rozważając historię Rewolucji z militarnego punktu widzenia, koniecznie musimy zwrócić uwagę na trzy punkty:

Po pierwsze, że osiągnęła swój skutek: Rewolucja, ujęta jako motyw polityczny działań swych wojsk, zwyciężyła.

Po drugie, że zwyciężyła ona dzięki zdolnościom i okolicznościom, które przypadkiem – i w żadnym wypadku „koniecznie” – okazały się potęgować siłę mocnych przekonań i obywatelskiej wiary tamtego czasu.

Po trzecie, że element losowy, w ogromnym stopniu brany pod uwagę przez każdego mądrego i roztropnego dowódcę, sprzyjał siłom Rewolucji w krytycznych momentach jej wczesnych lat.

Z tymi punktami w pamięci, i z gotowością, by wrócić do nich gdy w pełni zrozumiemy militarny aspekt tamtych dziejów, dobrze jest zacząć od przedstawienia tej historii w sposób skrótowy, i jak najbardziej ogólny. A skoro tak, trzeba nam będzie zająć się w tym rozdziale wypadkami już w niniejszej książce wcześniej omówionymi, niemniej gdy omawia się jakiegokolwiek wydarzenia z punktu widzenia konfliktów zbrojnych, jest to nieuniknione, bo nie da się zajmować tym aspektem inaczej, jak tylko traktując go jako żywą część jednej całości: tak bowiem głęboko wrośnięte są w życie narodów sprawy wojenne.

## *Étap pierwszy*

Gdy Rewolucja weszła w ruch, perspektywa wojny między Francją a jakąkolwiek inną potęgą tamtego czasu – Anglią, Prusami, Cesarstwem Niemieckim, czy powiedzmy Rosją, a nawet Hiszpanią – była czymś mniej więcej równie realnym, jak w dwóch czy trzech poprzednich pokoleniach.

Od około stu lat ludzie przyzwyczajeni byli do okresowych sporów dynastycznych, w których monarchowie korzystali z usług wojsk takich, jak zaraz opiszę.

Powiedziałem, że były to spory „dynastyczne”; to jest, spory zachodzące głównie między różnymi rodami królewskimi Europy: motywowane głównie pragnieniem zdobycia nowych terytoriów i źródeł pieniędzy, i ograniczane naturalną dla owych rodów chęcią utrzymania pewnych wartości w stanie nienaruszonym – wartości takich jak, na przykład, świętość monarchii, niezależności poszczególnych państw i tak dalej. Choć w sensie ścisłym dynastyczne, wojny te miały również charakter narodowy – na tyle, na ile dynastia może reprezentować naród. Angielska oligarchia wyróżniała się pod tym względem na tle rządów kontynentu. Zgodnie z prawdą powiedzieć można również, że rosyjski despotyzm miał za sobą, w wypadku większości przejawów swej agresywnej i ekspansywnej polityki, podświadome poparcie ludu.

A jednak, mimo niezaprzeczalnego pierwiastka narodowego, wojny przedrewolucyjne toczyły się wyłącznie w, by tak rzec, stałej przestrzeni ideowej, której ram żadnemu dyplomacie czy generałowi ani śniło się przekraczać. A, koronowana głowa jednego państwa, miał pewne roszczenia wobec B, koronowanej głowy innego państwa – roszczenia o charakterze terytorialnym. C, koronowana głowa trzeciego państwa, mógł pozostać neutralny albo wejść w sojusz tak z A, jak B; jeśli wchodził w sojusze, to zazwyczaj ze słabszym przeciw silniejszemu – tak, aby zabezpieczyć się przed zbytnim wzrostem siły jednego z rywali. Czy też, w innym wypadku, przeciwko A, w jakiejś części jego królestwa, wybuchła rebelia; tak też B, poniekąd niechętnie (bo pewne dogmaty polityczne zbyt mocno ciążyły jeszcze na umysłach ludzi) mógł czasem sprzymierzyć się z rebeliantami celem ograniczenia potencjału A.

Sprawy ludzkie zawsze wykazują, subtelne, choć bardzo wyraźne i wewnętrzne, podobieństwo do sportu: człowiek (przynajmniej człowiek płci męskiej) zawsze dba o to, by życie zorganizowane było według pewnych zasad, i by dało się zgodnie z tymi zasadami osiągać w nim pewne wyniki. Musimy zatem bezwzględnie wystrzegać się wyśmiewania działań wojennych wieku przed Rewolucją jako zwykłej „gry”. Niemniej, prawdą jest, że działania były ograniczone, i służyły osiągnięciu ograniczonych celów; nie chodziło o jakiekolwiek fundamentalne zmiany społeczne; ani – przynajmniej od czasów wojny trzydziestoletniej – o konflikt idei; prowadzono je w imię powszechnie znanych i niezbyt wielkich interesów powszechnie znanej i niezbyt licznej grupy ludzi, narzędzie zaś, przy pomocy których je prowadzono, były zupełnie sztuczne, i możliwie jak najbardziej oderwane od życia narodów.

Z narzędzi tych najważniejsze stanowiły, rzecz jasna, tzw. „zawodowe” oddziały militarne. Termin to bardzo ograniczony, a więc nieco mylący. Dowodziła nimi szlachta europejskich potęg, a także grupka awanturników, niekoniecznie błękitnej krwi; i dla większości ówczesnych arystokratów, wojsko było główną ścieżką kariery. Ci, którzy im podlegali, nie pochodzili z chłopstwa, ani z klasy robotniczej, i tym bardziej nie z przeróżnych „milicji” czy „gwardii”, które miała tworzyć później klasa średnia: byli to przedstawiciele najbiedniejszych i najmniej stabilnych życiowo warstw społecznych, niektórzy powiedzieliby: najgorsze męty Europy. Z nielicznymi wyjątkami tej lub innej wybitniejszej jednostki – człowieka zazwyczaj bardzo młodego, który dał się porwać niezaprzeczalnemu romantyzmowi tego trudnego lecz i wspaniałego rzemiosła – a także pewnych pojedynczych, niezorganizowanych oddziałów stanowiących relikty zwierzchności feudalnej, armie okresu bezpośrednio poprzedzającego Rewolucję składały się z biedaków, którzy sprzedali się w, praktycznie rzecz ujmując, niewolę, czasami ekscytującą i pełną przygód, ale – jeśli zbadać rzecz dogłębniej – na pewno odstręczającą dla każdego wolnego człowieka. Ludzi tych zazwyczaj zmuszały do tego warunki ekonomiczne, matactwo, czy inne rzeczy – i gdy raz wpadli, nie mogli się wydostać. Nie ma tu bardziej jednoznacznych dowodów niż barbarzyńska surowość kar za dezercję, czy nawet za najmniejszą nawet niesubordynację. Będąc w takim położeniu, służyli w „grze” monarchów za pionki, nie tylko w tym sensie, w jakim służyli jako żołnierze, ale i w tym, w jakim starali się zaspokoić zachcianki swoich panów. Ścisły dryl, przepych pozorów, czyli wszystko, czego potrzeba w teatrze i



pretensjonalnych domach arystokratycznych, pojawia się raz po raz w urzędzeniach wojskowych tamtego czasu.

I niech nikomu się nie wydaje, że umniejszam rolę tej wielkiej epoki, jaka trwającej od 1660 do 1789, w której sztuka wojenna została dopracowana w najmniejszych szczegółach, w której zestaliły się tradycje najwspanialszych europejskich armii, i w której osiągnięto w tej dziedzinie trwałą jakość, przynoszącą owoce do dzisiaj. Szeregowcy, szczególnie wobec swojej sytuacji życiowej, uczestniczyli w tej „grze” z wielką przyjemnością – bo wojna to żywioł prawdziwego Europejczyka; czyny wojenne i ich wspomnienia podtrzymywały w nich osobistą dumę; żołnierka, nawet uprawiana w niewolniczych warunkach tamtego czasu, stanowiła autentyczny tytuł do chwały, i, co więcej, trzeba powiedzieć, że przesadnej brutalności dyscypliny towarzyszyły nieraz szlachetne i wysokie przejawy cnoty militarnej. Działania kontyngentów angielskich pod Fontenoy [\[56\]](#) stanowią ledwie jeden z wielu przykładów tego, o co mi chodzi.

Niemniej, aby zrozumieć losy wojen rewolucyjnych, konieczne musimy zrozumieć także różnicę zachodzącą między tak zwanym zawodowym wojskiem epoki je poprzedzającej, a tymi, które Rewolucja stworzyła, z których korzystała, i które zostawiła w dziedzictwo współczesnemu światu.

I inaczej jeszcze, odwracając to, co powiedziało się wyżej: konieczne musimy mieć w pamięci dynastyczny i ograniczony charakter wojen wieku osiemnastego; gdy Rewolucja wybuchła, ludy Europy nie znały i nie spodziewały się żadnych innych.

Gdyby w 1789 roku porozmawiać, na przykład, z jakimkolwiek politykiem, czy to doświadczonym graczem, czy ledwie nieopierzonym przedstawicielem jakiejś nowej siły, na temat aktualnej sytuacji Wielkiej Brytanii, natychmiast zaczęłby rozważać ją przez pryzmat niedawnej porażki, jaką królestwo brytyjskie poniosło z rąk Francuzów w wojnie o kolonie amerykańskie. Gdyby zapytać o sytuację Prus, rozmowa błyskawicznie zesłaby na temat Hohenzollernów jako świeckiej opozycji wobec Austrii i Świętego Cesarstwa. Gdyby Hiszpanii, odpowiedź na pewno dotyczyłaby w ten lub inny sposób tego, jak odbija się na relacjach hiszpańsko-francuskich fakt, że w Hiszpanii również panują Bourbonowie, w związku z czym między tronami obydwu krajów zachodzi bliskie pokrewieństwo krwi. I tak dalej. Żaden prawdziwy polityk tamtego czasu nie wyobrażał sobie nawet, by coś takiego jak wojna *idei*, czy też – ściśle mówiąc – *narodów*, w ogóle było możliwe. I nawet gdy taka wojna naprawdę wybuchła, dyplomatyczne próby wynegocjowania pokoju, intrygi, przy pomocy których starano się pozyskać sojuszników, lub gwarancje neutralności, odzwierciedlały jeszcze w całości stary proces myślenia; i badając ten gigantyczny konflikt, historyk doświadcza momentami pewnej dziwnej satysfakcji, jaką zapewnia oglądanie polityków, którzy walcząc o sprawy najbardziej uniwersalne w historii ludzkiej myśli bez ustanku zmieniają strategię działania pod wpływem czynników całkowicie partykularnych, lokalnych, i efemerycznych, które dziś są, a jutro odchodzą w niebyt.

Ze względu na te stare przesady, Napoleon poślubić musiał arcyksiężną Austrii, a ludzie tak inteligentni jak Danton czy Talleyrand [\[57\]](#) przez lata zupełnie serio sądzili, że bądź to Anglię,

bądź Prusy, uda się skłonić do zachowania neutralności wobec wielkiej francuskiej ofensywy, mającej zniszczyć w Europie społeczeństwo przywileju!

Można powiedzieć, że przez pierwsze dwa lata Rewolucja miała związek z wojskowością wyłącznie pod tym względem, że była wojną domową. Prawda, zawsze jeśli zachodzi w jakimś społeczeństwie znaczniejsza zmiana, konflikt z państwem ościennym prędzej czy później musi zacząć stanowić realną możliwość. Gdyby, na przykład, to lub inne państwo Europy zdecydowało się dzisiaj wprowadzić ustrój kolektywistyczny, orędownicy tego eksperymentu z całą pewnością braliby pod uwagę również wariant interwencji zagranicznej. Lecz większości francuskich – niefrancuskich zresztą też – intelektualistów przez dwa pierwsze lata Rewolucji najmniejsza wojna Francji z jednym z jej sojuszników ani się nawet nie śniła. I, powtarzam, aspekt militarny wypadków tamtego czasu ograniczał się do niepokojów wewnętrznych. Niemniej jednak, ich znaczenia bynajmniej nie należy lekceważyć. Sposób prowadzenia francuskiej wojny domowej (która trwała nieprzerwanie, choć z bardzo różną intensywnością w zależności od miejsca, od lata 1789) wywarł ogromny wpływ na dalsze walki, już z udziałem wojsk obcych: bo podczas konfliktów wewnętrznych, wielkie rzesze Francuzów przywykły do fizycznej obecności żołnierzy, a całe miliony – do bezustannego dyskusowania spraw wojennych.

Jak powiedziało się już to w innym miejscu tej książki, błędem – rażącym i bez ustanku powielanym – jest mniemać, jakoby pierwsze wybuchy rewolucyjnych buntów nie spotkały się z dostatecznie

zdecydowaną reakcją oddziałów królewskich. Przeciwnie – oddziały króla stanęły do walki, i poniosły sromotną porażkę. Lud wielkich miast, a szczególnie Paryża, okazał się zdolny do militarnej organizacji i działań bojowych. Wielkie narzędzie tych zdolności, nowo formowana milicja zwana Gwardią Narodową, stanowiła zaczątek narodu żołnierzy.

Przyczyny wielu elementów tej wyjątkowej i niespotykanej wcześniej sytuacji upatrywać należy w pewnych wrodzonych rysach galijskiego charakteru. Można ująć to tak, że charakter ten od upadku Cesarstwa Rzymskiego po dziś dzień bez ustanku i z własnej woli wykuwał się w doświadczeniach zorganizowanej walki. Niepokój społeczny był dla niego stanem normalnym, podobnie jak ryzyko śmierci w obronie wartości politycznych, i tak też żołnierka, jej nieodzowna dyscyplina, jej trudy i ograniczenia, stanowiły przez wieki dla całego ludu Francji niemal chleb powszedni. To wszystko prawda – niemniej fakt, że w pierwszych latach Rewolucji Francuzi przygotowywali się do walki w szkole niepokojów wewnętrznych, jest dla historii oporu jaki stawili mocarstwom Europy nie do przecenienia.

Analizując dzieje ruchów politycznych, zawsze dobrze jest ustalić dla nich jasno określony punkt startowy – i tak za początek wojen rewolucyjnych uznać można (co samo się zresztą narzuca) moment, w którym Ludwik, jego żona i dzieci podjęli próbę przedostania się do granicy, a konkretnie do Armii Środka pod dowództwem Bouillé [\[58\]](#) . Wydarzyło się to, jak widzieliśmy, w czerwcu 1791 roku.

Wiele czynników składa się na istotność tego momentu. Po pierwsze, do tego momentu monarchowie Europy nie mieli żadnego dowodu na to, że król francuski – historycznie rzecz ujmując pierwszy spośród nich – jest zakładnikiem we własnym kraju.

Szaleńczy marsz na Wersal, w październiku 1789, był czymś zupełnie normalnym, jednym z wielu wybuchów wściekłości ludu, jakie zdarzały się w Europie od wielu wieków. Niemniej błyskawiczne reformy roku 1790, a nawet katastrofalna próba rozwiązania kwestii religijnej z 1791, zyskały oficjalną aprobatę i podpis monarchy. Dwór, choć już nieulokowany w Wersalu, lśnił przepychem, a zwierzchność Korony nad egzekutywą wciąż niepomrotnie przewyższała możliwości jakiegokolwiek człowieka w państwie. Opowieści o niewoli, zniewadze (i tak dalej), okazjonalne protesty emigrantów i bezustanne, lecz czysto prywatne skargi samej rodziny królewskiej wydawały się przesadzone, a w każdym razie na pewno nieusprawiedliwiające jakiegokolwiek reakcji – dopóki, powiadam, nie przyszedł szok, jakim była dla wszystkich królewska ucieczka, pościg, i aresztowanie. To przesądziło sprawę; i to tym bardziej, że więcej niż jeden europejski dwór, a najbardziej Austria, przez kilka dni wierzył w to, że plan się powiódł, i Ludwik jest bezpieczny.

Co więcej, ucieczka i jej udaremnienie postawiły armię w absurdalnej sytuacji. Interwencja antyrewolucyjna była mało prawdopodobna tak długo, jak długo inne państwa wierzyły, że wojsko francuskie zachowało swoją dawną dyscyplinę i biegłość. Niemniej, w tym wypadku dowództwo boleśnie zawiodło – i jasno okazało się, że ani egzekutywa, ani generałowie nie mogą liczyć na swoich żołnierzy, przynajmniej tych francuskojęzycznych. Po drugie,

niepowodzenie planu ucieczki skłania królową, z jej bystrym umysłem i umiejętnością szybkiego tworzenia śmiałych, choć nie zawsze roztropnych planów, do rozważenia po raz pierwszy opcji interwencji zagranicznej. Listy zwierające podobne sugestie (choć, istotnie, raczej chodziło jej o pogróżki, niż o prawdziwą wojnę) zaczęły powstawać dopiero po jej przechwyceniu w Varennes.

Po trzecie, i ostatnie, przypadkowo mniej więcej w tym samym czasie coraz częściej zaczęły pojawiać się głosy o konieczności ustanowienia republiki, detronizacji króla, i – ogółem – rozpoczęła się debata nad zasadnością ustroju monarchicznego, wielkie wyzwanie, które rzucić miała Rewolucja innym krajom Europy.

Nie dziwi nas zatem, gdy dowiadujemy się, że w dwa miesiące po tych wydarzeniach pojawia się słynna deklaracja z Pillnitz [\[59\]](#).

Treścią polityczną tego dokumentu musimy zająć się w innym miejscu. Tutaj interesuje nas wyłącznie kontekst wojskowy.

A w tym kontekście, deklaracja z Pillnitz odpowiadała, na tyle, na ile pozwalały na to warunki czasu, temu, co dziś nazwalibyśmy rozpoczęciem mobilizacji pewnej części rezerwistów. Nie można jej porównać do mobilizacji *całej* rezerwy, czy tym bardziej nie do mobilizacji generalnej, znanej współczesnym narodom, bo takie czyny równają się po prostu wypowiedzeniu wojny (jak było, na przykład, w wypadku działań podjętych przez rząd angielski przed wojną w Afryce Południowej), a dokument pillnitzki bynajmniej nie miał podobnych skutków. Niemniej, na pewno stanowił posunięcie drastyczne, podobne sytuacji, w której pewna grupa mocarstw ostrzegłaby inne mocarstwo, że w związku z takim a takim

konfliktem gotowa jest powołać pod broń część żołnierzy rezerwy. Podobne, choćby, do działań podjętych przez Austrię wobec Serbii w 1908 roku. I chodziło dokładnie o zmuszenie przeciwnika do uległości, jak zwykle w wypadku gróźb formułowanych przez silniejszego wobec słabszych.

Takie właśnie były konsekwencje listów słanych przez Marię Antoninę swemu bratu (który zwołał spotkanie w Pillnitz), i w tym sensie właśnie rozumieli je politycy Rewolucji.

Przez całą jesień i zimę kwestią, która najbardziej interesowała dyplomatów zagranicznych – a także najtrzeźwiej myślących z francuskich decydentów – był stan francuskich sił zbrojnych i ich dowództwa. Nominacja Narbonne'a na wodza naczelnego miała znaczenie większe, niż jakikolwiek ruch *stricte* polityczny, a zastąpienie go Dumuriezem – większe, niż jakiekolwiek inne wydarzenie w ogóle. Sporządzono plany kampanii obronnej (które Maria Antonina błyskawicznie zdradziła wrogowi), znaleziono mnóstwo pretekstów do rzeczywistej konfrontacji – Rewolucja prowokowała cesarza w kwestii szlachty alzackiej, cesarz odpowiedział – rękami Kaunitza [\[60\]](#) – listem stanowiącym bezpośrednią ingerencję we francuskie sprawy wewnętrzne, do tego w oparciu o rzekome „prawo” do takowej; 20 kwietnia 1792, Francja wypowiedziała Cesarstwu wojnę. W reakcji Prusy poinformowały francuską dyplomację, że porozumiały się z cesarzem – i walka o utrzymanie zdobyczy Rewolucji rozpoczęła się naprawdę.

Z początku wojna toczyła się wolno, wręcz leniwie: siły Pierwszej Koalicji zbierały się i organizowały w ślimaczym tempie; ale panika,

w jaką wpadali żołnierze francuscy już w pierwszych potyczkach, ich rażący brak dyscypliny, i pozorne załamanie się francuskiej siły wojskowej, sprawiły, że tryumf wojsk sprzymierzonych wydawał się pewny. Siły niemieckie przekroczyły granicę około tygodnia po upadku Tuileries. Longwy skapitulowało natychmiast; tydzień później, w ostatnich dniach sierpnia, Niemcy zaczęli oblegać wielką twierdzę Verdun. Poddła się niemal bez walki.



## *Étap drugi*

2 września armia pruska weszła do Verdun, i właściwie tuż za bramami miasta, w małej wiosce nazwą Regret, siły koalicji rozbiły swój obóz. Ciut więcej niż tydzień później, 11 września, zaczęły marsz wzdłuż linii Lasu Argońskiego.

Czytelnik musi przy tym pamiętać, że to właśnie wtedy, po utracie fortec przygranicznych i wobec jasnych dowodów demoralizacji armii francuskiej, miały w Paryżu miejsce słynne masakry wrześniowe, i inne okropieństwa tamtego czasu. Dumouriez, dowodzący armią, którą ściślej nazwać by trzeba pośpiesznym „zlepkiem” różnych oddziałów, dostał rozkaz utrzymania linii Lasu Argońskiego, wzdłuż której posuwały się wtedy siły sprzymierzone. Dobrze będzie tutaj wyjaśnić przy okazji, co oznacza w sensie militarnym słowo „linia”.

Argonny stanowią długi, niemal idealnie prosty łańcuch wzgórz idący z południa na północ, a ściślej sporo na północy zachód.

Gleba ich jest gliniasta, i choć przeciętnie wzgórza te sięgają ledwie trzysta stóp ponad poziom łądu, zbocza ich schodzą stromo ku wschodowi – czyli tam, skąd można spodziewać się uderzenia. Porośnięte są szczelnie gęstym lasem, szerokim na od pięciu do ośmiu mil, dostępność wody zaś, jest bardzo ograniczona – do tego woda ta, nawet tam gdzie jest, często nie nadaje się do picia; odpowiednie dla armii miejsca do obozowania oraz drogi zdarzają się niezmiernie rzadko. Uświadomienie sobie wszystkich tych szczegółów, zwłaszcza w wypadku czytelników-cywilów,

niemających na ogół świadomości, jak ogromną przeszkodą może okazać się dla maszerującego wojska tak drobny, wydawałoby się, detal ukształtowania terenu, to rzecz absolutnie pierwszej wagi. Tamtej deszczowej jesieni, artyleria i wozy zaopatrzeniowe (w tym z żywnością) wojsk niemieckich nie mogły poradzić sobie na śliskiej glebie argońskich lasów, i musiały poruszać się tylko po drogach bitych. Te zaś biegły wyłącznie tam, gdzie pozwalały na to naturalne przesmyki.

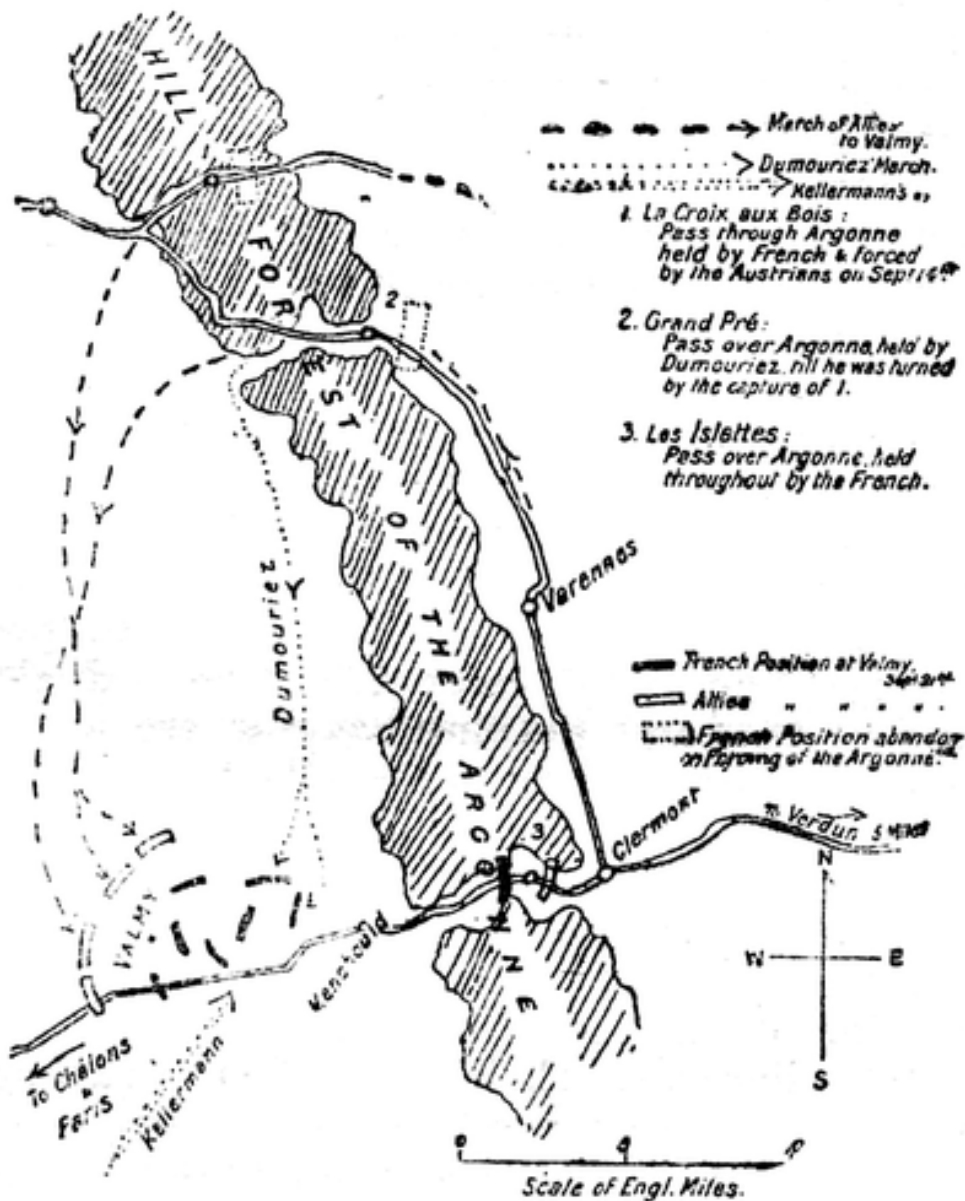
Ściśle mówiąc, były tylko trzy takie miejsca, i do dziś zresztą próba przeprawienia się przez te wzgórza nastręcza wielu trudności. Poniższy szkic zobrazuje ich umiejscowienie. Najdalej na południe biegł wielki trakt wiodący od granicy przez Verdun do Paryża. Przy środkowym (nazywanym „wrotami Grandpré”) czekał Dumouriez ze swoją improwizowaną armią. Trzeci, wysunięty najdalej na północ, również został obsadzony, ale znacznie słabiej. Oczywisty szlak inwazji przebiegałby od Verdun dalej, głównym traktem przez południowy przesmyk „Les Islettes”, do Chalon, i ostatecznie do Paryża. Lecz Dumouriez, mknąc jak błyskawica z północy, zabezpieczył to przejście, samemu sytuując się, jak się powiedziało, w okolicy Grandpré. Prusacy wszakże, uderzyli dokładnie w to miejsce, Austriacy zaś pomaszerowali ku przesmykowi północnemu. Obydwie ofensywy zakończyły się powodzeniem. Dumouriez wycofał się jednak na południe ku St. Menelhoud. Tymczasem, z Mates nadchodził ze swoim wojskiem Kellerman [\[61\]](#), by go wesprzeć, a przesmyk „Les Islettes”, stanowiący bramę wiodącą do Paryża, pozostawał w rękach Francuzów.

## *Manewry w Lesie Argońskim i kanonada pod Valmy, wrzesień 1792*

Wojska pruskie i austriackie połączyły siły na równinie znanej jako Champagne Puoilleuse, na zachód od Argonnów. Wkrótce okaże się też niechybnie, że ich położenie, gdy szły na południe by zetrzeć się z Dumouriezem i zadać mu ostateczną porażkę, była nieco absurda: znajdowały się one bliżej stolicy wroga niż sam wróg, a jednak zmuszone były walczyć plecami do niej – wróg zaś nacierał w kierunku przeciwnym, starając się do niej przebić. Co więcej, zauważyć trzeba, że połączenia komunikacyjne sił sprzymierzonych stały się od tego momentu bardzo skomplikowane, okrężne, co uczyniło transport żywności i amunicji przedsięwzięciem trudnym i powolnym – lecz dowódcy ich liczyli na błyskawiczne zwycięstwo, i szybki marsz na Paryż.

19 września Kellerman i Dumouriez wreszcie połączyli siły w pobliżu St. Menehould, i rankiem 20 września ta połączona armia ustawiła się na pozycjach na paśmie ziemi rozciągającym się bezpośrednio za miejscowością Valmy; od której to miejscowości miały przejąć imię dramatyczne wypadki następnych dni. Koniecznie musi wybrzmieć tutaj wyraźnie, że dłużej niż dwa tygodnie obydwie armie wystawione były na działanie jak najgorszych warunków atmosferycznych, lecz Prusacy ucierpieli wskutek tego znacznie bardziej, niż Francuzi. Żołnierze zaczęli chorować na dyzenterię, a zły stan dróg pogarszał tylko tym bardziej i tak już fatalną kondycję linii komunikacyjnych.

## Manewry w Lesie Argońskim i kanonada pod Valmy, wrzesień 1792



O poranku tamtego dnia, to jest 20 września, gęsta mgła spowiła okoliczny teren, co drastycznie opóźniało podejmowanie decyzji. Wysunięty oddział francuskiej piechoty natknął się co prawda podczas rekonesansu na baterię niemieckiej artylerii, ale wciąż jeszcze było to bardziej dzieło przypadku, niż świadomej taktyki, i dopiero sporo później widoczność stała się dość dobra, aby obie

strony mogły zobaczyć pozycje przeciwnika. Wtedy zaczęła się właściwa bitwa, a właściwie kanonada, której właściwe skutki wyjaśnić jest chyba trudniej, niż jakikolwiek inne ważniejsze wydarzenie wojen rewolucyjnych. Przez długie godziny artyleria pruska, później wsparta jeszcze przez Austriaków, ostrzeliwała pozycje francuskie, celując głównie w wiatrak w miejscowości Valmy, wokół którego zgrupowały się francuskie wojska. W pewnym momencie, pociski niemieckie trafiły w skład amunicji i części do dział; nastąpiła eksplozja, przez wszystkich świadków zgodnie zapamiętana jako moment centralny tej wymiany ognia, która z całą pewnością wywołała zamęt w źle zorganizowanych oddziałach Kellermana. Co do określenia czasu, w którym eksplozja ta miała miejsce, zeznanie różnią się we wprost niebywałym stopniu. Niektórzy świadkowie twierdzą, że w południe, inni, że koło godziny trzeciej – tak trudno jest precyzyjnie ustalić porządek tego, co działo się w ogniu walki. Tak czy inaczej, w związku z tym niezaprzeczalnym sukcesem czy bez, ale na pewno stosunkowo niedługo po nim, Prusacy rozpoczęli uderzenie, i tutaj właśnie zaczynają się dla historyka największe problemy. Uderzenie to nie osiągnęło celu; czy, jak uważają niektórzy, ze względu na celność i intensywność ostrzału francuskiej artylerii, o którym dowództwo pruskie wcześniej nie wiedziało i przekonało się dopiero *post factum*, czy też, co bardziej prawdopodobne, ponieważ nie dało się go przeprowadzić na tak grząskim gruncie – jakakolwiek byłaby tu przyczyna, oddziały pruskie, choć zdyscyplinowane i świetnie dowodzone, choć nacierające w jak najlepszym porządku, nie zdołały wykonać pierwotnego planu. Zatrzymały się w połowie zbocza, i tak też ostatecznie całe to starcie pozostało ledwie

wymianą ognia artyleryjskiego pozornie bez bardziej konkretnych konsekwencji.

A jednak, jak mówię: pozornie; bo konsekwencje te już wkrótce okazały się ogromne i – historycznie rzecz ujmując – tak istotne dla przebiegu działań wojennych, jak duża, rozstrzygnięta bitwa. Po pierwsze, ze względu na trudności logistyczne, kalkulacje niemieckiego dowództwa były niezmiernie precyzyjne, i nie dopuszczały nawet dnia zwłoki, a ten właśnie udało się Francuzom uzyskać. Po drugie – moment skutecznego oporu stawionego najeźdźcy wlał w serca załamanych i zdezorganizowanych wojsk Dumourieza i Kellermana nową wiarę i siłę moralną.

Musimy pamiętać, że wojsko francuskie spodziewało się porażki – szczególnie szeregowcy, którzy nie mieli najmniejszej nadziei na pomyślny rezultat tych zmagania; i gdy szeregowcy owi przekonali się, że oto wobec potężnego natarcia, którego tak długo się obawiano, i które w końcu nadeszło, potrafią skutecznie przeciwstawić się wrogowi, emocjonalnie przeżyli tę bitwę tak mocno, jakby skończyła się ich druzgocącym zwycięstwem.

Na koniec, musimy koniecznie mieć zdać sobie sprawę z tego, że jakiegokolwiek przyczyny zatrzymały to jedno pruskie uderzenie, te same przyczyny zatrzymały zmasowany atak, który miał nastąpić następnego dnia. Tymczasem, stan zdrowia pruskich żołnierzy ciągle się pogarszał. Nawet tak drobne opóźnienie (raptem 24 godziny) zrobiło wielką różnicę. Kolejna zwłoka, następny dzień, gdy siły sprzymierzone nie umiały podjąć decyzji, czy uderzać, czy zostać na pozycjach, ogromnie zwiększyła liczbę zmożonych chorobą.

Przez cały tydzień rosnącego niepokoju i szalejącej epidemii armia niemiecka stała w bezruchu, niezdolna do podjęcia konkretnych działań, choć przecież znajdowała się bliżej Paryża, niż wojska francuskie. Dumouriez zręcznie wykorzystał ten moment zawahania, i wszystkie zagrożenia, jakie stwarzał dla wroga, specjalnie przedłużając negocjacje, aż 30 września pruscy i austriaccy dowódcy uznali, że nie będą w stanie wytrzymać dłużej w tak trudnych warunkach, i poprosili o możliwość odwrotu. To geniusz Dantona, jak już wiemy, w głównej mierze pozwolił zorganizować sprawne wyjście z Francji tego, co wciąż stanowić mogło groźną siłę najeżdżczą. To właśnie dzięki niemu nie dozwolono na wybuchy nieroztropnego dżingoizmu, uciszono głupie nawoływania o konfrontację i pokaz siły, i ostatecznie siły sprzymierzone opuściły Francję spokojnie, z całym sprzętem, ze sztandarami powiewającymi wysoko, i w należyтым porządku. Odwrót ten trwał długo, ale przebiegł bez perturbacji, choć pod czujnym okiem oddziałów francuskich, nadzorujących go dyskretnie, pod ścisłą wszakże kontrolą Paryża. Więcej niż trzy tygodnie później siły sprzymierzone, co do których cała Europa i monarchia francuska liczyły, że błyskawicznie stłumią Wielką Rewolucję, i w ten właśnie dziwny, i być może niewytłumaczalny zupełnie sposób pierwsza kampania mocarstw europejskich przeciw Francji zakończyła się fiaskiem.

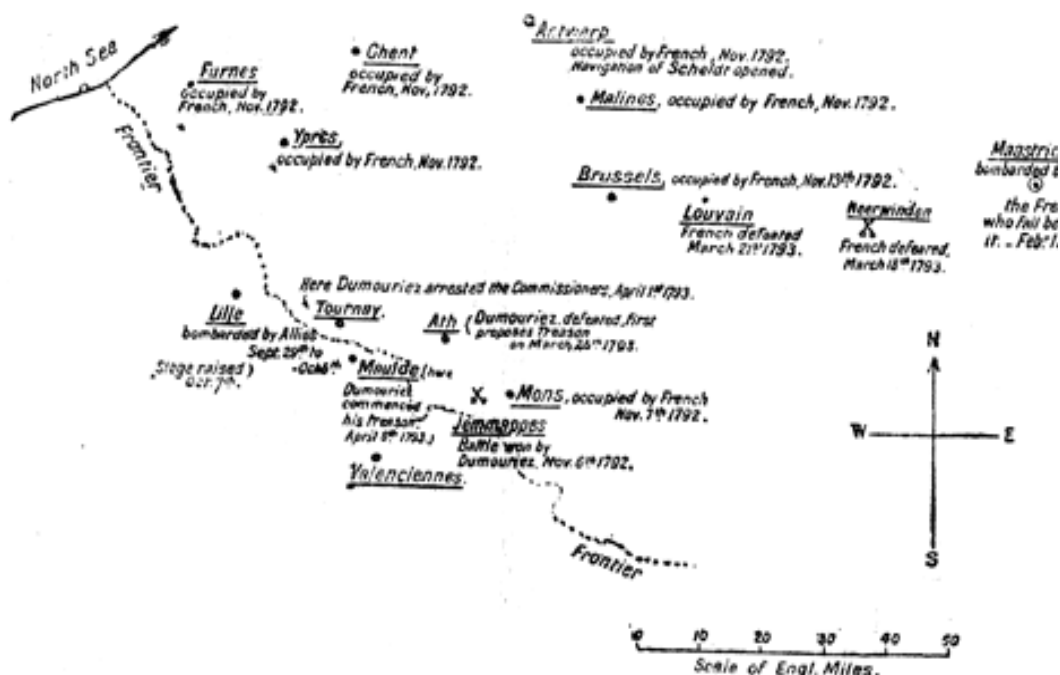
## *Étap trzeci*

Na fali tego sukcesu, Dumouriez zaproponował to, co od początku – to znaczy odkąd przejął dowodzenie nad całą armią francuską – było jego osobistą i własną inicjatywą: mianowicie, inwazję na Niderlandy.

Aby zrozumieć dlaczego ofensywa ta zakończyła się klęską, i dlaczego Dumouriez sądził, że ma szanse zakończyć się zwycięstwem, koniecznie trzeba nam dobrze zrozumieć ówczesną militarną i polityczną sytuację rzeczzonego regionu. W tamtych czasach, stanowił on niezmiernie bogatą i cenną część dominiów austriackich; w niedalekiej przeszłości wstrząsnął nimi poważny kryzys, kulminujący w otwartej rewolcie, spowodowanej kołtuńską i nietolerancyjną pogardą cesarza dla spraw religii. Ze wstępnej taktyki prześladowań i konfiskat faktycznie się wycofał, niemniej emocje ludu wciąż jeszcze w głównej mierze kierowały się przeciw zwierzchności Wiednia. To istotnie nadzwyczajne – i niepozbawione związków z politycznym oporem wobec protestanckiego i silnie arystokratycznego kraju, jakim była Holandia – że mieszkańcy Niderlandów zdołali w tamtej epoce zachować wyjątkowe przywiązanie do katolicyzmu. Rewolucja była antykatolicka nie mniej od cesarza, lecz o prześladowaniach austriackich Belgowie (jak ich teraz nazywamy) coś już wiedzieli; prześladowania francuskie mieli dopiero poznać. Dlatego też Dumouriez kalkulował, że uderzając



właśnie w tym kierunku, będzie walczył na przyjaznym terenie. Co więcej, Niderlandy stanowiły region odcięty geograficznie od reszty Cesarstwa; politycznie, zatem, skazany na mniejszą lub większą izolację, i nawet dla celów wojennych komunikacja z nim byłaby znacznie utrudniona – chyba że Austria mogłaby zacząć liczyć w tej materii na bezwarunkową pomoc Prus, które jednak były do niedawna jej największym i całkowicie bezwzględnym rywalem.



Szkic pokazujący miasta okupowane przez Francuzów w 1792 i opuszczone przez nich w marcu 1793, z lokalizacją bitew pod Jemappes, Neerwinden, i miejsca zdrady Dumourieza.

A jednak, mimo że okoliczności *en bloc* sprzyjały inwazji, należy wziąć pod uwagę dwa czynniki negatywne, i to potężnie negatywne: po pierwsze, stan francuskiej armii, po drugie – płomienna niechęć odczuwana przez miejscową ludność wobec wszelkich przejawów

antykatolicyzmu w polityce, która tak bardzo dała się we znaki Józefowi II.

Z tych dwóch czynników najważniejszy był, rzecz jasna, czynnik drugi. Gdyby wojsko francuskie było homogeniczne, o wysokim morale, i dobrze wyszkolone, naprawdę mogłoby utrzymać swe zdobycze terytorialne; tymczasem, było ono skrajnie niehomogeniczne, w znacznej części fatalnie przeszkolone, i – co najgorsze – pozbawione choćby zrębów spójnej teorii dowodzenia. Ludzie, którzy wyobrażali sobie, że dowódców wojskowych naprawdę można wybierać oddolnie, i że wojsko przypominać może chaotyczny żywioł demokracji, zostali przypisani do jednych oddziałów ze starymi weteranami, którzy spędzili całe życie w warunkach ścisłej dyscypliny, pod zwierzchnością, która przychodziła nie wiadomo skąd, jak gdyby za zrządzeniem losu. Sam fakt stłoczenia tak różnych typów żołnierza w jednej armii byłby czymś wystarczająco niekorzystnym, lecz na dodatek nowe teorie polityczne sprzyjały głupim nowinkom nowych batalionów, mimo że zdrowy rozum polityków nie pozwalał mieszać przy jakże cennej dyscyplinie starej gwardii.

Inwazja na Niderlandy rozpoczęła się od wielkiego, lecz cokolwiek także ubocznego i mało owocnego sukcesu, jakim było zwycięstwo pod Jemappes. Stanowiło ono pierwszy od około czterdziestupięćdziesięciu lat znaczniejszy czyn bojowy, który naród francuski – zakochany w sztuce militarnej i dramatyzmie działań wojennych – miał szansę oglądać w wykonaniu swych wojsk. Zwycięstwo odniesione nad Anglikami w Ameryce Północnej, choć miażdżące i strategicznie błyskotliwe, z oczywistych względów nie dostarczyło

tutaj odpowiedniego materiału – i tak też ostatnią wiktoria, jaką lud Paryża mógł jeszcze pamiętać, było Fontenoy, niemniej i tak tyczyło się to wyłącznie najstarszych spośród żyjących w tamtym czasie (mowa o jesieni 1792), którzy – gdy staracie to miało miejsce – byli ledwie chłopcami, ewentualnie dopiero co wchodzili w wiek męski. Nowe pokolenie rewolucjonistów, tak militarnie zdolne i chętne, nigdy tak naprawdę nie poznało na tym polu smaku zwycięstwa, choć niczego nie pragnęło na świecie tak, jak chwały oręża, ta zaś istotnie mogła stać się dla ludzi ich charakteru źródłem życiowego spełnienia.

Jak wiele wszakże innych czynów śmiałych i pozornie rozstrzygających, tryumf pod Jemappes nie przyniósł żadnych trwałych owoców. Zaraz później zaczęły dawać się wojskom francuskim dwa czynniki, o których pisałem wcześniej. Francuzi, istotnie, wprost zalali Belgię, zalali ją w liczbie 80 tysięcy ludzi, lecz nie zrobili przy tym absolutnie niczego, aby oddać szacunek jej tradycjom, czy zyskać sympatię jej mieszkańców. Dosłownie zaraz po zwycięstwie pod Jemappes w sąsiadującej z nią twierdzy granicznej Mons zainstalowano rewolucyjną maszynę administracyjną. Zajęto, a okazjonalnie i splądrowano, własność Kościoła, a francuski pieniądz papierowy, asygnaty, o których już słyszeliśmy, rozszedł się po kraju jak zaraza, rujnując znakomity system gospodarczy, stanowiący dotychczas stabilny fundament belgijskiej struktury społecznej.

Bitwa pod Jemappes miała miejsce 6 listopada 1792 roku. Brukselę wzięto 14 listopada, i przez całą zimę Niderlandy pozostawały niepodzielnie w ręku francuskim. Komisarze z

Konwentu, choć obdarowali Belgię instytucjami republikańskimi, traktowali ją jak podbitą prowincję, i zaraz na początku wiosny parlament francuski przegłosował aneksję. Aneksja ta, podobnie jak i determinacja polityków Paryża, by uczynić Belgię krajem republikańskim i antykatolickim, prześladowania Kościoła i niejedność wojska, postawiły Dumourieza w trudnym położeniu, które tylko pogarszało się w miarę jak zbliżał się nowy rok, 1793. Trzeba pamiętać, że moment ten splótł się jeszcze w czasie z egzekucją króla, i następującymi po nich deklaracjami wypowiedzenia wojny, jakimi Francja przerzucała się w konsekwencji z innymi mocarstwami Europy. Jednocześnie, dowództwo postanowiło nie poprzestawać na wystarczająco trudnej okupacji Belgii i przeprowadzić także inwazję na Holandię, kraj jeszcze trudniejszy militarnie do utrzymania. Zaplanowano oblężenie Maastricht.

Był to absolutnie najgorszy moment na podobne przedsięwzięcie. Wszystkie egzekutywy cywilizowanego świata podjęły, otwarcie bądź w tajemnicy, pośrednie lub bezpośrednie, działania przeciwko władzy rewolucyjnej. Pierwszy rozkaz odwrotu nadszedł 8 marca, gdy oblężenie Maastricht okazało się niemożliwe do utrzymania, i gdy ogromne siły Koalicji zgrupowały się celem przeprowadzenia naprawdę poważnej próby stłumienia Rewolucji; kampanii znacznie bardziej niebezpiecznej, i znacznie bliższej sukcesu, niż ta, relatywnie przecież niewielka, którą przerwano pod Valmy.

Odwrót trwał dziesięć kolejnych dni, aż 18 marca Dumouriez zdecydował się zaryzykować, i stawiał wrogowi czoła pod Neerwinden. Przegrał.

Porażka nie była sromotna, odwrót kontynuowano w niezłym porządku, niemniej przeciętny cywil rozumuje prosto, wyłącznie w kategoriach zwycięstwa i porażki; potrafi ogarnąć bitwę, lecz nie za nic nie umie ogarnąć wojny. Gdy wieści o klęsce dotarły do Paryża, w momencie wielkiego kryzysu politycznego, przechyliły szalę; rzuciły cień wątpliwości na lojalność Dumourieza względem rządu rewolucyjnego, zrujnowały resztki jego popularności, sam generał zaś, miał wszelkie podstawy sądzić, że trudny materiał, z którym musi się zmagać, ulega tylko dalszemu rozkładowi. Do końca miesiąca, armia jego musiała oddać wszystkie swe zdobycze – i zatrzymała się już za granicą francuską, w Valenciennes, 27 marca. Inwazja na Belgię skończyła się fiaskiem.

W tym momencie, nastąpił jeden z tych charakterystycznych aktów politycznych, które sprawiają tak wielkie trudności każdemu, kto próbuje opisać wojny rewolucyjne z czysto militarnego punktu widzenia. Dumouriez, dowódca dużej armii, która choć pokonana i w odwrocie wciąż trzymała się mocno, dopuścił się czegoś, co potomność słusznie uznała za zdradę narodową, ale co jemu samemu musiało wydawać się niczym innym, jak tylko czynem godnym męża stanu. Zaproponował wrogowi układ i wspólny marsz na Paryż celem przywrócenia ustroju monarchicznego i położenia kresu temu, co wydawało mu się – jako żołnierzowi – sytuacją bez wyjścia. Bez wątpienia uważał – wtedy, w chaosie roku 1793 – że armia francuska skazana jest na porażkę. Tylko dlatego, że przegrał jedną bitwę, zaczął obawiać się o własne życie. Z całego serca nie cierpiał rosnącego entuzjazmu, czy wręcz delirium, w jakie wprawiała naród francuski teoria polityczna, w imię której musiał stanąć do walki, i negocjacje z Coburgiem [\[62\]](#) , dowódcą armii

austriackiej, rozpoczął jeszcze przed dotarciem do francuskiej granicy. Trwały one bardzo długo. Dumouriez zgodził się przekazać francuskie fortece graniczne w ręce wroga tytułem gwarancji i dowodu dobrej woli; i 5 kwietnia sojusz rzeczywiście mógł stać się faktem.

Ale tak jak zdrada Dumourieza stanowi wątek dla każdej czysto militarnej analizy dziwny i absurdalny, podobnie i reakcja jego wojsk.

Powodzenie decyzji dowództwa, które mogą okazać się niepopularne wśród szeregowców, zależy – rzecz jasna – w całości od tego, jak ustosunkują się do nich niżsi oficerowie, ci zaś jednogłośnie odmówili wykonania rozkazów. Wiadomo było, że Dumouriez miał zostać przesłuchany przed Konwentem Narodowym, i że wysłano komisarzy mających doprowadzić go do Paryża. Aresztował ich – i przekazał ich Coburgowi jako zakładników. Koniec końców, miał dać Austriakom silną armię sojuszniczą w marszu na Francję, 8 kwietnia Dumouriez musiał salwować się ucieczką; wszystkich, którzy z nim poszli, i z których potem wielu wróciło na stronę francuską, było nie więcej, niż tysiąc ludzi – co do jednego najemnicy zagraniczni.

Wpływ tych osobliwych wypadków na historię polityczną mieliśmy już szansę poznać. Ich wpływ na historię militarną był pośredni, ale wprost gigantyczny. Armia francuska, choć borykająca się z problemami, wciąż istniała, niemniej Paryż nie potrafił (i nie mógł) powierzyć jej z czystym sumieniem żadnemu generałowi, i tak też impulsu do dalszej walki, jaki zazwyczaj wobec inwazji i zagrożenia poszukują narody w porywach patriotyzmu, które starają się wykrzesać z siebie zapewniając wysokie wynagrodzenia żołnierzom,

a dowódcom honory i dożgonną fortunę, naród francuski szukać zaczął w absolutnie wyjątkowym, nowym i nienormalnym eksperymencie, jakim były Rządy Terroru. Obrona granicy, mająca miejsce przez cały rok 1793 i pierwszą część 1794, wielka operacja, która zdecydowała ostatecznie o losach Rewolucji i przechyliła szalę zwycięstwa na stronę francuską, prowadzona była pod nieustającą groźbą kary śmierci. Każdy błąd traktowano jak zdradę, i każdy większy plan strategiczny powstawał w cieniu gilotyny.

To, czym musimy się zatem teraz zająć, to ponad rok zmagania wojennych, prowadzonych w podobnie nienormalnych warunkach, i ostatecznie zakończonych pełnym sukcesem za sprawą geniuszu jednego człowieka – dawniej wojskowego, dziś polityka: Łazarza Carnot. Francuzi zwyciężyli dzięki niewzruszonej wierze politycznej, która pozwoliła ich przywódcom dla ocalenia zdobyczy Rewolucji posunąć się do wszystkiego; dzięki nieprawdopodobnej wprost wytrzymałości fizycznej swych żołnierzy, a także, rzecz jasna, dzięki fortunnym zbiegom okoliczności – bo przypadek zawsze miał na wojnie znaczenie kluczowe.

Wiosna 1793, zwłaszcza kwiecień i maj, to pierwsza faza wojennego kryzysu Rewolucji. Atak, który ma wkrótce nastąpić, jest ogromny, i wydaje się niemożliwe, by mógł się nie powieść. Z jednym wyjątkiem szturm pod Jemappes, gdzie trzydzieści tysięcy Austriaków zostało startych w proch przez falę powodzi (wojska Dumourieza były znacznie, znacznie liczniejsze, choć nawet w tamtym momencie niepomrotnie gorzej zorganizowane), armie rewolucyjne nie odniosły żadnego sukcesu. Ich stan nawet dla oczu laika przedstawiał się źle, dla oczu eksperta zaś – po prostu

beznadziejnie. Nie miały jedności, i doskwierały im ogromne braki dyscypliny, świecące niczym dziury w płachcie przegniłego płótna. Nawet w konfrontacji ze stosunkowo nielicznymi oddziałami, jakie przeciw nim dotąd rzucono, okazały się bezsilne, i pewne jest, że po krótkiej kampanii przypominającej bardziej akcję policyjną, niż wojskową, siły sprzymierzone dotrą do Paryża i przywrócą stary ład, czy przynajmniej jakiś system do niego zbliżony. Teraz pozostaje tylko zrozumieć, dlaczego te racjonalne oczekiwania okazały się zupełnie nietrafione.

Najlepsze rozeznanie w sytuacji zapewni rzut oka na trzeci szkic taktyczny, jaki pojawia się w tej książce kilka stron dalej. Francuzi przeprowadzili w latach 1792-93 dwie wielkie ofensywy; północną, którą dopiero co opisałem – to jest inwazję na Belgię; i drugą, wschodnią, która dotarła do linii Renu, zagarniając Moguncję. O klęsce ofensywy północnej, kulminującej w zdradzie Dumourieza, już sobie powiedzieliśmy. W wypadku ofensywy reńskiej (szczególnie po tym, jak Moguncja, podobnie jak Belgia, została zaanektowana przez Francję decyzją parlamentu), wrogość miejscowej ludności oraz koncentracja sił Koalicji przyniosły takie same skutki, jak w Niderlandach.

21 marca 1793 Prusacy przekroczyli Ren w miejscowości Bacharach, i w ciągu tygodnia dowódca wojsk francuskich, generał Custine [\[63\]](#), zarządził odwrót. Pierwszego kwietnia wojsko jego, zostawiwszy w Moguncji tylko niewielki garnizon, przekroczyło na powrót granicę Francji; dwa tygodnie później Moguncja została okrążona przez armię pruską, i zaczęło się oblężenie.



Na froncie północno-wschodnim, rozciągającym się od Ardenów aż do morza, sprawy przybierały podobny obrót. Od tamtej strony jednak, bronił dostępu do Paryża łańcuch potężnych fortec obronnych, i jeśli siły Koalicji chciały do niego dotrzeć, musiały podjąć wielokrotnie większy wysiłek, niż w wypadku uderzenia na froncie reńskim. Mniej więcej w tym samym czasie, co oblężenie Moguncji, to jest 9 kwietnia, zaczęły się zatem pierwsze kroki na tej trudnej drodze, i siły sprzymierzone weszły pomiędzy dwie twierdze francuskie, Condé i Valenciennes. Jedyne, co pozostało od tego momentu Austriakom i Coburgowi (do których miały wkrótce dołączyć posiłki), to zdobywać te fortece jedna po drugiej, spokojnie i systematycznie, by po zabezpieczeniu połączeń komunikacyjnych ruszyć na Paryż.

Niezmiernie istotne jest dla czytelnika nieobeznanego z historią militarną dobrze zrozumieć znaczenie dwóch faktów, co do których spora część współczesnej literatury przedmiotu może wprowadzić go w błąd. Po pierwsze: że w oczach Francuzów organizacyjna i liczebna przewaga sił Koalicji, i to zarówno w dolinie Renu, jak i na froncie belgijskim, jawiła się jako zwyczajnie miażdżąca. Po drugie: że żaden kompetentny dowódca, szczególnie w takich warunkach, nie szedłby dalej nie upewniwszy się pierw, że nie zostanie mu za plecami choćby jeden, najmniejszy garnizon, i choćby jedna niezdobyta forteca. Ważne, by mieć tego jak najgłębszą świadomość, jako iż emocje polityczne wzniecone przez Rewolucję wciąż pozostają gorące, w związku z czym mało kto jest w stanie pisać o tej historii obiektywnie i bez uprzedzeń, i w dziejopisarstwie naszym powtarzają się bez końca dwa błędy: po pierwsze twierdzi się, jakoby Koalicja nie mogła wykorzystać pełni swego potencjału

wojskowego ze względu na kwestię polską, po drugie zaś: że ostrożność jej dowódców była niepotrzebna.

Obydwie te tezy stawia się celem wyjaśnienia przyczyn klęski, jaką skończyła się ostatecznie kampania wrogów Rewolucji; obydwie wszakże, niezależnie od tego, jakie by stały za nimi autorytety, są ahistoryczne i kompletnie bezwartościowe. Zwycięstwo francuskie miało charakter ściśle militarny, i wynikało z militarnych czynników, zarówno taktycznych, jak i losowych. Koalicja zagrała swoją rolę zgodnie ze wszelkimi wymaganiami sztuki wojennej; i jeśli przegrała, to nie ze względu na szkolne błędy polityczne czy strategiczne, jak historycy ze zbyt nikłą znajomością spraw wojskowych nieraz usiłują wmówić swoim odbiorcom, ale po prostu – ze względu na wyższość swoich przeciwników.

Prawda, że kwestia polska (to znaczy fakt, że zarówno austriacki jak i pruski rząd musiały bez ustanku troszczyć się o to, by wobec postępującej aneksji polskiego terytorium nie dać się zepchnąć konkurentowi na margines, co pogłębiało tylko ich wzajemną niechęć i nieufność) miała wtedy bardzo duże znaczenie. Ale pisać tak, jak gdyby wywierała ona jakikolwiek wpływ na sytuację w Nadrenii czy Niderlandach, to po prostu słaba historiografia.

Każda kampania wojenna determinowana jest przez cel polityczny. W tym wypadku, celem politycznym było zdobycie Paryża. Po określeniu takiego celu, można określić szacunkowo rozmiar i poziom organizacji sił przeciwnika, i podjąć kroki stosowne do tych kalkulacji. Nigdy nie wysyła się w bój wielu więcej żołnierzy, niż to absolutnie konieczne: w sztuce militarnej byłoby to coś takiego, jak trzy- czterokrotne przepłacanie za towary w handlu

międzynarodowym. Armie zgrupowane przez Koalicję na linii Renu i w Niderlandach były, według zdania wszystkich autorytetów wojskowych tamtego czasu, dostatecznie silne; nawet bardziej, niż dostatecznie; o tyle bardziej, że opinia tych, którzy musieli przeciwstawić się temu uderzeniu – to jest, specjalistyczna opinia zawodowych oficerów Republiki, była taka, że praktycznie wszystko stracone, i istotnie, Francuzi stanęli do walki wbrew rozumowi, w gwałtownym, szaleńczym wprost porywie patriotyzmu.

Kwestia druga, kwestia tak zwanego „opóźnienia”, wywołanego rzekomo niepotrzebnymi oblężeniami twierdz przygranicznych, dowodzi natomiast wyłącznie tego, że wielu badaczy nie ma dość głębokiej znajomości ówczesnych warunków. Gdyby Austriacy i Prusacy zostawili za plecami choćby jedną znaczniejszą twierdzę z garnizonem, ich połączenia komunikacyjne zostałyby natychmiast przerwane – i to w momencie, w którym wchodziliby coraz głębiej w terytorium wroga, i to wroga, który walczył o życie, więc był zdolny do wszystkiego. Co więcej, jeśli walczy się przeciwko wojskom o nieporównanie gorszej dyscyplinie organizacji, takie twierdze po prostu trzeba zdobywać, i to za wszelką cenę. Dowódca słabszych oddziałów zawsze będzie planował swoje działania tak, by w jakiś sposób się o nie oprzeć. Będą stanowić dla jego wojsk bezpieczne schronienie w razie niebezpieczeństwa, i jeśli mu się pozwoli, zawsze prędzej czy później zrobi z tego użytek. Jeśli zaś znajdzie się za ich murami, przetrwa – i to przetrwa na tyłach wroga, gotów do ataku. Nie ma zatem żadnych wątpliwości, że Coburg dobrze postąpił postanawiając zdobyć wszystkie fortece jedną po drugiej, i dopiero później rozpocząć marsz na Paryż, który, jak uważał – i zupełnie słusznie – po takim przygotowaniu błyskawicznie

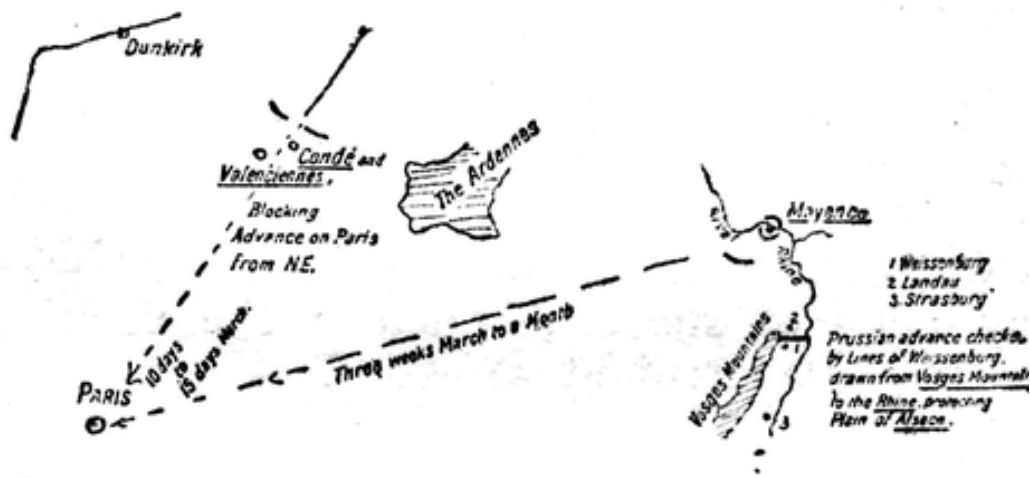
osiągnąłby cel. Rozpacz, jaka ogarnęła naród francuski gdy twierdze te zaczęły upadać, to wystarczająco wymowne świadectwo trafności jego rozumowania.

Do analizy sytuacji militarnej roku 1793 przechodzimy zatem z pełną jasnością w dwóch podstawowych kwestiach: –

1. Na północnym wschodzie trwa ofensywa na Paryż, na drodze której stoi czworobok twierdz: Mons, Maubeuge, Condé i Valenciennes, z „barbakanem” Lequesony w pobliżu ostatniej z nich. Od odwrotu Dumourieza, Mons pozostawało w rękach austriackich; na skutek uderzenia Coburga, Condé straciło łączność z Valenciennes, lecz nie skapitulowało; Valenciennes, i sąsiadujące z nim Lequesony, trzymają się mocno, podobnie Maubeuge. Nim Austriacy będą mogli rozpocząć marsz na Paryż, wszystkie te fortece muszą zostać zdobyte. Tak przedstawia się sytuacja w ostatnich dwóch tygodniach kwietnia.

2. Tymczasem, na froncie reńskim Moguncja jest obleżona; Custine, dowódca armii francuskiej na wschodzie, wycofał się do miejscowości Landau, i prze dalej, w kierunku tego, co znamy z historiografii pod nazwą Linii Weissembourgu [\[64\]](#) . Poniższy szkic wyjaśni wagę ich znaczenia. Opierając się o dwie przeszkody naturalne, rzekę po prawej, a góry po lewej stronie, Linie pełniły zasadniczo funkcję twierdzy; czyli miały strategicznie znaczenie takie, jak opisaliśmy wyżej. Aż do ich zdobycia, całą Alzację uważać można było uważać właściwie za naturalną fortecę, bronioną przez góry, rzekę – i właśnie Linie Weissembourgu jako „trzecią ścianę”.

Sytuacja strategiczną na wczesną wiosnę 1793. Moguncja oblężona, Condé i Valenciennes o mało co oblężone. Szlaki dwóch potencjalnych ofensyw na Paryż.



Czytelnik nieobeznany z historią militarną zapytać może dlaczego Francuzi nie próbowali nawet zabezpieczyć bezpośrednio trasy pruskiego marszu. Odpowiedź brzmi: dlatego, że obecność jakiegokolwiek ufortyfikowanej siły wojskowej w pobliżu linii komunikacyjnych wywiera skutki podobne, jak gdyby położyć na tych liniach zwaliska kamieni. Żaden dowódca wojskowy nie może iść naprzód, jeśli tuż obok trasy natarcia jego wojsk stacjonuje silna armia wroga, zdolna – gdy tylko się oddalą – odciąć je od zaopatrzenia; bo linie komunikacyjne, to dla armii układ krwionośny, szczególnie na terytorium wroga.

Custine, zatem, skryty bezpiecznie za Liniami Weissembourgu, wraz z garnizonem Moguncji odgrywał rolę podobną, co twierdze na północnym wschodzie, opóźniając uderzenie armii pruskiej pod dowództwem Wurmsa [\[65\]](#) i księcia Brunszwiku z linii Renu, dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej Condé, Valenciennes i Maubeuge opóźniały uderzenie Coburga z Niderlandów. Tak właśnie

przedstawiała się ogólna sytuacja na froncie wschodnim pod koniec kwietnia 1793 roku.

## *Étap czwarty*

Przyjrzyjmy się teraz wydarzeniom na froncie północnym. Pamiętać należy, że do wojny z Francją przystąpiła właściwie cała Europa. Austriacy zyskali wsparcie sił holenderskich, które dołączyły do nich dokładnie w tym momencie, a także kilku oddziałów hanowerskich i angielskich pod wodzą księcia Yorku.

W tej chwili, gdy Coburg zaczął dysponować największą siłą od początku wojny, Francuzi przypuścili na niego uderzenie rozpoznawcze i przegrali z kretesem. Dampierre [\[66\]](#), dowódca tak zwanej „Armii Północ” zginął, a na jego następcę nominowano Custine’a. Armia Północ nie skoncentrowała się, jak może powinna była, na mniejszym obszarze by stawić czoła Coburgowi w regularnej bitwie; bez ustanku próbowano dywersji i wojny podjazdowej, uderzeń kompletnie bezskutecznych, bo po prostu za słabych. Raz atak pozorowany na prawo w kierunku Namuru, raz na lewo wzdłuż linii wybrzeża; wszystko na próżno. Przed upływem miesiąca, Coburg, aby – że tak powiem – zrobić miejsce dla planowanych oblężeń, odrzucił główną część Armii Północ daleko za Valenciennes. Tuż po tym wielkim zwycięstwie Coburga, na północ ściągnął Custine, by przejąć dowodzenie na granicy belgijskiej, jego miejsce na wschodzie zaś zajął Houchard [\[67\]](#).

Custine był dobrym strategiem, ale nie sprzyjało mu szczęście. Planował słusznie: skoncentrować wszystkie oddziały francuskie w jednym miejscu (czyli wycofać się z Alzacji i Nadrenii), tym samym

tworząc siłę zdolną przeciwstawić się Coburgowi. Rząd się na to nie zgodził, w związku z czym natychmiast poświęcił się Custine reorganizacji samej tylko Armii Północ. Na pracy tej upłynął cały czerwiec, i połowa lipca.

Tymczasem, Austriacy rozpoczęli operacje oblężnicze, i Condé stało się ich pierwszy celem. Upadło 10 lipca. Custine został wezwany do Paryża, a wojska Koalicji obległy Valenciennes. Miejsce Custine'a zajął generał Kilmaine [\[68\]](#), Irlandczyk, który zdołał utrzymać pozycję ledwie krótki czas, a i przez ten czas właściwie nic nie był w stanie zrobić. Armia Koalicji rosła w siłę. Valenciennes oblegała mniejszość wojsk Coburga, a do tego jeszcze w momencie kryzysu wsparło Austriaków jeszcze piętnaście tysięcy żołnierzy heskich. Korzystając z tej wielkiej przewagi, cesarski generał szybko pozbył się wojsk francuskich, które wciąż stały mu na drodze, choć – prawdę mówiąc – nie sprawiały większego zagrożenia.

Wojska te stacjonowały na południowy zachód od Valenciennes, około dzień drogi od miasta. Coburg liczył, że w walce z nimi wyręczą go angielskie i hanowerskie oddziały księcia Yorku, ale ich atak się nie powiódł. W warunkach przeraźliwie gorącego lata dystans okazał się za długi, Francuzi zdołali wycofać się za rzekę Scarpe, i tym samym ocalili skórę.

Talenty księcia Yorku wyolbrzymiano z patriotycznego zapału w wielu traktatach historycznych. Był to człowiek, który przegrał wszystko, co mógł: i to właśnie jeden z najbardziej jaskrawych przykładów jego nieumiejętności.



Kilmaine ledwo zdołał umknąć przed Yorkiem, i rozmieścić swe wojska bezpiecznie za rzeką Scarpe, gdy sam został pozbawiony dowodzenia, a jego miejsce – wezwany z Alzacji jak Custine – zajął Houchard. Nim główna część armii francuskiej dotarła do celu, Valenciennes upadło. Stało się to 28 lipca, i porażka ta, choć nieunikniona i, że tak powiem, traktowana przez opinię wojskową jak oczywistość, stanowiła najboleśniejszy cios, jaki zadały dotąd Francuzom armie Koalicji. Od tej chwili ostatnią przeszkodą stojącą na ich drodze do Paryża, było Maubeuge.

W mniej więcej tym samym czasie, w ogólnej sytuacji militarnej zaszły trzy istotne zmiany, na które czytelnik – jeśli pragnie zrozumieć to, co się następnie wydarzyło – koniecznie musi zwrócić uwagę.

Pierwszą było poważne wewnętrzne zagrożenie dla rządu republikańskiego; drugą – dojście Carnota do władzy; trzecią – angielska operacja dywersyjna pod Dunkierką.

Zagrożeniem wewnętrznym, z którym przyszło mierzyć się władzom Republiki, była ogólnokrajowa rebelia, którą opisaliśmy już we wcześniejszych częściach tej książki. Ze względu na podjęte przez radykałów paryskich represje wobec żyrondy, całe dystrykty stanęły w płomieniach. Marsylia, która od kwietnia wykazywała oznaki rozczarowania, i zaczęła nawet formować małe siły reakcyjne, wypowiedziała stolicy posłuszeństwo. Podobnie Bordeaux, Nimes, i inne wielkie miasta południa. W Lyonie, powstanie zaczęło się pod koniec maja, kulminując w zamordowaniu jakobińskiego mera w okresie pomiędzy upadkiem Condé i Valenciennes. Reakcyjne oddziały marsylskie udało się pokonać

dzień przed upadkiem drugiej z tych twierdz, niemniej sam wielki port wciąż niż dostał się w ręce sił wiernych rządowi. Marsz oddziałów normañskich na Paryż równie¿ zakończył się fiaskiem, i to w tym samym okresie. Z du¿ej normañskiej chmury pokapał mały normañski deszcz; lecz poniewa¿ wszystko to działo się niezmiernie blisko stolicy, odegrało, w różnych kontekstach, ogromną rolę. Rewolta wandejska, choć jej tryumfalny pochód udało się zatrzymać pod Nantes na dwa tygodnie nim Austriacy zdobyli Condé, wciąż miała się dobrze, i straszliwe represje przeciwko niej ledwo się rozpoczęły. Najgorsza ze wszystkich, a przynajmniej prócz zdrady lyońskiej, była utrata Tulonu. Miasto to powstało dwa dni przed upadkiem Valenciennes, i gotowe było (co zresztą później stało się faktem) oddać się dobrowolnie pod okupację angielskiej floty.

Szczegółowy wykaz dat mo¿e poniekąd zmącić jasność przekazu, w związku z czym ogólny charakter zagrożenia wewnętrznego przedstawię jak następuje: żołnierz w obozie francuskim na linii Skaldy, co dzień słyszący austriacką kanonadę pod Valenciennes o piętnaście mil od niego, i co dzień czekający tylko momentu, w którym ostrzał się zakończy i jasne będzie, że miasto padło, wprost zasypywany zaczął być informacjami, że kontrrewolucja w Marsylii trwa; że kontratak przeciwko powstańcom wandejskim ugrzązł i nie wiadomo, co z nim będzie (cały lipiec był dla armii francuskiej w tym regionie katastrofą); że kontrrewolucjoniści w Lyonie odnieśli miażdżące zwycięstwo, i byli tak pewni swego, że nie bali się nawet zamordować republikańskiego mera; i że wielki arsenał i port w Tulonie, francuskie Portsmouth Morza Śródziemnego, miał dość paryskich polityków, i zdecydował się dobrowolnie oddać w ręce angielskie. Jediną pociechą stanowiłoby dla niego fiasko uderzenia

z Normandii – niemniej wspomnienie tej grozy, jak i faktu, że Marat zginał właśnie z ręki Normandki, nadal wywierało na jego psychice niebagatelne skutki.

Tak właśnie przedstawiała się sytuacja wewnętrzna Francji w tamtym momencie, w chwili, gdy upadało Condé i Valenciennes, i gdy Austriacy byli o krok od sforsowania granicy.

Punkt drugi, przejęcie przez Carnota sterów władzy państwowej, którym zajęliśmy się już w politycznej części tej pracy, ma dla militarnego aspektu tamtych wydarzeń znaczenie tak gigantyczne, że jemu również musimy poświęcić tutaj kilka słów.

Stary Komitet Ocalenia Publicznego, przypomnijmy sobie, w świetle prawa zakończył kadencję 10 lipca. Ten Komitet trzymany był na wodzy przez mądrość Dantona. Carnot nie wszedł w skład nowego Komitetu, niemniej geniusz militarny tego człowieka był już do tego czasu znany narodowi. Pochodził z tego silnego typu klasy średniej, wokół której obraca się, niczym wokół osi, cała historia nowożytnej Europy; z urodzenia Burgundczyk, płomienny republikanin, gdy przyszedł czas, wrócił do Konwentu, i głosował za egzekucją króla; przed Rewolucją saper, człowiek doskonale biegły we własnym rzemiośle, i odczytany w teorii wojskowości, w trakcie wojny wysłany przez Konwent na granicę belgijską celem inspekcji Armii Północ; dostrzegł jej słabość, i przyjrzał się jej strategicznym eksperymentom. Gdy tylko wrócił, natychmiast nominowany został na urząd, pełniąc który odmienić miał diametralnie losy tamtej wojny. Tymczasowe stanowisko w Komitecie otrzymał 14 sierpnia, a jego ogromny talent sprawił, że szybko objął je na stałe. Pierwotnie, miał służyć tylko jako zastępstwo dla owego przerażającego i

niekompetentnego fanatyka, Saint-André, który wyjechał z Paryża spełnić dla Komitetu pewne zadanie. Ale od dnia przyjęcia na urząd Carnot udowodnił swą wyższość w sprawach wojskowych tak niekwestionowanie, że z miejsca stał się praktycznie dyktatorem kraju, i pierwszą jego decyzją (po pewnych ogólnych ustaleniach organizacyjnych) było narzucić armiom przygranicznym obowiązek koncentracji sił. Innymi słowy wprowadził to, co potem odziedziczył po nim Napoleon: rozwiązanie taktyczne „wszystko na jedną kartę”.

Pamiętać trzeba, że sukces Carnota nie wziął się z jakichś rewolucyjnych odkryć w sztuce wojennej, ale raczej z nieomylnego panowania nad mnóstwem szczegółów, które stanowi znak prawdziwego organizatora, i z głębokiego rozumienia ducha narodu. Rozumiał Carnot pogardę dla parady i blichtru, surowość, nawet brutalność dyscypliny, oraz świadomość gigantycznych możliwości fizycznych, do których zdolny jest Francuz gdy zostaje żołnierzem; – i zrobił z tego rozumienia doskonały użytek.

Kolejno pamiętać trzeba, że geniusz ten miał w tamtych dniach wsparcie w osobie człowieka równie genialnego jak on – Dantona; bo to właśnie ta dwójka nadała kształt legislacyjny praktyce poboru, dzięki której Rewolucja zyskała nagle pół miliona żołnierzy, przywróciła rzymskie tradycje militarne, i położyła fundament pod system wojskowy, na którym opiera się byt współczesnej Europy. W tym momencie, z Carnotem jako wodzem naczelnym, dysponującym absolutną zwierzchnością nad wszystkimi armiami, i – co najważniejsze – władnym narzucić swoją wolę konkretnie Armii Północ, którą niedawno jako komisarz lustrował, analiza punktu drugiego może się zakończyć.

Punkt trzeci to, jak rzekłem, angielska dywersja pod Dunkierką.

Ostateczna klęska sił sprzymierzonych spowodowała, że ruch ten zazwyczaj ostro się krytykuje. Gdyby wszakże siły sprzymierzone osiągnęły swój cel, traktowalibyśmy całą operację dzisiaj tak, jak traktowano ją wtedy. Wojska Koalicji na granicy północno-wschodniej były tak duże i tak pewne swego – szczególnie po zdobyciu Valenciennes – że propozycji Anglików, by wolno im było odłączyć się na chwilę od głównej armii Coburga i zająć Dunkierkę nikt się właściwie specjalnie nie sprzeciwiał. Przeciwnie, Cesarstwo dało jeszcze Yorkowi do dyspozycji dodatkowych osiemnaście batalionów, i czternaście szwadronów. Kiedy zaś uderzenie to zostało odparte, plan był taki, by gdy tylko ostatnia z fortec granicznych upadnie, zacząć je od nowa: tak przychylnie odnosiło się dowództwo Koalicji do tego pomysłu.

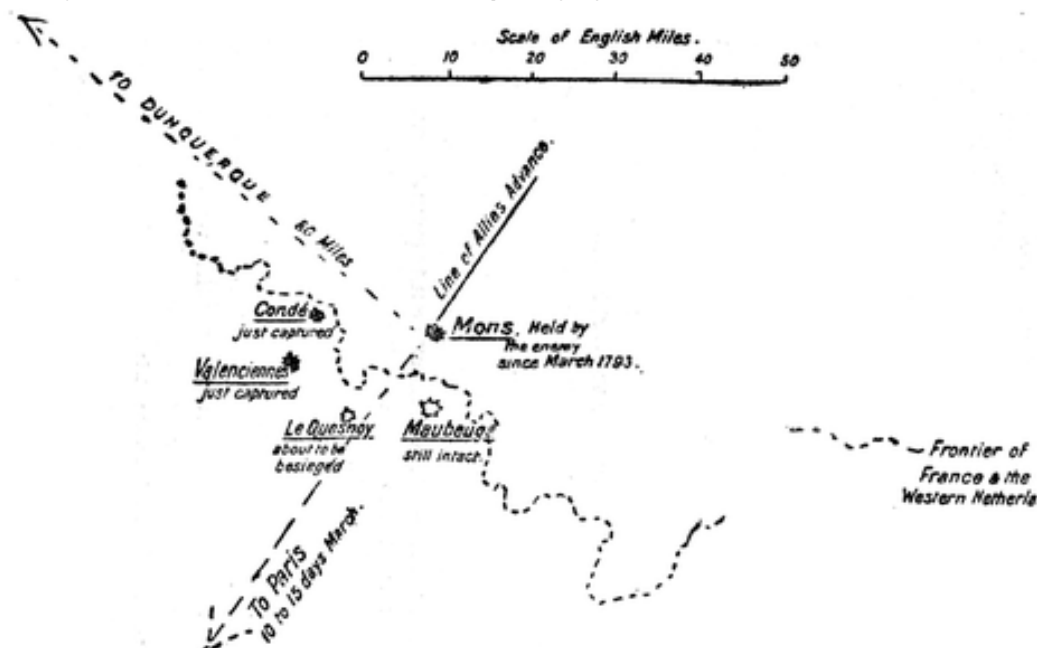
Dywersja ta miała się wszakże okazać błędem, i to błędem brzemennym w skutkach. Próba zdobycia miasta zakończyła się fiaskiem, i to niespodziewane zwycięstwo tchnęło we Francuzów ową niedefiniowalną lecz ogromną siłę moralną, która miała odegrać tak wielką rolę w ich przyszłych sukcesach.

Poniższy szkic wyjaśni sytuację. Valenciennes i Condé padły; Lequesnoy, mała forteca w pobliżu Valenciennes, nie zostało jeszcze zaatakowane, ale było następne w kolejności, gdy siły sprzymierzone uznały, że nadszedł stosowny moment, by regimenty angielsko-hanowerskie (wsparte przez niewielki kontyngent cesarski) oddzieliły się od reszty wojska i rozpoczęły swój marsz ku morzu.

Gdy bada się dzieje, zawsze trzeba mieć w pamięci, że sytuacje militarne, podobnie jak szachowe, raczej przydarzają się, niż są planowane; i tak też sytuacja, która wytworzyła się pod koniec października na najdalej na północny-zachód wysuniętym odcinku frontu, który Francuzi próbowali utrzymać, strategicznie rzecz biorąc była dokładnie takiej, przypadkowej, natury. Gdy książę Yorku zaczął domagać się zgody na rozdzielenie wojsk i atak na Dunkierkę, nie znalazł się nikt, kto by przewidział nadchodzącą katastrofę.

Coburg, istotnie, wolałby, aby Anglicy pozostali na miejscu i poprosił ich, by to uczynili, lecz nie uważał, by z operacją tą wiązało się jakiegokolwiek niebezpieczeństwo dla wojsk Austriackich – bo też i się nie wiązało.

*Szkic pokazujący stan fortec granicznych blokujących Koalicji drogę na Paryż w momencie, w którym zdecydowano się na rozpoczęcie ekspedycji dunkierskiej.*



Kolejno, choć po dotarciu do celu York zajął złą pozycję, to nikt, ani jego przeciwnicy w ojczyźnie, ani podwładni, ani nawet przeciwnicy, nie dostrzegał w pełni jak bardzo była ona zła. To w pewnym sensie zbieg okoliczności, pech skombinowany ze słabym dowodzeniem, doprowadził do brytyjskiej klęski, i (co miało dla przebiegu wojny znaczenie kluczowe) pierwszej zakończonej sukcesem operacji strategicznej, będącej Francuzom jedynym źródłem pociechy i wiary w siebie przez całe to straszne lato.

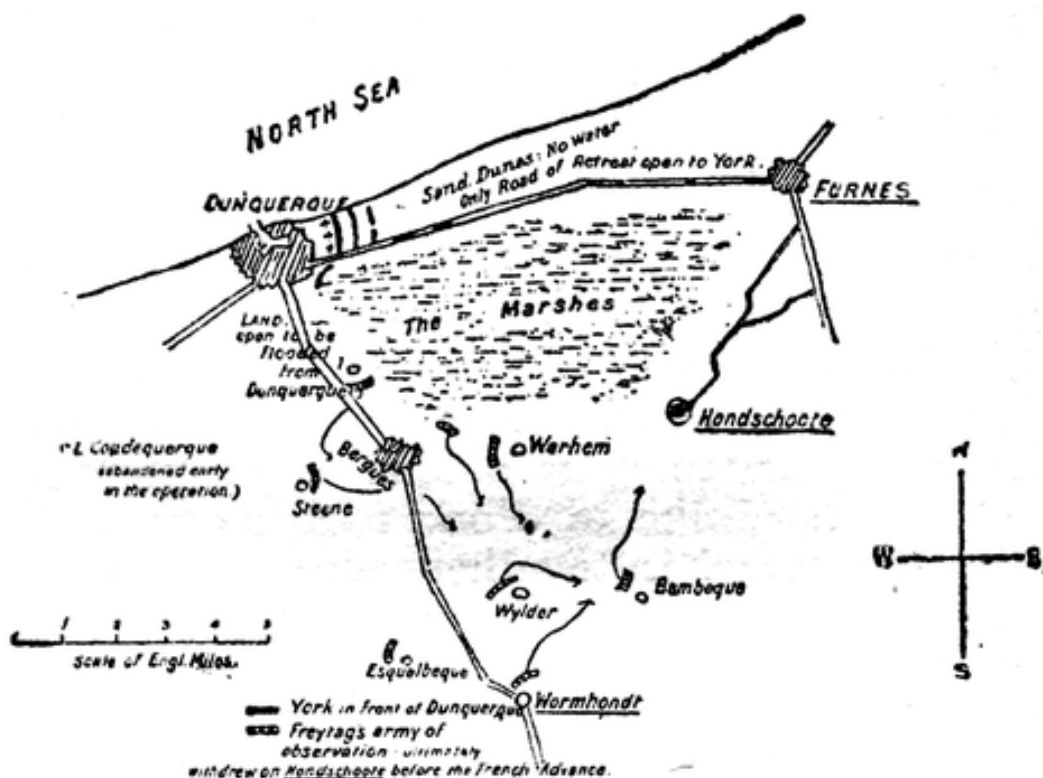
Księżę Yorku oddzielił się od Coburga tuż przed upływem połowy sierpnia; oprócz niecałych 7000 Brytyjczyków miał jeszcze pod komendą 11 000 Austriaków, 10 000 Hanowerczyków i 7000 Hessów. Cała armia zatem, liczyła w przybliżeniu 37 000 żołnierzy. Nikt nawet nie wyobrażał sobie, aby armia ta, biorąc pod uwagę liczebność oddziałów, jakie Francuzi byli w stanie wystawić do boju, a także zatrważająco zły stan dunkierskich fortyfikacji, mogła natrafić choćby na jakieś poważniejsze trudności w realizacji swych planów; plan zaś był, rzecz jasna, taki, by zdobyć Dunkierkę szybko, i dołączyć do Coburga w marszu na Paryż – i trudno dopatrzyć się w tym nieracjonalności czy przesadnej brawury.

Kwestią absolutnie kluczową jest, by czytelnik widział to takim, jakim naprawdę było, i nie czytał historii do tyłu, przez pryzmat późniejszych wypadków.

Od początku operacji dopatrzyć się można w sposobie jej prowadzenia pewnych słabości praktycznych. Zaczęła się 15 sierpnia marszem z Marchiennes do Menin, i już wtedy armia najeżdżcza wykazywać się zaczęła tym brakiem energii, jaki ogólnie

charakteryzował oddziały Yorka przez całą kampanię [69] \* . Z Marchiennes do Tourcoing jest dzień drogi: książę Yorku potrzebował czterech; i, zbiorczo mówiąc, aż dziewięć dni musiało upłynąć nim korpus brytyjski pokonać zdołał raptem niecałe czterdzieści mil. W trakcie trwania tego marszu, oddziały brytyjskie zaczęły pogardzać przeciwnikiem: w Linselles, na flance, stawiała im opór ledwie zgraja niezdyscyplinowanych chłopców, którzy rozpierzchli się natychmiast, gdy tylko Gwardia rozpoczęła atak, i których wątpliwość fizyczna jeszcze długo potem wywoływała u atakujących salwy szyderczego śmiechu. Po tej bezsensownej i bezowocnej potyczce, siły Koalicji wkroczyły na wybrzeże, i oblężenie Dunkierki zostało rozpoczęte (jak dokładnie, wyjaśni poniższy szkic).

### *Oblężenie Dunkierki, wrzesień 1793.*





Pierwsze, co trzeba niezbędnie ustalić, to data: 20 sierpnia; tego dnia armia oblegająca Dunkierkę podzielona została na dwie części. Pierwsza z nich, pod komendą samego księcia Yorku, miała uderzyć na miasto bezpośrednio; druga, pod komendą wiekowego generała Cesarstwa, Freytaga [\[70\]](#), miała wypatrywać francuskiej odsieczy, i osłaniać uderzenie. Dwa dni później, York opuścił Furnes, która uczynił bazą wypadową do ataku, Freytag zaś z niespotykaną łatwością zmiatał z jego drogi francuskie oddziały, złożone głównie z ochotników, spokojnie zajmując pozycje na flance na południe i wschód od Bergues, miejscowości dla oblężenia potencjalnie groźnej.

Dwa dni później, 24 sierpnia, Freytag wszedł do Wormhoudt i Esquelbecque, zdobył tuzin armat, poradził sobie z Francuzami niemal bez problemu i szczelnie otoczył Bergues. Kwaterę główną założył w Wilder. Tego samego dnia, 24 sierpnia, książę Yorku z łatwością zdobył wysunięte pozycje oddziałów francuskich broniących Dunkierki, i zamknął wroga w obrębie miasta, samemu formując się na zewnątrz, w wybranym wcześniej i odpowiednio ufortyfikowanym miejscu, po prawej mając morze, a po lewej wioskę Tetteghem. Od umocnień Dunkierki dzieliło go około 3000 jardów.

Tak przedstawiała się sytuacja 25 sierpnia, gdy wszystko już było gotowe do otwartych działań ofensywnych. I w tym momencie, czytelnik koniecznie spojrzeć musi na mapę, bo tylko ona dość dobrze naświetli to wszystko, co miało stać się ostatecznie przyczyną brytyjskiej klęski.

Wyobraźmy to sobie: Freytag otacza Bergues tak, jak zaznaczono na mapce; książę Yorku trwa wciąż naprzeciw Dunkierki, jak również zaznaczono; dwie armie mają ze sobą łączność – pomost stanowi droga i pas suchego gruntu łączące obleżone miasta. Armia osłaniająca i atakująca to tak naprawdę dwa skrzydła jednej siły; pozostają w kontakcie i mogą wesprzeć się nawzajem w najważniejszych momentach, i choć nieco na wschód pomiędzy nimi rozciąga się również pasmo gruntów podmokłych – oznaczone na mapie jako „bagna” – to jednak nieco dalej na zachód komunikacja jest możliwa, i tak też dwa wojska współpracować mogą dzięki traktowi Bergues-Dunkierka.

Czynnikiem, którego znaczenie książę Yorku mógł zlekceważyć, był fakt, że Francuzi, kontrolując śluzy, mogli zatopić całą płaską jak stół okolicę, przez którą biegła główna droga. Skorzystali z tej możliwości błyskawicznie: zalali nizinę na południe od miasta jak tylko armia najeżdżcza znalazła się na pozycjach. Niemniej zdarzeniem znacznie ważniejszym, i do dziś niewyjaśnionym, było wycofanie się Austriaków z Coudequeque. Przez ten jeden błąd, siły sprzymierzone straciły kontrolę nad głównym traktem, znajdującym się nad poziomem wody, i z jednej silnej armii zamieniły się w dwie słabe. Oddziały Yorka i Freytaga straciły wszelką łączność, i to właśnie tę sytuację wojska francuskie, choć organizacyjnie i kadrowo żałosne, zdołały wykorzystać.

Szło im to bardzo wolno. Houchard zgromadził w pobliżu Cassel około czterdzieści tysięcy ludzi, lecz dziesięć dni minęło, nim udało się ich skoncentrować. Kolejny raz należy szczególnie podkreślić, i powtórzyć, że – choć niezmiernie liczne, wtedy już cztery razy

liczniejsze niż siły Freytaga – oddziały Houcharda zaledwie w jednej trzeciej składały się z prawdziwych żołnierzy, resztę stanowili ochotnicy starzy i nowi, słabo przeszkoleni poborowi i tak dalej. Nie było dyscypliny, ani możliwości jej wdrożenia; ludzie ci zachowywali się na służbie w sposób niegodny i pierzchali przez małym wojskiem Austriackim w panicznym strachu. Mimo całej przewagi liczebnej, plan Houcharda wiązał się z wielkim ryzykiem: sam Houchard zaś, był wodzem niezdecydowanym i niepewnym. Co więcej, z tych czterdziestu tysięcy ćwierć przynajmniej pozostawała niezdolna do boju ze względu na nieudolność i polityczny terroryzm generała Dumesny [\[71\]](#) , dowódcy prawej flanki.

6 września Francuzi rozpoczęli frontalne natarcie; wojsko liczniejsze podjęło po prostu próbę fizycznego zdominowania wojsk mniej licznych, raz po raz dowodząc jednocześnie swojej niezaprzeczalnej niższości w boju. Tak na przykład, gdy sam Freytag pojmany został w trakcie nocnej potyczki, Austriacy odbili go niemal natychmiast, szturmując wieś, w pobliżu której został schwytany. Gdy przychodziło do prawdziwej walki twarzą w twarz, żołnierze Houcharda nie mieli skąd czerpać nadziei.

Austriacy, prowadząc zorganizowany odwrót, zdolali skoncentrować siły, i wkrótce już utworzyli jedną, zwartą formację: celem Francuzów było ją teraz rozbić, niemniej nie był to cel łatwy do osiągnięcia.

Tymczasem, francuskie uderzenie nie tylko że zakończyło się niespodziewanym sukcesem, ale jeszcze zapoczątkowało wielką

serię udanych ruchów ofensywnych, która miała zakończyć się dopiero pod Lipskiem.

Armia Freytaga wycofała się w okolice miejscowości Hoondschoote i 8 sierpnia przegrupowała się, zyskując pełną zdolność bojową. Houchard uderzył na nie siłą znacznie mniej liczną, niż ta, którą dysponował dotychczas, ale wciąż dwakroć przewyższającą przeciwnika. A jednak, przewaga wojskowa austriackich zawodowców nad francuskimi żółtodziobami i ochotnikami była tak znaczna, że rankiem jeszcze niczego nie udało się rozstrzygnąć. Popołudniu wszakże, co było do zrobienia, Francuzi zrobili, i wróg rozpoczął odwrót, który o mało co nie zamienił się w paniczną ucieczkę. Rzut oka na mapę wykaże niechybnie, że gdyby miał Houchard choć nieco z inicjatywy wykazywanej przez tak wielu jego współczesnych, natychmiast zepchnąłby znacznie mniej liczny przeciwnik na prawo, samemu zaś przeciął linie komunikacyjne wojsk księcia Yorku, a następnie zniszczył jego armię, tłoczącą się na wydmach bezwodnych, w okolicy, którą teraz zajmuje miasteczko Malo-les-Bains. Houchard się zawahał; książkę Yorku, zostawiając armaty oblężnicze w liczbie czterdziestu i znaczną część ciężkiego sprzętu, umknął pośpiesznie w nocy do Furnes, pod samym nosem armii francuskiej, i w ten sposób uniknął rozgromu.

Bitwa pod Hoondschoote, jak się ją dziś nazywa, przerwała oblężenie Dunkierki. Stanowiła ona, jak rzekłem, pierwszy sukces wojsk Rewolucji w tamtym momencie śmiertelnego zagrożenia, i od rozpoczęcia wojny europejskiej. Niestety, nie była w najmniejszym stopniu tym, czym być mogła, gdyby tylko Houchard miał odwagę

zaryzykować. W związku z tym, generała wezwano z powrotem do Paryża, skazano na śmierć, i zabito z rozkazu Komitetu Ocalenia Publicznego, którego pozbawiony skrupułów despotyzm jako jedyny mógł uratować naród od zguby. Do dziś pozostaje on absolutnie wyjątkowym przykładem oficera wojskowego, który postradał życie ze względu na niekompetencję na polu bitwy po tym, jak odniósł zwycięstwo, i egzekucja jego stanowi znakomitą ilustrację nastawienia Komitetu i tego, że instytucji tej, a zwłaszcza Carnota, nie interesowało absolutnie nic poza tym, co bezpośrednio przyczyniało się do militarnego tryumfu Francji.

Carnot i Komitet nie mieli czasu na iluzje cywilnego tłumu, nie widzącego nic poza indywidualnymi przypadkami zwycięstw lub porażek: tym, co ich interesowało, była kampania – Houchard zaś, mógł zniszczyć siły przeciwnika, ale tego nie zrobił.

Być może egzekucję przyśpieszyły złe wiadomości z ważniejszego odcinka frontu – ze szlaku austriackiego natarcia na Paryż. Valenciennes upadło, Condé również. Lequesnoy, trzecia twierdza linii obrony, skapitulowała 11 września, i wieści o tej kapitulacji dotarły do stolicy właściwie w tym samym momencie, co te o zwycięstwie pod Hoondschoote. Drogi do stolicy broniła zatem jeszcze tylko jedna twierdza, Maubeuge. Coburg uderzył błyskawicznie.

Austriacki generał dysponował nie tylko znacznie, znacznie lepiej wykwalifikowaną armią (czego nigdy nie można przestać podkreślać), ale także przewagą liczebną w proporcji trzy do jednego, gdy – 28 września – przekroczył Sambrę powyżej i poniżej

miasta, i do południa zamknął armię francuską szczelnie w obrębie jego murów.

Sytuacja stała się krytyczna: Maubeuge było nieprzygotowane do oblężenia; miało niewielkie zapasy; garnizon był różnej, czy raczej po prostu – złej, jakości. Żywności starczyło ledwie na kilka dni, i – co najgorsze – ciążyła na duchu broniących się seria sromotnych i nieuniknionych kapitulacji, trwająca całe lato. Rozkazy Komitetu Ocalenia Publicznego dla dowódcy garnizonu były krótkie: „Za Maubeuge odpowiada pan głową”. Po otrzymaniu tej wiadomości, forteca była zadana sama na siebie.

Czytelnik nieobznajmiony z historią militarną koniecznie musi zwrócić uwagę na to, że w każdym manewrze i w każdej kampanii ostatecznie przesądza o wyniku zmagania jakiś jeden czynnik, zazwyczaj techniczny lub czasowy. Zawsze istnieje jedna oś, czy filar (że tak powiem), wokół którego wszystko się obraca. I tak też losy wojny rewolucyjnej zależały w całości od losu Maubeuge. Ryzykując przesadne uproszczenie kwestii, ujmę to w ten sposób: podstawowy warunek historycznego zrozumienia wczesnej fazy konfliktów Rewolucji i reakcji, stanowi uświadomienie sobie tego kluczowego faktu, że gdyby Maubeuge padło, droga do Paryża stanęłaby otworem i byłoby po sprawie [\[72\]](#) \* – i w tym wypadku również nie da się wprost przecenić znaczenia, jakie miał dla działań bojowych tamtego czasu geniusz Carnota.

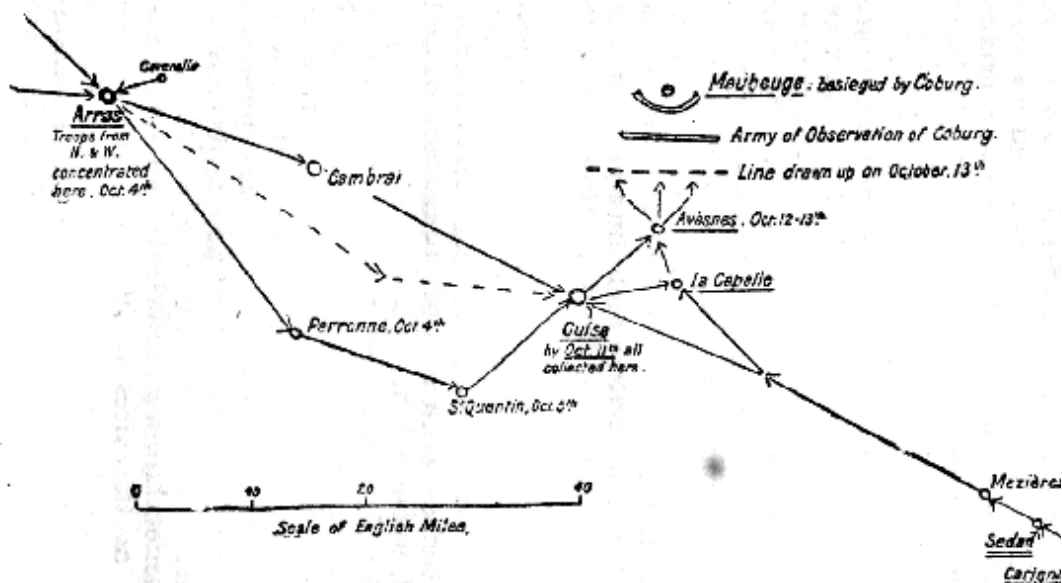
Po pierwsze, dbał o liczby – nie tylko na papierze, ale w rzeczywistości; Komitet, decyzją Zgromadzenia, „rekwirował” despotycznie ludzi, zwierzyńę, zapasy i środki transportu. Pobór stał

się faktem. Ogromnie liczne oddziały, słabo przeszkolone, lecz rosnące w siłę, zaczęły napływać na północny wschód. To one przechyliły szalę zwycięstwa pod Hoondschoote – i to one miały decydować pod Maubeuge.

Po drugie, podobnie jak Komitet dał armii francuskiej niezbędną inicjatywę, Carnot dał jej osobowość. Człowiek błyskotliwy, o żelaznej woli, potrafił podejmować decyzje w mgnieniu oka – i tak też czynił. To on właśnie, jak zaraz się przekonamy, stanął na wysokości zadania w momencie krytycznym. To on wybrał Jourdana [73], człowieka, którego przedziwną karierą wojskową nie możemy (choć to wielka szkoda) się w tak krótkim szkicu zajmować, lecz w każdym razie na pewno amatora, na następcę Houcharda przy Armii Północ – ta zaś rozproszona była od morza aż dobrze za Ardeny. W związku z tym, Carnot rozkazał (a Jourdan był posłuszny) natychmiastowe rozpoczęcie koncentracji wszystkich sił, z lewa i z prawa, w okolicach jednego punktu – Guise. Zostawienie innych odcinków granicy bez obrony stanowiło ryzyko tak wielkie, że wymagało nieprawdopodobnej wprost szybkości działania – i zwycięstw: Carnot zapewnił Francji i jedno i drugie. Armia Północ skoncentrowała się w cztery dni. Oddziały wysunięte najdalej na północ nie zdołały dotrzeć na miejsce o czasie. Ostatnie, na które można było liczyć, stacjonowały za Arras, sześćdziesiąt pięć mil drogi od Guise. Dywizja ta (podobnie jak tak wiele, wiele innych po niej), licząca około ośmiu tysięcy ludzi, wyruszyła po otrzymaniu rozkazów rankiem 3 października, i weszła do Guise trzy dni później: 6. Szybkość marszu i poziom synchronizacji manewrów tych słabo wyszkolonych i niezorganizowanych przecież oddziałów to rzeczy,

na które zwrócić musi uwagę każdy pragnący zrozumieć przyczyny, dla których Rewolucja zdołała się obronić.

*Błyskawiczna, ośmiodniowa koncentracja pod Maubeuge.*



Inna jeszcze dywizja, trzynastotysięczna, przeszła podobną drogę, w podobnym czasie. Z drugiej strony, z prawa, nadeszła czterotysięczna formacja Beauregarda [74]. Jej historia to najbardziej typowy spośród wschodnich przykładów tego, jak błyskawiczna była to koncentracja. Dywizja ta zgrupowała się w okolicy Carignan, miasteczka oddalonego o czternaście mil od Sedanu. Braki kadrowe uzupełniała po drodze, i tak dotarła do Fourmies 11 października, w trzy i pół dnia pokonując siedemdziesiąt mil. Z jej nadejściem, koncentracja Armii Północ dobiegła końca – dosłownie w ostatniej chwili, bo bombardowanie Maubeuge już właśnie miało się rozpocząć. Między 11 a 15 października Armia Północ ruszyła do przodu, i zajęła pozycję nieco dalej, o dzień drogi od Guise, centrum swe lokując we wsi Avesnes,



dokładnie naprzeciw armii Coburga, okopanej na długiej, lesistej linii wzgórz, z Doliną Sombry po prawej, a miejscowością Wattignies, jak gdyby przyczółkiem, bo leżącą na charakterystycznym płaskowyżu, po lewej stronie.

Austriackie pozycje rozpoznano 14 października. 15, Francuzi przypuścili frontalny atak, i zostali odparci, ponosząc duże straty. Gdy zapadł zmrok, nikt prawie nie wierzył, że Maubeuge da się uratować – upadek stanowił kwestię godzin.

Carnot wszakże, dość dobrze znał tak zalety, jak i wady swych nowych oddziałów, oddziałów wielkiego poboru, wzmocnionych kośćcem doświadczonych zawodowców, by próbować rzeczy nadzwyczajnych. Przez jedną noc przerzucił z centrum i lewej flanki na prawo osiem tysięcy żołnierzy, i rankiem 16 października prawa flanką francuskiego wojska, stacjonująca naprzeciw Wattignies, stała się najmocniejszym punktem linii.

Gdy manewr ten był prawie na ukończeniu, załoniła go przed oczami wroga gęsta mgła, podobnie jak wcześniej załaniały go geste ciemności nocy, i mgła ta utrzymywała się mniej więcej do południa. Stacjonujący na płaskowzgórzu Austriacy nie mieli pojęcia o tej koncentracji, Wattignies zaś, broniły zaledwie trzy regimenty. Jeśli wróg w ogóle spodziewał się kolejnego ataku, spodziewał się go najpewniej w centrum, a prędkiej już na swej lewej flance, gdzie Francuzi ponieśli dzień wcześniej tak dotkliwą porażkę.

Na wojnie, inicjatywa to zasadniczo zdolność oceny ryzyka – wielkie decyzje zaś, to wielkie ryzyko. Gdy Carnot (bo Jourdan sprzeciwiał się temu pomysłowi) postanowił przenieść swych

młodych żołnierzy w tak zawrotnie krótkim czasie, stawiał tylko na jedną rzecz: na to, że będą oni w stanie stanąć do walki po całym dniu wściekłych zmagających, po tygodniu wytężonych marszów, i – przede wszystkim – po niemal całej nocy spędzonej bez snu. Większość z tych, którzy – wtedy, 16 października, gdy tylko mgła się podniosła – stali gotowi do ataku na austriackie umocnienia, była na nogach od trzydziestu godzin. Szturm się rozpoczął – i skończył pełnym sukcesem. Niespodziewanie liczne dla Austriaków siły ruszyły do przodu, pokonały znaczną różnicę wzniesień, nie dały się zepchnąć, i – w ten sposób – załwały całą lewą flankę nieprzyjaciela, która, gdyby tylko potworny wysiłek, jaki był potrzebny do przeprowadzenia tego ataku, nie wyczerpał Francuzów do reszty, przestałaby istnieć. Tak się jednak nie stało, i Austriacy spokojnie, i w sposób zorganizowany, wycofali się za linię Sambry. Oblężenie Maubeuge zakończono; i następnego dnia, zwycięska armia francuska wkroczyła do twierdzy.

Punkt zwrotny wojen rewolucyjnych – nastąpił.

Dwa miesiące później, zabezpieczono drugą granicę. Gdy odsiecz Maubeuge zakończyła się sukcesem, wróg przebił się ostatecznie przez linie Weissembourgu. Możliwe, że gdyby członkowie Koalicji działali z odpowiednim zdecydowaniem i zgodą, weszliby w Alzację jak w masło; zgody tej wszakże drastycznie brakowało. Rozbitą „Armię Renu” udało się zatem przegrupować i względnie porządnie rozmieścić, głównie dzięki energii Hoche’a [75] i cichej pracy Pichegru [76], szarej eminencji tych działań. Do końca listopada, Prusacy zostali zepchnięci do defensywy, formując się pod Kaiserslautern. Hoche walił w nich jak młotem przez trzy dni,

bezsukutecznie. Tym, co ostatecznie przechylało szalę zwycięstwa na stronę wojsk rewolucyjnych, był prawdziwy potop rekruta i zapasów, jaki nastąpił po poborze i rozpoczęciu rekwizycji. Tuż przed Świątami, wróg wycofał się z Hagenau. Landau trzymało się mocno; niemniej wielka bitwa stoczona w drugi dzień Bożego Narodzenia, bitwa godna prawdziwego żołnierza, o losach której rozstrzygnęło starcie na bagnety, przesądziła sprawę. Francuzi wrócili do Weissembourgu, Landau zaś, padło po trwającym cztery miesiące oblężeniu, stanowiącym prawdziwy popis francuskiego hartu ducha, który odegrał niemałą rolę w odwróceniu losów wojny.

Tymczasem, nadeszły wieści o stłumieniu ostatniej z wielkich wewnętrznych rebelii. Tulon został odbity, angielską flotę zmuszono do ucieczki; miasto, port i arsenał dostały się w ręce francuskie głównie dzięki niezaprzeczalnym talentom młodego majora (nie kapitana: wyjaśniłem to już gdzie indziej) artylerii nazwiskiem Bonaparte, tydzień przed odbiciem Landau. Ostatnie, pozbawione właściwie dowodzenia hordy wandejskie, oblegające miasto Granville w Normandii (pod które – po serii porażek – i tak zawędrowały już raczej z przypadku, niż świadomej strategii), udało się odrzucić i zmusić do odwrotu. 13 grudnia pod Mans rozbito je w puch, 23 grudnia zaś, pod Savenay – trzy dni przed wielkim zwycięstwem w Alzacji – ostatecznie zniszczono. W Wandei i Bretanii zachodniej nastąpił długi okres chłopsko-bandyckiej rebelii, zacieklej, owszem, choć o żadnej wojnie partyzanckiej (w ścisłym znaczeniu tego słowa) nie może być mowy, niemniej niebezpieczeństwo zniszczenia państwa i Rewolucji zostało zażegnane. Rok 1793 skończył się zatem pełnym zabezpieczeniem terytorium młodej Republiki (wyjawszy maleńki pas ziemi na granicy

belgijskiej), i utwierdzeniem niepodzielnej dominacji politycznej jej Cezara – Komitetu Ocalenia Publicznego; z siedemset pięćdziesięcioma tysiącami ludzi pod bronią, i, wielkim eksperymentem demokratycznym utwierdzonym, jak się wydawało, na wieki.

O przyczynach tego cudu dyskutuje się aż do naszych czasów, i będzie się dyskutować bez końca. Najważniejszą z nich było na pewno odrodzenie silnej władzy centralnej; drugą – połączenie wielkiej liczebności wojsk z szalonym niemal duchem ofiary, jakim odznaczał się wtedy naród francuski. Straty wojsk rewolucyjnych zawsze były znacznie, ale to znacznie większe niż straty sił sprzymierzonych – w Alzacji aż trzykrotnie; i lepiej zrozumiemy losy tego zmagania, jeśli uświadomimy sobie, że w krótkim okresie ośmiu lat, jakie upłynęły od rozpoczęcia wojny do zwycięstwa Napoleona pod Marengo [\[77\]](#), po stronie francuskiej zginęło lub zostało rannych ponad siedemset tysięcy mężczyzn.

## *Étap piąty*

Historia roku 1794 to ledwie prosta konsekwencja wydarzeń, o których dopiero co mogliśmy przeczytać. Wąziutki pas ziemi belgijskiej wciąż pozostający w rekach wroga, był dla tej kampanii czynnikiem determinującym.

Wiosna musiała nadejść, by sprawy poszły w ruch. Cesarz austriacki dotarł do Brukseli 2 kwietnia, i dwa tygodnie później dokonał przeglądu wojsk. Armia francuska, która miała się im przeciwstawić, do końca miesiąca poniosła serię – niewielkich, lecz rzeczywistych – porażek, i cofała się powoli.

29 Clerfayt [\[78\]](#) pierwszy raz został pokonany, co doprowadziło w konsekwencji do kapitulacji, czy raczej ucieczki, małego garnizonu miejscowości Menin. Dwa tygodnie później, spadł na niego naprawdę dotkliwy cios – pod Courtray; wszystkie te wszakże wczesne starcia kampanii nie miały większego znaczenia. Tourcoing dopiero miało zacząć przesądzać sprawę – Fleurus ostatecznie ją przesądzić.

Nie ma bitwy, którą trudniej opisać w kilku zdaniach, niż właśnie Tourcoing – tak różnie patrzyły na nią obie strony, tak rozbieżne były ostateczne skutki od przyjętych założeń, i tak sprzeczne są co do jej przebiegu zeznania świadków. Oskarżenia o zdradę, zawsze pojawiające się po klęskach, a szczególnie klęskach dotyczących sojusznika, przyjmują formę karykaturalną, i można je śmiało zdyskwalifikować: na pierwszym miejscu dziecinną bajeczkę, jakoby porażka wojsk austriackich była na rękę Anglikom.

Źródła francuskie podają rzecz jasna, że to doskonała dyscyplina marszowa i naukowo dopracowana taktyka koncentracji pozwoliła armii rewolucyjnej uderzyć na wroga zanim jego różnorodne armie zdołały się zjednoczyć. Źródła reakcyjne natomiast (jeśli mówią z perspektywy centrum) – że skrzydła haniebnie opuściły je, i zostawiły an pastwę losu; jeśli zaś mówią z perspektywy skrzydeł, twierdzą, że centrum powinno się było zatrzymać i czekać, widząc przecież, że pomoc nie nadejdzie, bo nadejść nie może.

Według jednej wersji, arcyksiążę Karol [\[79\]](#) miał atak; Sam Lord Acton [\[80\]](#) wsparł tę zabawną bajkę swym niekwestionowane znacznym przecież autorytetem. W każdym razie, rzeczy przedstawiały się tak, jak następuje:

Siły koalicji zajęły pozycję wzdłuż rzeki Skaldy w piątek, 16 maja: centrum mieściło się w Tournay, a dowodził nim książę Yorku; pięć do sześciu mil na północ, w dół rzeki, znajdował się jeden punkt skrajny tej linii, Warcoing; stacjonowały tam pułki hanowerskie. Lewa flanką, pod dowództwem arcyksięcia Karola, pozostawała natomiast pod zwierzchnością Austriaków, którzy wybrali sobie za kwaterę miejscowość o dzień marszu na południe od Tournay – St. Amand. Naprzeciw sił koalicji stała wielka armia francuska, również rozciągnięta na bardzo długim pasie (ponad czternaście mil), którego centrum stanowiło Tourcoing, wtedy wieś. Prawa flanką znajdowała się dokładnie naprzeciw forticy Courtrai. Tymczasem, za pozycjami francuskimi, na północ, w kierunku przeciwnym do linii wojsk Koalicji na Skaldzie, stacjonowały inne jeszcze oddziały reakcji, pod wodzą Clerfayta. Plan był taki, by prawe skrzydło sił sprzymierzonych uderzyło na Mouscron i je zdobyło. Centrum miało zaatakować

Tourcoing i Mouveaux, lewa flanka zaś – zdobyć znajdujące się na południu mosty na rzece Marque, przekroczyć te mokradła, i dołączyć do sił centralnych. Innymi słowy, miał nastąpić po prostu frontalny atak z południa – potem zaś dotrzeć miał na miejsce Clerfayt, idący z północy, przekroczyć Lys, i zamknąć Francuzów w kleszczach.

*Tourcoing, 16-18 maja 1794 Niepowodzenie próby odcięcia Francuzów od Lille w okolicy Courtrai wynikało z braku synchronizacji. Aby operacja miała szanse powodzenia, siły główne musiałyby zająć do południa pozycję od A do B, z Clerfaytem w punkcie C.*



17 maja miały miejsce następujące wypadki: wojska lewej flanki Koalicji, uderzające z St. Amand, przyszły o pół dnia spóźnione; prawa flanką wzięła Mouscron, niemniej Francuzi zaraz je odbili. Centrum zrealizowało plan, w południe dotarło do Tourcoing, i zajęło pozycję. Fakt, że udało się to osiągnąć regimentom, z których jedną trzecią stanowili Anglicy, a przede wszystkim dzięki istnemu popisowi męstwa, jaki dali żołnierze Gwardii Królewskiej w walce na bagnety.



Tymczasem, Clerfayt spóźniał się z przekroczeniem Lys, leżącej pomiędzy nim, a celem manewru.

Gdy zatem zapadła noc, i skończył się pierwszy dzień operacji, siły sprzymierzone (o czym pozwoli przekonać się rzut oka na mapę) zamiast zwartej linii idącej od punktów od A do B, i zsynchronizowanych z nią wojsk wsparcia (C), sformowały, przypadkiem, swego rodzaju absurdał V, z wysuniętym środkiem, który jako jedyny osiągnął swój cel, głównie dzięki sprawności półbrytyjskich oddziałów księcia Yorku, czego nie można powiedzieć ani o jednym, ani o drugim skrzydle. Takie wyrzucenie w formacji nacierającego wojska to absolutna katastrofa. Jeśli tylko wróg jest dość szybki, by uderzyć z flanki, może je błyskawicznie odciąć, i zrobić co chce. Francuzi byli szybcy, i centrum pękło jak pod uderzeniem młota. Mogąc skoncentrować wszystkie oddziały przeciw części zaledwie oddziałów przeciwnika, armia francuska walczyła w przewadze trzy do jednego.

Dzięki tej samej sile, która pozwoliła żołnierzowi francuskiemu pod Wattignies gardzić snem, i zdobyć się na wysiłek wydawałoby się nieosiągalny dla człowieka, pod Tourcoing wojska Rewolucji, wyruszywszy w drogę około trzeciej w nocy, w niedzielę 18 maja, mogły o świcie już dotrzeć do celu, i uderzyć na armię reakcji ze wszystkich trzech stron.

Bitwa nazywa się tak dlatego, że to Tourcoing stanowiło właśnie najbardziej wysunięty punkt, do którego udało się dotrzeć wojskom Koalicji. Pierwsi posmakowali Francuskiego oręża Niemcy, stacjonujący na prawej flance sił księcia Yorku. On sam, ze swym półbrytyjskim regimentem, musiał stanąć do walki dosłownie moment

potem, gdy było jeszcze wcześnie rano. Niemcy zaczęli się cofać. Księżę Yorku, na lewo od nich, został kompletnie odcięty: z własnej winy; zbyt długo zwlekał z decyzją. Pułki brytyjsko-niemieckie broniły się wszakże z ogromnym męstwem – przez tę chwilę przynajmniej, kiedy jeszcze mogły. Odwrót rozpoczął się około godziny dziewiątej, przez dwie pierwsze mile zachowując porządek, potem wszakże zamienił się w paniczną ucieczkę. Brytyjscy kanonierzy pierzchli zostawiając sprzęt na drodze, i działa te, bez nikogo, kto umiałby je obsługiwać, zablokowały kawalerię. Chaos ten udzielił się natychmiast żołnierzom Gwardii, i żołnierzom liniowym.

Nawet w tak desperackich warunkach udało się wszakże przynajmniej w części opanować sytuację, znów głównie dzięki żołnierzom Gwardii, którzy prawdopodobnie pierwsi odbudowali formację, dzięki czemu armia wciąż mogła wycofywać się (w mniej więcej ścisłym tego słowa znaczeniu) na południe. Księżę Yorku sam musiał uciekać po lasach i zaroślach, unikając pojmania wyłącznie dzięki szczęściu – przypadkowo trafiając po drodze na ostatni most nad rzeczką pozostającą jeszcze w rękach regimentów heskich. W taki właśnie sposób całe centrum sił sprzymierzonych, stanowiące wszakże mniej niż jedną trzecią całości tych wojsk, zostało kompletnie zniszczone.

Clerfayt dotarł na miejsce akcji jako pierwszy, ale zdecydowanie zbyt późno, by mógł cokolwiek zrobić, więc szybko się wycofał. Arcyksiążę Karol, dowodząc na lewej flance, spóźnił się cztery godziny; prawa flanką Koalicji natomiast, nie spóźniła się nawet, bo nigdy nie nadeszła: Francuzi związali ją na cały ranek w bitwie artyleryjskiej. Do piątej popołudniu, porażka stała się faktem, i zarządzono odwrót generalny.

Powiedziałem, że wiele hipotez formułuje się co do przyczyn klęski pod Tourcoing, jednej z niewielu bitew na kontynencie, w której oddziały brytyjskie zostały rozbite i zmuszone nie do odwrotu, ale do ucieczki; wyznaję wszakże otwarcie, że gdyby poproszono mnie o wyrażenie osobistej opinii na ten temat, powiedziałbym, że przyczyna leżała po prostu w skrajnym braku synchronizacji, i że Francuzi wykorzystali okazję dzięki wielkiej sile fizycznej, pozwalającą zachować niehumanitarną czujność i znieść niehumanitarny wysiłek, na którą to dowódcy ich, świadomi ogólnej niższości swych oddziałów, świadomie kładli nacisk, i z której wiedzieli, jak zrobić użytek.

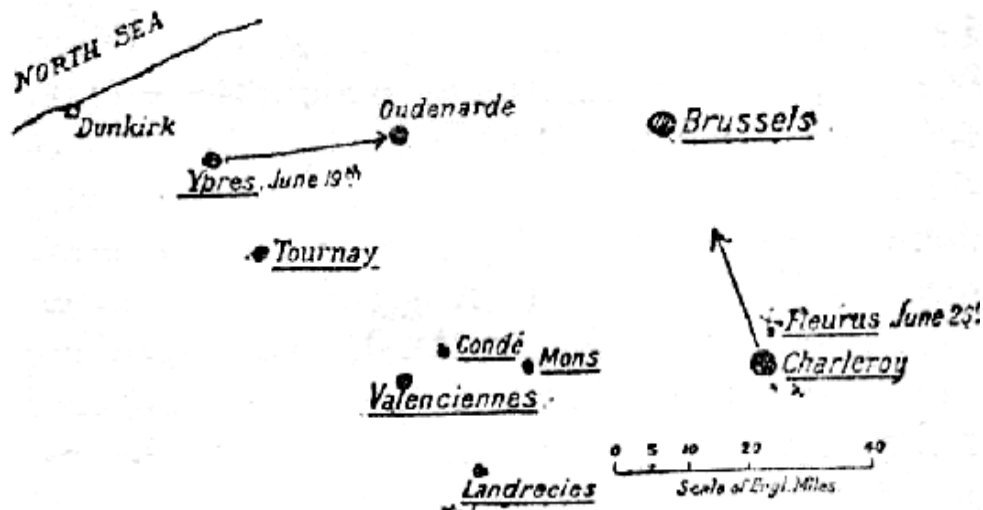
Klęska ta, odniesiona 18 maja 1794, pomimo dobrej passy z poprzedniego tygodnia ostatecznie przekonała cesarza, że marsz na Paryż jest niemożliwy. Jedenaście dni później, 29, ogłoszono uroczyste – w mieście Tournay, gdzie mieściła się kwatera główna wojsk sprzymierzonych – że jego cesarska mość wraca do Wiednia. Wojska reakcji pozostawiono jeszcze co prawda na froncie, ale francuska fala wzmagająca się szybko, i niedługo potem odniosła kolejne zwycięstwo, znów dzięki przewadze liczebnej.

Daleko na wschodnim krańcu tej samej linii frontu, armia sławiona w pieśniach jako oddziały „Sambre et Meuse”, z całych sił starała się sforsować Sambrę i przerwać linię wojsk Koalicji. Coburg wzmocnił co prawda prawą flankę (naprzeciw francuskiej lewej), ale wróg był tak liczny, że w krótkim czasie austriacki marszałek nie mógł już nic zrobić. Zapał bojowy Saint-Justa, strategiczna biegłość Carnota, przesądziły o zwycięstwie wojsk francuskich.

Sześciokrotnie próba sforsowania linii Sambry kończyła się fiaskiem. Do obozu sił rewolucyjnych bezustannie wszakże napływały

posiłki, i za siódmym razem natarcie przyniosło skutek.

Chalreroi, główna forteca broniąca przeprawy, mogła zostać – i została – bez przeszkód oblężona, gdy tylko Francuzi przekroczyli rzekę. Kapitulacja nastąpiła po tygodniu. Aż nagle, dosłownie tuż po tym, jak ewakuacja miasta została zakończona, na horyzoncie pojawił się Coburg, z siedemdziesięcioma tysiącami żołnierzy, śpiesząc z odsieczą.



*Odwrót generalny sił Koalicji po porażkach pod Ypres, Chalreroi i Fleurus, czerwiec 1794*

Ypres zostaje zdobyte 19 czerwca. Stamtąd, Francuzi ruszają na Oudenrade i mijają je między 25 a 27 czerwca. W tym samym czasie, Charleroi również poddaje się wojskom francuskim, i gdy zaraz później Austriacy próbują je odbić, ponoszą dotkliwą klęskę pod Fleurus, by potem wycofać się w kierunku Brukseli.

W konsekwencji, siły angielskie pod Tournai, a także inne korpusy wojsk koalicyjnych pod Condé, Valenciennes, Landrecies i Mons zostają kompletnie odslonięte, i muszą poddać się lub podać tyły.

Leżące wyżej wioski płaskowzgórze, na którym rozstrzygnęły się losy tego wielkiego starcia, znany jest pod nazwą Fleurus, samo ono zaś miało miejsce 26 czerwca. Było to pierwsze zwycięstwo Francuzów, które zdołali odnieść mimo braku zdecydowanej przewagi liczebnej. Do tej pory wyłącznie nieustanny dopływ rekruta, pozwalający „przykryć” braki powodowane niedostatecznym wyszkoleniem i nie dość wysokim poziomem dyscypliny pozwalał tej armii uratować ojczyznę od zguby. Pod Fleurus, choć Francuzi mieli wprawdzie *pewną* przewagę, siły obu stron były mniej więcej równe.

Wynik pozostawał niepewny przez dziesięć godzin, Austriakom zaś prawie że udało się przełamać francuskie linie w centrum, i na lewej flance. W tym wszakże krytycznym momencie, męstwo i nieustępliwość żołnierzy rezerwy i osobiście Marceau [\[81\]](#), które to wojska, walcząc dokładnie naprzeciwko wsi, przechyliły szalę.

Skutki tej wiktorii były nieodwracalne. Jak prawe skrzydło Francuzów ruszyło spod Fleurus, lewe ruszyło spod Ypres – tak też centrum stało się dla sił Koalicji zupełnie nieosiągalne. Cztery fortece, które wróg wciąż okupował w owym „pasie” belgijskim, o którym pisałem, oblężono i odbito. Do 10 lipca, Francuzi weszli do Brukseli, Anglicy cofali się – okrutnie pogiębieni – do Holandii, Austriacy za Ren, i passa sukcesów armii rewolucyjnych trwała dalej.

Gdy to wszystko działo się na europejskiej ziemi, pojawił się na tej wojnie pewien charakterystyczny czynnik, który współczesne pragnienie bezpieczeństwa, przede wszystkim – bezpieczeństwa handlowego, znacznie wyolbrzymia, lecz który badacz Rewolucji rozważać musi w odpowiednich proporcjach. Czynnikiem tym była niezaprzeczalna słabość Francji na morzu.

Jeśli chodzi o liczby, strony weszły w konflikt w stosunku dwa do jednego, przy czym do floty Koalicji – jako się rzekło: już dwukrotnie większej od floty francuskiej – trzeba dodać jeszcze marynarkę Wielkiej Brytanii. Niemniej gołe liczby nie przesądzały w tamtym czasie, i nigdy nie będą przesądzać, o losach konfliktu morskiego. Szalę przechyliła wyższość angielskich kanonierów. I ta niezaprzeczalna wyższość wyszła na jaw ponad wszelką wątpliwość 1 czerwca 1794.

Flota angielska pod wodzą Lorda Howe'a [\[82\]](#) zaatakowała flotę francuską, mającą odeskortować transport zboża do Brest; pierwsze starcia zaczęły się 28 maja, i tak to trwało przez trzy dni.

Musimy poprzestać tutaj na dwóch ledwie przykładach, które pokażą, jak wielka była przewaga artyleryjska Brytyjczyków. *Królowa Charlotta*, pod koniec starcia, znalazła się w kleszczach *Montagne'a* i *Jakobina*. Dysponujemy statystycznym zapisem strat, poniesionych w trakcie zmagania tych okrętów flagowych. W tej szalonej kanonadzie, *Królowa Charlotta* straciła czterdziestu dwóch członków załogi – sam *Montagne*: trzystu. I znów, spójrzmy na statystyki. Liczebność załogi po obu stronach była niemalże równa, lecz straty wynosiły średnio jedenaście do pięciu. Nie można przestać podkreślać, że przewaga, którą flota angielska zyskała już na początku wojny, którą utrzymała przez cały okres jej trwania, i którą potwierdziła ostatecznie pod Trafalgarem, wynikała przede wszystkim z biegłości kanonierów.

Czytelnik nie może oczekiwać po tak szczątkowym szkicu, kończącym się na upadku Robespierre'a, jakiegokolwiek wykładu – jakkolwiek krótkiego – na temat wpływu siły morskiej na przebieg wojen rewolucyjnych. Od lat niepomniernie się go wyolbrzymia, a

reakcja, która nastąpi po epoce tej dziwnej przesady, może go zacząć zwrotnie za bardzo umniejszać. Przewaga brytyjska zapobiegła inwazji na Anglię, pozwoliła wziąć wojska francuskie na wyczerpanie w trakcie kampanii hiszpańskiej. Ale nie miała większego wpływu na wojny Napoleona. Tutaj zdecydował błąd rosyjski, i jego najtragiczniejszy skutek: klęska pod Lipskiem.

Jeśli zaś chodzi o wczesne tryumfy Rewolucji, i ustanowienie wielkiej europejskiej demokracji, którymi (i niczym więcej) książka ta się zajmuje, siła morska nie miała właściwie najmniejszego znaczenia.

## *Rozdział VI – Rewolucja i Kościół Katolicki*

Ostatnim i najważniejszym spośród problemów, jakie sprawia Rewolucja Francuska zagranicznemu, a w szczególności angielskiemu, czytelnikowi, jest antagonizm, narosły w jej relacjach z Kościołem.

Jest to zresztą nie tylko najważniejsze, ale i najbardziej praktyczne spośród wszystkich zagadnień, jakimi zająć się musi badacz Rewolucji; jako iż sprzeciw ze strony francuskich struktur kościelnych był naraz najpoważniejszym, z jakim Rewolucja musiała się zmierzyć, najaktywniejszym co do metod działania i jedynym, który zyskiwał na sile w miarę upływu czasu. Nie jest żadną przesadą powiedzieć, że Rewolucja osiągnęłaby swój cel – przynajmniej we Francji – i stworzyła scentralizowaną demokrację, gdyby właśnie nie jej spór z Kościołem; i z wielką słuszością można ogólnie zauważyć, że tam, gdzie nic o Kościele nie wiadomo, ludzie są podatni na sugestie polityczne i wszelkie zmiany zachodzą bardzo łatwo – tam zaś, gdzie płonie w ich duszach żywy ogień katolickiej prawdy, zawsze rodzą się na tej kanwie wielkie burze i fundamentalne spory.

Na koniec, spór Kościoła katolickiego z Rewolucją to nie tylko najważniejszy, najbardziej praktyczny, ale także i – ze względu na nieszczęśliwy splot wypadków – najtrudniejszy ze wszystkich problemów łączących się z tą wielką zmianą.



Przekonaliśmy się już, że inny z aspektów historii Rewolucji, drugi co do ważności, być może, prócz aspektu religijnego, również sprawiał trudności w zrozumieniu – mianowicie: aspekt militarny. I przekonaliśmy się (albo przynajmniej postawiłem taką tezę), że trudności związane ze zrozumieniem wojennych losów Rewolucji wynikały z obfitości szczegółów, technicznego charakteru informacji, które należy uzyskać, oraz naturalnej ignorancji większości czytelników w kwestii nauk wojskowych. Innymi słowy, wyłącznie dokładna znajomość wielkiej liczby faktów, właściwego znaczenia tych faktów w kontekście militarnym, a także zestawienie ze sobą niezliczonych ilości niemających ze sobą bezpośredniego związku decyzji i planów pozwoli nam uchwycić rolę odegraną przez siły wojskowe w procesie tworzenia współczesnej państwowości podczas wojen rewolucyjnych.

W wypadku drugiego, większego problemu, problemu roli odegranej w tym procesie przez religię, skuteczna okaże się wyłącznie metoda odwrotna.

Musimy popatrzeć na rzecz ogólnie, i jeszcze bardziej ogólnie trzeba nam zapomnieć o mnóstwie szczegółów, które w tym wypadku wyłącznie mącą, i dostrzec w możliwie najgrubszym zarysie jakie energie się tutaj stały, dlaczego, i o co tak naprawdę ten konflikt się toczył. Jakikolwiek bardziej szczegółowy plan doprowadzi nas, jak stało się to już zresztą w wypadku tak wielu tysięcy publicystów, do prostej wrogości w stosunku do jednej albo drugiej strony, aż zaczniemy postrzegać tę sprawę wyłącznie w kategoriach „podstępnej zdrady kleru” bądź „krwawego fanatyzmu demokratów”.

Gdyby próbować rozwiązać ten węzeł wyłącznie przy pomocy analizy dokumentów Watykanu bądź zawartości francuskich archiwów, jedyne, co można by w nich znaleźć – przynajmniej z pozoru – to zbiór małostkowych, podłych, i częstokroć czysto osobistych ataków; albo też, gdyby z kolei poświęcić się studium jakiejś lokalnej manifestacji tego konfliktu, przeprowadzonemu konsekwentnie z danej perspektywy poznawczej, jedyne, do czego by się dotarło, to wielki huragan konfliktu, bez śladu niczego, co pozwalałoby wnioskować o jego przyczynach.

Różnica między militarnym a religijnym aspektem Rewolucji Francuskiej przypomina różnicę między strukturą geologiczną a topograficzną jakiejś krainy. Aby zrozumieć pierwszą, musimy wiercić i kopać, musimy pobrać mnóstwo próbek ziemi i poddać je analizie, musimy poznać tyle szczegółów, ile to tylko możliwe. Co do sprawy drugiej wszakże, bardziej ogólnej, im szerzej będziemy spoglądać i im ogólniej sądzić, tym dokładniejszą zdobędziemy wiedzę.

Trzeba nam, zatem, rozpocząć od zadania najogólniejszego ze wszystkich możliwych pytań: *„Czy między doktryną Kościoła a doktryną Rewolucji zachodził jakiś konieczny i fundamentalny konflikt?”*

Ci, którzy nie znają dobrze czy to jednej, czy drugiej strony tego sporu, nie mając tym samym środków udzielenia sensownej odpowiedzi, zazwyczaj z przekonaniem odpowiadają twierdząco. Francuski (a tym bardziej niefrancuski) republikanin, któremu zbiegiem okoliczności życiowych zdarzyło się urodzić poza obrębem Kościoła, nie znać bliżej ani jednego katolika, nie przeczytać ani

jednej strony katolickiej filozofii, a być może nawet nie zobaczyć ani jednej katolickiej ceremonii, bez wahania odpowiada, że Kościół z konieczności jest wrogiem Rewolucji. I odwrotnie, *émigré*, zamożna kobieta, odludek, czy którykolwiek z wielu typów współczesnych, którym demokratyczna teoria Rewolucji jawiła się jako zupełna nowość, dzisiaj zaś również i bogate rodziny, wywodzące się z tej tradycji, bez wahania odpowiadają, że Rewolucja z konieczności jest wrogiem Kościoła. Torysowskiemu możnowładcy z Anglii czy Niemiec, być może nawet z urodzenia bądź konwersji katolikowi, odpowiedź ta wydaje się całkowicie satysfakcjonująca; podobnie zresztą, jak (powiedzmy) należącemu do jednego z kościołów protestanckich nowego świata demokracie.

Z punktu widzenia historii i logiki, teologii zresztą też, ci, którzy uznają antagonizm Republiki i Kościoła za rzecz konieczną, są w dużym błędzie. Ci, którzy wiedząc dobrze, co Rewolucja tak naprawdę próbowała osiągnąć, a także czym tak naprawdę jest katolicka filozofia, mają najlepsze dyspozycje do zmierzenia się z tym problemem, w zasadniczej większości uważają, że nie da się odpowiedzieć twierdząco na to fundamentalne pytanie. Nie mogą nazwać Rewolucji naturalnym wrogiem Kościoła, ani Kościoła – Demokracji.

Co więcej, umysły najbardziej aktywne i najbardziej uczone mają wielkie trudności z wyjaśnieniem, jak w ogóle mogło dojść do podobnego konfliktu. Sama historia Francji pełna jest nazwisk tych, dla których nie tyle pojednanie Kościoła i Rewolucji, co raczej teza, że nigdy nie istniał między nimi żaden istotny spór, stanowił zasadniczy motor polityczny; i w niemalże stu procentach ludzie

mający znaczniejszą znajomość sposobu funkcjonowania społeczeństw katolickich, niemalże w stu procentach, odpowiadają na zadane przeze mnie wyżej pytanie przecząco. Każdy, kto ma solidną wiedzę zarówno na temat Wiary, jak i Republiki, powie, że nie ma i nie może być żadnej koniecznej czy istotnej przyczyny, dla której między europejską demokracją a Kościołem Katolickim musiałby istnieć poważniejszy konflikt.

Słuchając tych, którzy zajmują się najgłębszym i najbardziej abstrakcyjnym aspektem tego sporu, dowiemy się dokładnie tego samego. Niemożliwe, aby teolog, czy nawet teolog moralny, jeśli *dobrze* zrozumie znaczenie jakiejś fundamentalnej maksymy Rewolucji, powiedział: „To przeczy katolickim dogmatom, albo katolickiej moralności”. I odwrotnie, niemożliwe, aby republikanin, jeśli *dobrze* zrozumie znaczenie jakiegoś elementu dyscypliny kościelnej albo katolickiej dogmatyki powiedział: „To przeczy mojej politycznej teorii państwa”.

Tysiące energicznych przedstawicieli obu stron z niemalże zbyt gorącym zapałem próbowało przez ostatnie sto lat odnaleźć podobny przypadek, i okazało się to kompletnie niemożliwe. Słowem, tylko ci spośród demokratów, którzy nie wiedzą o Kościele Katolickim prawie nic, mogą twierdzić, że jego doktryna zakazuje demokracji; i tylko ci spośród katolików, którzy mają błędne lub niedoskonałe pojęcie o demokracji mogą twierdzić, że ze swej natury jest ona wroga Kościołowi.

Znaczna część czysto doczesnej teorii demokratycznej to rzecz całkowicie obojętna dla transcendentalnej i nadprzyrodzonej nauki katolickiej. W tych punktach wszakże, w których zachodzi kontakt

(jak w wypadku koncepcji przyrodzonej godności człowieka czy równości ludzkiej), zachodzi i zgoda. Podsumowując: teoria republikańska nie pozwala prześladować Kościoła; doktryna Kościoła nie pozwala ekskomunikować republikanina.

Dlaczego zatem, należy zapytać, w praktyce narodził się między tymi rzeczywistościami tak gigantyczny i wściekły konflikt, konflikt, którego natężenie i konsekwencje wcale nie maleją, ale stają się dzisiaj coraz bardziej dramatyczne?

Na to drugie pytanie, po prostu nieco mniej ogólną wersję pierwszego, odpowiedzieć można na dwa sposoby.

Można powiedzieć, że ludzkie działania nie są dyktowane przez teorie, ale – by tak rzec – atmosfery duchowe. Zgodnie z tym poglądem, ludzie działają nie z pobudek idealnych, ale aktualnych: pobudek, które stymulują akcję masową, ale w swojej strukturze przypominają złożone acz jednolite pobudki indywidualnej osobowości. Tak też, choćby nie było żadnego rzeczywistego konfliktu między teologią Kościoła a polityczną teorią Rewolucji, może zachodzić konieczny i fundamentalny konflikt między *osobami*, które nazywamy Kościołem i Rewolucją, i pomiędzy zbiorem życiodajnych zasad, z których czerpią one swój konkretny byt. Tak można odpowiedzieć – tak też się odpowiada.

Można jednak udzielić zupełnie innej odpowiedzi, i rzec: „Nigdy nie było żadnego konfliktu między teologią Kościoła a polityczną teorią Rewolucji; ale głupota polityków, złe zapisy prawne, błędne działania takiej to a takiej instytucji, okoliczność, że w takim to a takim momencie wybuchła wojna i wpłynęła na ludzi tak to a tak –

wszystkie te materialne zbiegi okoliczności wywołały między dwiema wielkimi siłami dziejowymi tragiczne nieporozumienie, swary pomiędzy ludźmi i ludzkimi organizacjami, kierującymi całą sprawą; i konflikt ów, w ten sposób rozpoczęty, sam siebie podsyca i sam siebie napędza”.

Jeśli udzielilibyśmy na zadawane pytanie pierwszej z powyższych odpowiedzi, to choć zdecydowanie wystarczy ona tego typu filozofii, która ją wykorzystuje, choć z pewnością tłumaczy właściwie wszystkie ludzkie konflikty, i choć szczególnie odpowiada szczególnej szkole myśli współczesnej, ewidentnie historia, adekwatnie ujęta, nie może się nią zajmować.

Można mówić, że Rewolucja stanowiła wyraz ducha znacznie bardziej realnego niż wszelka teoria, że duch ów nie bardziej poddaje się analizie czy definicji niż osobowość pojedynczej osoby ludzkiej, i że rzeczywistość owa skonfliktowała się z inną rzeczywistością – mianowicie: Kościołem Katolickim. Można nawet (jak stało się już w wypadku umysłów z całą pewnością niemożliwych do zlekceważenia) zacząć postrzegać tę sprawę z punktu widzenia mistyki, i twierdzić, że rzeczywiście osobowe siły, demony i aniołowie, pchnęły Rewolucję do walki z Kościołem, i stworzyły republikę antykatolicką, zdolną przeciwstawić się Kościołowi i go pokonać – temu Kościołowi, który (z własnej definicji) nie jest teorią, ale wyrazem Osobowości i Woli. By ująć to w bardziej staromodny sposób – można powiedzieć, że Rewolucja była dziełem antychrysta; – tą odpowiedzią wszakże, powtarzam, historia nie może się zajmować.

Jeśli prawdą jest, że – pomimo braku sprzeczności w dziedzinie teorii intelektualnej – między Rewolucją a Kościołem Katolickim zachodzi fundamentalna sprzeczność duchowa, czas pokaże, co z tego wyniknie; w takim wypadku zobaczymy permanentną eskalację konfliktu, aż Rewolucja stanie się zasadniczo siłą dążącą do zniszczenia Kościoła Katolickiego, Kościół zaś będzie jawił się jej zwolennikom nie jako jej główny, ale jedyny przeciwnik. Przez sto lat coś takiego się jednak nie stało; jedynie znacznie bardziej rozłożony w czasie proces pozwoli nam osądzić, na ile ten rzekomy pojedynek to naprawdę jedynie kwestia fantazji.

Historyka interesuje druga odpowiedź, próbująca wytłumaczyć ten antagonizm w związku z określonym łańcuchem wydarzeń.

Rozwijając ją, może on spojrzeć na sprawę naukowo i i skorzystać z aparatury swego fachu; i może wyjaśnić (jak postaram się to uczynić w następnych akapitach), dlaczego choć między teorią Rewolucji a teorią Kościoła nie zachodzi zgoła żaden konflikt, między praktyką rewolucyjną a władzami kościelnymi wyniknął gwałtowny spór; spór, który w ciągu wieku nie tylko nie przygasł, ale jeszcze bardziej rozgorzał.

Przyczynę sporu stanowiła ogólna sytuacja Kościoła francuskiego, wytworzona wskutek rozwiązywania konfliktów religijnych okresu reformacji.

Wydarzenia reformacji to rzecz czytelnikowi wystarczająco dobrze znana. Przez około sto lat, od początku wieku szesnastego do początku wieku siedemnastego (od czasów młodości Henryka VIII do lat chłopięcych Karola I na gruncie angielskim), czyniono

gigantyczne wysiłki, aby zmienić (jak powiedziałyby jedna ze stron: naprawić, druga zaś: wynaturzyć) kształt świata chrześcijańskiego *jako całości*. Ogólny ruch ofensywy przeciwko zastanej formie Kościoła, oraz ogólny ruch jej obrony, zmagaly się ze sobą w każdej części cywilizowanej Europy; i każda ze stron liczyła na zupełny sukces, który jedna określała mianem „reformacji religijnej”, druga zaś: „Boskiego ustanowienia i widzialnej jedności Kościoła Katolickiego”.

Po upływie tego czasu okazało się, że żadnego podobnie ogólnego celu nie udało się – ani nie dało – osiągnąć. Cała ta część Zachodu, która odrzuciła zwierzchność Stolicy Apostolskiej zaczęła jawić się jako osobny region geograficzny, całkowicie osobny od reszty; i ta część Europy, która ją zachowała – jako jeszcze inny region geograficzny. Granica między sama zaczęła przybierać formę granicy terytorialnej, niemalże identycznej do tej, która wiele wieków temu oddzielała Rzym i cywilizację od barbarzyńców.

Prowincję Brytanii spotkał wyjątkowy los. Choć historycznie rzymska i oparta na fundamencie starożytnej cywilizacji, znalazła się ona po nierzymskiej stronie barykady; Irlandia zaś, kraj w którym nigdy nie widziano ani organizacji państwowej ani tradycji kulturalnych Imperium Rzymskiego, pozostała – jako jedyny z europejskich kresów – w łączności z Rzymem. Włochy, Hiszpania, i większa część południowych Niemiec, ostatecznie nie wyparły się swych tradycji religijnych i cywilizacyjnych. W Galii wszakże, wyglądało to jeszcze inaczej – i zrozumienie wypadków tamtych czasów to rzecz niezbędna do zrozumienia trapiących ją współcześnie konfliktów religijnych. Znacznej części francuskiej



klasy ziemiańskiej i kupieckiej, to jest bogatych warstw narodu, nowe doktryny i nowy porządek społeczny, który do tamtego czasu zapuścił korzenie w Anglii, Szkocji, Holandii, północnych Niemczech i Skandynawii, i który jednoznacznie sprzyjał w tamtych krajach społecznej dominacji zamożnych, bardzo się podobały. Nazywano tych francuskich ziemian i kupców hugenotami.

Następne sto lat, od – powiedzmy – 1615 do 1715, to czas wyrównywania – nie zawsze bez rozlewu krwi – rachunków za nierozwiązane konflikty poprzedniego wieku. Wszyscy Anglicy wiedzą, co się stało w ich kraju; jak zmiażdżono ostatnie pozostałości katolicyzmu, i jakie były społeczne i polityczne skutki przyjęcia w państwie protestantyzmu.

Podjęto także osobne i kompletnie bezskuteczne starania o zniszczenie katolicyzmu w Irlandii. W Niemczech konflikty o niewyobrażalnym stopniu brutalności przyniosły w księstwach protestanckich podobne skutki. Pierwsze trzydzieści lat zmagania zakończyło się pokojem westfalskim, który zostawił granice między światem protestanckim a katolickim mniej więcej takimi, jakimi znamy je dziś.

We Francji wszakże, pozostało z tego wszystkiego osobiwe zjawisko społeczności licznej i (co znacznie istotniejsze) bardzo bogatej i wpływowej, rozrzuconej po całym terytorium królestwa, dobrze zorganizowanej i – w tamtym czasie – niewzruszenie antykatolickiej, czyli antynarodowej.

Naród powrócił do swojego tradycyjnego stanowiska i trzymał się mocno silnej egzekutywy – i to egzekutywy katolickiej. Francja

zatem, stała się w tym czasie rozliczeń monarchią absolutną, której głowa dysponowała gigantyczną władzą sprawowaną bezpośrednio – monarchią, która inkorporowała wszystkie ważne elementy tradycji narodowej, z *Kościółem włącznie*.

Rzecz jasna, symbolem owej epoki świetności jest imię Ludwika XIV; pokrywa się ona dokładnie z czasem jego panowania. Ludwik urodził się właśnie w okresie owych powszechnych zmagających o ostateczne rozwiązanie kwestii religijnej, którą opisałem wyżej jako rzecz charakterystyczną dla tamtego okresu; zmarł – dokładnie w momencie, w którym się kończyły; i pod jego panowaniem wydawało się, że odnowa potęgi galijskiej i obrona instytucjonalnego katolicyzmu to rzeczy zupełnie tożsame.

W owym homogenicznym organizmie, rzekomo w pełni zjednoczonego pod berłem Ludwika, istniały wszakże dwa czynniki zamętu. I tak sam fakt, że Kościół stał się niezmienną instytucją ustroju narodowego, obniżyło żywotność katolickiej wiary. Nasza hierarchia nie tylko pozostawała ze Stolicą Apostolską w cokolwiek trudnych relacjach, i bawiła się myślą o kościele narodowym, ale przedkłada także (nie tylko ona zresztą, bo cała oficjalna organizacja francuskiego katolicyzmu) bezpieczeństwo ustroju narodowego wraz z jego bliskim związkiem z ogólną strukturą polityczną państwa zdecydowanie ponad świętość katolickiej dogmatyki czy wierność katolickiej moralności.

Owa struktura polityczna – monarchia francuska – wydawała się uczyniona z granitu i wieczna. Gdyby udało się jej przetrwać, Kościół Gallikański bez wątpienia, pomimo przywiązania do rzeczy tak przyziemnej jak korona, przeżyłby jedno z owych zmartwychwstań,

na które w przeszłości zawsze mógł liczyć, i powróciłby – mocą jakiejś twórczej reakcji – do właściwej zasady swego istnienia. W tamtej chwili wszakże, konsekwencją tej niezmiennej struktury politycznej okazał się sceptycyzm, i wszystkie te energie umysłowe, które w każdym państwie katolickim wyładowują się w szyderstwach ze spraw religii, zyskały znakomite pole do działania. Kościół nie bronił siebie, ale – by tak rzec – swego sposobu bycia. Sytuacja przedstawiała się tak, jak gdyby garnizon wojskowy, zapominając o głównych umocnieniach fortecy, skupił wszystkie swoje wysiłki na utrzymaniu magazynów żywności.

Tak też dobre wierszowane satyry, szczery entuzjazm, logiczny wykład czegokolwiek z tego, co w umyśle ludzkim bez ustanku buntuje się przeciw prawdom transcendentálnym – wszystko to mogło krążyć po przestrzeni publicznej bez przeszkód, nie prowokując żadnej skutecznej reakcji. Wszelkie akty braku szacunku do zewnętrznej władzy Kościoła karano jednak z wyjątkową surowością.

Podczas gdy wśród klas bogatych, biurokratycznych, rządzących, szyderstwa z wiary traktowano jak zupełną normalność, jakikolwiek poważniejszy atak na pozycję społeczną jej duchowieństwa traktowano jako rzecz niegodną gentlemana i niedozwoloną. Hierarchii nie szokowało na przykład wcale, jeśli jakiś członek episkopatu był ateistą, i to o nader ciętym języku; czy że inny polując podczas procesji Bożego Ciała niemal staranował w galopie Najświętszy Sakrament, a potem w ogóle zapomniał, w jaki dzień to wszystko się wydarzyło. Biskupi nie dostrzegali niczego niestosownego w tym, że wielu spośród nich nie wylewało za

kołnier, czy że niektórzy paradowali ze swoimi kochankami przy boku, zupełnie niczym ich świeccy przyjaciele. Że jakaś diecezja nigdy nie wdziała swojego tytularnego zwierzchnika wydawało im się czymś równie naturalnym, jak naturalne wydaje nam się dzisiaj to, że różne nowoczesne regimenty wojskowe nie widują swoich tytularnych, zagranicznych pułkowników. Biskupi nie czynili również niczego, by zaradzić nędzy, bezradności i niedouczeniu księży parafialnych; więcej nawet – i to jest właśnie kwestia zasadnicza – do faktu, że cały niemal wielomilionowy naród (z nielicznymi wyjątkami) właściwie dokonał apostazji, francuscy purpuraci podchodzili równie emocjonalnie, jak – powiedzmy – nasi zawodowi politycy do faktu, że klasy ubogie nie mają co jeść. Było to dla nich zupełnie normalne.

Czytelnik musi dobrze zdać sobie sprawę z owej agonicznej kondycji francuskiego życia religijnego w przededniu Rewolucji, bo to naraz fakt bardzo niedoskonale znany większości historyków i jedyny, który doskonale wyjaśnia wszystko to, co zdarzyło się później. Osiemnastowieczny kryzys wiary to dla owych osobliwych doświadczeń religijnych Francuzów rodzaj bazy negatywnej. Francja, na pokolenie przed Rewolucją, przechodziła okres, w którym wiara katolicka znajdowała się w najgorszej sytuacji od czasu, gdy zaczęto ją głosić w Galii.

Prawdę ową przesłania bardzo wiele różnych okoliczności. Bo wiele aktów oficjalnych, przede wszystkim małżeństwa i rejestr urodzeń, od strony formalnej miało charakter katolicki, i istotnie – Kościół miał na nie monopol. Państwo nosiło, by tak rzec, katolickie szaty: uroczyste wydarzenia publiczne pełne były elementów

ceremonii religijnej. Spośród wielkomiejskiej klasy średniej, tylko bardzo nieliczni uczęszczali na Msze, spośród rzemieślników prawie nikt; Kościoły lokalne miały jednak status „oficjalny”. Kościół dysponował wielkimi sumami pieniędzy – w tym pieniędzy publicznych; purpuraci zaś, mieli ogromne wpływy i umieli robić z nich użytek. Oprócz tego, prawdę historyczną przesłania także język – oraz wielka reakcja katolicka, dokonująca się w naszych czasach.

Można bezpiecznie stwierdzić, że na każdego dorosłego człowieka, który w czasach Rewolucji brał wiarę i praktykę poważnie, obecnie przypada pięciu. Te dwie epoki wszakże, dzieli etap brutalnych prześladowań, i reakcja katolicka bez ustanku próbuje grać na kontraście rzekomo „katolickiego” społeczeństwa przedrewolucyjnego z rewolucyjnym szaleństwem. „Spójrzcie”, mówią jej orędownicy, „jak strasznie Rewolucja obeszała się z Kościołem”. Wobec tych słów zaś, oczywista wydaje się także druga strona medalu – i istotnie, implikacja jest tutaj prawdopodobnie taka: „Pomyślcie, jak inaczej musiała wyglądać Francja przed tym prześladowaniem!” Fanatyzm współczesnej reakcji przeciw katolicyzmowi wyolbrzymił rozmiary rewolucyjnych prześladowań, w związku z czym zapomniano powszechnie nie tylko o jednoznacznych dowodach, świadczących o upadku życia religijnego, ale i o zdroworozsądkowej obserwacji, że przecież prześladowania rewolucyjne nie mogły wybuchnąć bez trwałej i mocnej bazy dziejowej. Nie jest możliwe, aby zaraz po epoce krucjat nastąpiły rządy Dioklecjana; niemożliwe, by po wieku rzetelnej kultywacji życia zakonnego pojawił się nagle Henryk VIII. I gdyby pokolenie przed Rewolucją społeczeństwo francuskie, a

przynajmniej jego znaczniejsza część, było aktywne religijnie, rewolucyjne prześladowania zwyczajnie nie mogłyby się wydarzyć.

Fakty są jednak takie, że nie było: i głównym motywem powszechnej obojętności, a czasem wręcz nienawiści, w stosunku do Kościoła, był nie tyle jego związek z państwem, co dokładniej mówiąc z władzą wykonawczą.

Był jednak jeszcze inny czynnik. Opisaliśmy już pokrótce wcześniej jak narodziła się we Francji podczas zawirowań reformacyjnych bogata, wpływowa i liczna społeczność hugenotów. Co do liczby, zaczęła się ona w pewnym momencie kurczyć, ale przez cały wiek siedemnasty zdołała także zachować bardzo mocną pozycję, zarówno dzięki przywilejom, jak i (co bardzo charakterystyczne) potężne pieniądze; i nawet dziś, choć wskaźnik urodzin jest w niej niższy niż średnia narodowa, liczba hugenotów francuskich sięga miliona, i są oni średnio znacznie bogatsi od reszty swoich rodaków. To właśnie dzięki swemu bogactwu dominują oni w pewnych regionach handel, mają tak wielki wpływ na uniwersytety, branżę wydawniczą i prasę; i ogólnie – odgrywają tak wielką rolę w życiu narodowym.

Hugenoci francuscy pozostawali zaś w gwałtownym i niekończącym się konflikcie z monarchią, a zatem także z Kościołem Katolickim – konflikcie, który – dokładnie dlatego, że nie miał on tego żywotnego i wyrazistego charakteru, jakim zazwyczaj odznaczają się sprawy religii ludowych i uniwersalnych – był tym bardziej, w swym utajeniu, wszechobecny. Konflikt ów wziął się stąd, że Ludwik XIV wiek przed Rewolucją niespodziewanie odebrał hugenotom wszystkie specjalne przywileje, dzięki którym przez długie

dziesięciolecia cieszyli się oni statusem wyjątkowym, przynależnością do „państwa w państwie”, przez więcej niż jedno pokolenie zaś – możliwością swobodnego organizowania zgromadzeń, zupełnie osobnych, a czasem wręcz wrogich wobec władz narodu. Spór ów miał naturę bardziej polityczną niż religijną; można powiedzieć, że dotyczył „samostanowienia”. Bo choć hugenoci rozsiani byli po całym terytorium Francji, to mieli oni specjalnie wydzielone miasta i regiony, z których ich duch, a także – do pewnego stopnia – prywatny samorząd, czynił enklawy partykularyzmu istniejące w ramach organizmu państwowego.

Hugenoci zachowywali tę pozycję – jak rzekłem – przez blisko sto lat, i dopiero mniej więcej w tym samym czasie, gdy Anglia położyła kres swym niepokojom religijnym radykalną decyzją o wygnaniu Jakuba II, nieco mniej brutalna procedura pozwoliła Francji – jak się wtedy wydawało – osiągnąć podobną religijną homogeniczność. Niemniej – nie udało się jej osiągnąć. Hugenoci, choć pozbawieni statusu państwa w państwie, pozostali w okresie od zniesienia edyktu nantejskiego do wybuchu Rewolucji potężnym i aktywnym ośrodkiem wpływu. Stanowili oni skrzydło ofensywy sceptycyzmu intelektualnego przeciw Kościołowi, byli znakomicie przygotowani do wyzyskania jego pierwszych politycznych zwycięstw, i od czasów Rewolucji jest to niezmiennie najpotężniejsza i – po masonerii, do której zresztą wielu spośród nich należy – najlepiej zorganizowana siła antyklerykalna kraju.

Żydzi, którzy od czasów Rewolucji działali na tym samym polu z tak wielkimi sukcesami, w okresie bezpośrednio przedrewolucyjnym

nie mieli na życie polityczne Francji żadnego większego wpływu, więc nie trzeba się nimi zajmować.

Tak właśnie przedstawiała się sytuacja bezpośrednio przed wybuchem Rewolucji. Wszyscy żyjący ludzie pamiętali, jak Kościół stawał się coraz bardziej i bardziej instytucją państwową, masy wielkomiejskie całkowicie straciły z nim łączność; inteligencja narodu po większej części skłaniała się ku deizmowi, albo wręcz otwarcie dawała ucho zwykłej sceptycznej propagandzie, potężne środowisko hugenotów gotowe było wejść w sojusz z kimkolwiek, byle tylko zaszkodzić religii katolickiej, a w oczach zubożałej ludności miejskiej – szczególnie Paryża, od długiego czasu zupełnie areligijnego – ludzka organizacja Kościoła, kapłani, i bardzo nieliczne lecz bardzo bogate zakony, wciąż istniejące mimo znaczącego spadku powołań, to był ledwie element arystokratycznego świata, którego nasz lud nienawidził i który pragnął zniszczyć.

W takiej właśnie atmosferze i w takich właśnie warunkach życia religijnego narodu rozpoczęła się Rewolucja. W Zgromadzeniu Narodowym ledwie nieliczni spośród mnóstwa przedstawicieli stanu trzeciego, odgrywającego w nim rolę decydującą, wyznawali wiarę katolicką lub choćby nieco ją znali, a i w ich wypadku, a przynajmniej u większej części z nich, indywidualizm i ekscentryzm – czyli cechy niekatolickie – dorównywały niemalże szczerości uczuć religijnych. W wypadku szlachty, praktyki religijne stanowiły rodzaj nawyku społecznego – z wyjątkiem bardzo nielicznej grupy wyjątków nikt nie rozumiał jej w kategoriach intelektualnych. W wypadku kleru, dominowała niezwykle zamożna hierarchia, niezdolna bronić



Kościół przy pomocy argumentacji filozoficznej i jednomyślnie uznająca się za część starej maszyny państwowej; przedstawiciele niższego kleru zaś, o nastawieniu wybitnie demokratycznym, z początku zajmowali się właśnie kwestią ustanowienia demokracji, a nie zbliżającym się nieuchronnie atakiem na materialne i doczesne struktury Kościoła.

Struktury owe zaś, materialne i doczesne, stanowiły na początku dyskusji nieporównanie łatwiejszy cel ataku, niż jakikolwiek inny element *ancien régime'u*.

Największym zagrożeniem dla państwa był kryzys finansowy. Pretekstem do, a w pewnej mierze nawet rzeczywistym motywem, zwołania Stanów Generalnych była konieczność znalezienia funduszy. Stara maszyneria fiskalna się zatarła, i – jako to zwykle bywa w wypadku podobnych problemów – trudności, jakie się z tym łączyły, i coraz większe ciężary jednostek, wydawały się wszechobecne. *I nie było żadnych zgoda znaczniejszych i łatwo dostępnych zasobów finansowych, poza bogactwem kleru.*

Umorzenie zobowiązań feudalnych wobec arystokratów pomogłoby raczej chłopstwu niż państwu. Spośród istniejących podatków, tylko nieliczne można było podwyższyć bez ryzyka wywołania niepokojów wewnętrznych, i żadnego na tyle, by dało się liczyć na większą poprawę. Spłata długów jako taka stanowiła połowę wydatków państwowych, deficyt – w porównaniu do dochodów – był gigantyczny. I obok tego wszystkiego funkcjonowała sobie spokojnie instytucja, której funkcja publiczna interesowała

ledwie maleńki procent populacji, z najbardziej nierówną w kraju dystrybucją przychodów, i której majątki feudalne przynosiły rocznie w czynszach pieniądze równe jednej czwartej dochodu państwowego. Dodajmy do tego jeszcze dochody z dziesięcin, prawie tak samo wysokie, i stanie się bardziej niż jasne, z jaką pokusą musiało mierzyć się wtedy Zgromadzenie Narodowe.

Można argumentować, rzecz jasna, iż prawo Kościoła do własności, czy to ziemskiej czy pochodzącej z dziesięcin, było absolutne, i że konfiskata jednej czy drugiej formy kapitału to zwykła kradzież. W tamtej chwili wszakże, obowiązywały inne koncepcje prawne. Kościelnego bogactwa nie broniła z absolutnej koncepcji prawa własności nawet większość z tych, którzy z niego korzystali. Debata, która doprowadziła najpierw do konfiskaty dziesięcin, a potem ziemi, była kwestią paragrafów, precedensów, użyteczności publicznej i tak dalej. Nie przebijały się w niej w żaden skuteczny sposób argumenty z praw czysto moralnych; choć w tamtym czasie moralne prawo do własności należało do naczelných pryncypiów politycznych.

Spór Rewolucji z klerem nie wyniknął jednak ani z konfiskaty dziesięcin, ani z konfiskaty ziemi. Zmiany finansowe i ekonomiczne mogą ledwie przygotowywać grunt, stwarzać sprzyjające warunki, pod zmianę moralną. Nigdy jej jednak nie powodują. Nawet dyskryminacji zakonów z 1790 nie można uznać za początek tego wielkiego konfliktu. Zakony religijne były już wtedy we Francji zbyt mało aktywne religijnie, zbyt nieliczne, zbyt bogate i zbyt odseparowane od życia narodowego, aby tak było. Prawdziwy

początek historyczny, od którego należy datować tę gwałtowną debatę, to poranek 30 maja roku 1790, gdy komisja parlamentarna (tzw. komisja kościelna), przedstawiła zgromadzeniu projekt reformy Kościoła Gallikańskiego.

Cały świat rozpoznaje już dziś potworność tego aktu. Propozycja zmiany struktury diecezji i biskupstw Francji katolickiej, wysunięta przez przypadkowych delegatów nie wybieranych *ad hoc*, decyzja osłabienia na takie to a takie sposoby więzów Kościoła francuskiego ze Stolicą Apostolską, podjęta przez efemeryczną instytucję państwową, atak na kapituły katedralne, propozycja, by biskupów – więcej: zwykłych księży! – wyłaniać w wyborach powszechnych, z pozoru przynajmniej zakrawająca na zwykłą farsę, podporządkowanie kwestii mieszkań i podróży duchowieństwa urzędowi cywilnym, oficjalnie obojętnym na zagadnienia religijne – wszystko to wydaje się umysłowi współczesnemu kompletnym nonsensem. Jak, pytamy, ludzie tak uczeni, tak szczerzy, tak pracowici i tak niespotykane wrażliwi na rzeczywistość swojego czasu mogli popełnić tak kolosalny błąd? Więcej – jak to się stało, że nie spotkał się on z natychmiastowym lekceważeniem i kpiną? Przyczyn należy szukać w tym, co powiedziało się przed chwilą z tak wielkim naciskiem: w przejściowym kryzysie życia religijnego w przedrewolucyjnej Francji.

Wszyscy, którzy uchwalili konstytucję cywilną kleru, wszyscy, którzy za nią głosowali, więcej: wszyscy, którzy się jej sprzeciwiali, widzieli rzecz z perspektywy trzech opinii, które próbowali pogodzić: z czego jedna była zupełnie błędna, jedna – niedoskonała, bo

bardzo powierzchowna, i jedna ledwie w pełni prawdziwa. Według pierwszej, Kościół Katolicki był po prostu dogorywającym zabobonem, drugiej – sprawną organizacją, z której siłą i tradycją należało się liczyć, trzeciej – państwo francuskie, jego organy i sieć łączących ich w praktyce relacji, były tak mocno związane z Kościołem Katolickim, że przeprowadzenie jakiegokolwiek poważniejszej zmiany politycznej bez uwzględnienia tej instytucji, w stosunku do Francji naraz wewnętrznej i zewnętrznej, stanowiło niemożliwość.

Gdyby pierwsza z tych dorównywała prawdziwością ostatniej, konstytucję cywilną kleru, a także reputację jej autorów, dałoby się obronić.

Z pewnością prawdą było, że Kościół Katolicki przez tak wiele wieków tak organicznie zrósł się z całością aparatu państwowego, że parlament – dążąc do reformy życia narodowego – zwyczajnie nie mógł go nie uwzględnić: nie mógł po prostu zostawić Kościoła „na boku”.

Jeśli wziąć rzecz powierzchownie, prawdą jest również to, że Kościół stanowił znaczną siłę polityczną, nawet niezależnie od swych związków z koroną – ale to tylko pozory. Czego politycy rewolucyjni obawiali się najbardziej, to intryg zwierzchników ziemskich struktur Kościoła – ludzi, co do których wiedzano przecież, że w większości nie żyją religijnie, i którym w związku z tym w naturalny sposób nie ufano. Z mniej powierzchownym i lepiej uzasadnionym osądem sprawy odkryto by niechybnie, że prawdziwe

niebezpieczeństwo wiązało się z intrygami przeciwko konstytucji cywilnej kleru – czy z ogólną wrogością wobec niej – i to nie ze strony zepsutej hierarchii, ale szczerzej lecz skądinąd niezbyt dobrze zorientowanej mniejszości, wciąż przywiązanej do doktryny i dyscypliny Kościoła. Ale nawet ten powierzchowny osąd nie przesądziłby sprawy, gdyby Zgromadzenie Narodowe nie myliło się co do pierwszego punktu – kwestii żywotności wiary.

Gdyby Kościół Katolicki był rzeczywiście – jak wyobrażali to sobie wtedy niemal wszyscy ludzie wykształceni – ledwie dogorywającym zabobonem, gdyby kryzys, przez który wtedy przechodził, dało się porównać do tych kryzysów, przez które inne religie przechodziły w ostatnich chwilach swego istnienia, gdyby stare rody wspierały go wyłącznie z tradycji, chłopci trzymali się go wyłącznie z ignorancji i zaściankowości, gdyby miasta odwróciły się od niego po prostu dlatego, że były bardziej oświecone i miały większą wiedzę z zakresu historii i nauki; gdyby, słowem, wyobrażenie, które ludzie owi wyrobili sobie na temat Kościoła było prawdziwe – w takim wypadku uchwalenie konstytucji cywilnej kleru byłoby aktem godnym męża stanu. W tych regionach, gdzie jeszcze odgrywał on większą rolę, konstytucja pozwoliłaby Kościołowi umrzeć spokojnie i bez sensacji. Gwarantowałaby bardzo rozsądne wynagrodzenie kapłanom religii, która prawdopodobnie przeminęłaby przed śmiercią najmłodszych spośród nich; przygotowałaby – jakby to ująć – łożo, na którym stary i schorowany katolicyzm Galii mógłby odejść w pokój. Uchwalenie konstytucji z każdą dekadą wydawałoby się aktem szlachetniejszym i hojniejszym, a mądrość polityków, którzy

uniknęli konfliktu zresztą wierzących byłaby coraz głośniejsze oklaskiwana.

Z drugiej strony, z punktu widzenia urzędnika państwowego, konstytucja cywilna kleru ściśle podporządkowywała Kościół państwu i włączała pod jego jurysdykcję także wszystkie ściśle religijne, starożytne funkcje episkopatu. Zgromadzenie mądrze i sprawiedliwie uznało, że skoro religie trwają w formie maszyny instytucjonalnej jeszcze długo po tym, jak obumrą duchowo, to w wypadku, w którym maszynaria owa kiedykolwiek stanowiła część mechanizmu państwowego, musi ona pozostać pod kontrolą państwa: i to nie tylko dopóki ożywiający ją duch trwa, ale znacznie dłużej; dopóki ostatnie z instytucji religijnych nie skończą się i nie przeminą.

Tak też argumentowało Zgromadzenie Narodowe, tak argumentowała komisja, i – powtarzam – argument ów byłby sprawiedliwy i godny męstwa stanu, roztropny i przewidujący, gdyby nie jedna pomyłka. Kościół Katolicki nie tyle nie umarł, co nawet nie umierał. Istotnie, przejawiał wiele objawów, które u innych organizmów i instytucji obwieszczają rychłą śmierć, niemniej – Kościół Katolicki to organizm i instytucja zupełnie wyjątkowa. Gdy tylko ktoś zada mu śmiertelny cios, natychmiast owocuje i wzrasta; u samych jego fundamentów leży wiara, że powodzenie materialne paraliżuje, ubóstwo i nieszczęścia – ożywiają.

Zgromadzenie Narodowe zachowałoby się mądrzej, gdyby bliżej przyjrzało się historii Irlandii (ówcześnie bardzo słabo znanej), albo

choćby zaznajomiło się z metodami, jakimi zdusili katolicyzm w Brytanii Henryk i Elżbieta Tudorowie, po tym, jak w wieku piętnastym przeszedł on tam mniej więcej podobny kryzys, jak w Galii wieku osiemnastego.

Ludzie roku 1789 nie pragnęli wszakże zabić Kościoła – tylko pozwolić mu umrzeć; bo szczerze uważali, że umiera. Ich jedynym pragnieniem było uczynić tę śmierć godną i bezbolesną dla narodu, a także – kontrolować posunięcia polityczne hierarchii, zamożnej i związanej ściśle ze starym łaodem społecznym, który sypał się gruzy.

Konstytucja cywilna kleru zawiodła; wznieciła wojnę domową, wykopała przepaść, która rozdzieliła katolicyzm od Rewolucji w momencie inwazji obcych państw, poddała lojalnych księży takiej segregacji, że mogli się oni jawić ludowi wyłącznie jako zwykli zdrajcy, i w ostatecznym rozrachunku doprowadziła – wobec piekła roku 1793 – do owych ogromnych prześladowań, których pamięć do dziś nie pozwala Kościołowi i francuskiej demokracji na pojednanie.

Ważne, by prześledzić po kolei etapy tej porażki; bo tylko jeśli spojrzymy na daty i zdamy sobie sprawę z tego, jak mało czasu pozostawało wtedy na sądy i reakcję, i z jak wielką szybkością po każdym błędzie następowała katastrofa, zdołamy zrozumieć, co się tak naprawdę stało – i zrozumieć to w jedyny możliwy sposób.

Jeśli dwie rodziny, które znamy, pozostają w konflikcie, który ciągnie się latami, którego powodów nie potrafimy pojąć, i którego brutalność wydaje nam się bezsensowna, i w pewnym momencie

dowiadujemy się, że całą historię rozpoczął kataklizm zbyt szybki i zbyt gwałtowny, aby jedna czy druga z nich mogła właściwie go ocenić, pozwoli nam to zrozumieć przynajmniej trwałość tego antagonizmu. W wypadku Rewolucji, kataklizm ów nastąpił zaraz po błędnej decyzji parlamentu; kataklizm do intencji autorów konstytucji cywilnej kleru zupełnie nieproporcjonalny – bo nagłe katastrofy zazwyczaj kompletnie przerastają stojące za nimi przyczyny.

Jak już zobaczyliśmy, Zgromadzenie Narodowe przyjęło konstytucję cywilną kleru latem 1790 roku – dokładnie 12 lipca. Król wszakże, zwlekał z podpisem do 26 sierpnia. Nie próbowano także wtedy wcale wprowadzać tego prawa w czyn. Pierwsze protesty biskupów zaczęły się pojawiać nieśpiesznie – dopiero we wrześniu – o najważniejszej zasadzie konstytucji zaś, przysiędze obywatelskiej, którą księża mieli obowiązek składać, do końca roku w ogóle nawet nie debatowano.

Przysięga obywatelska, traktowana czasem w tej kwestii histerycznie, nie była niczym więcej, niż składaną pod przysięgą deklaracją, że dany biskup czy ksiądz będzie wierny nowemu porządkowi – choć część owego porządku stanowiła właśnie konstytucja cywilna kleru; i w żaden sposób nie sprzeciwiała się bezpośrednio katolickiej doktrynie czy moralności. Głupotą było ją narzucać, i głupota owa wynikała z ignorancji polityków (a także wielu biskupów tamtego czasu) co do natury Kościoła Katolickiego. Lecz konstytucja nie była, ani nie miała być, narzędziem prześladowań. Złożyło ją wielu księży parafialnych, większość prawdopodobnie w zupełnie dobrej wierze: nie dyskredytował jej



także w oczach opinii publicznej fakt, że złożyli ją ledwie czterej biskupi, ponieważ kondycja moralna hierarchii była w przedrewolucyjnej Francji oceniana niezwykle negatywnie. Działania biskupów wydały się narodowi czysto polityczne, to zaś, że złożyło ją tak wielu – choć jednak mniejszość –spośród księży parafialnych, wystawiało konstytucji dobre świadectwo.

Niemniej, żaden katolicki ksiądz, biskup czy świecki nie mógłbym złożyć tej przysięgi nie zdradzając jednocześnie własnej religii; i to z tego samego powodu, dla którego św. Tomasz z Canterbury w tak zadziwiający i owocny sposób przeciwstawił się zarówno rozumnym i nieuniknionym, jak i nierozumnym, urządzeniom politycznym swojego czasu. Kościół Katolicki to instytucja z konieczności autonomiczna. Z samej natury nie może zgodzić się na obcą ingerencję w sprawach dyscypliny, czy też – i przede wszystkim – hierarchii.

Czytelnik musi precyzyjnie rozróżnić zgodę Kościoła na szczegóły reformy ekonomicznej, zdławienie tej czy innej korporacji zawodowej na życzenie władzy świeckiej, a nawet na rezygnację z pewnych tradycyjnych przywilejów, a podporządkowanie się ogólnej zasadzie świeckiej kontroli. To właśnie tę zasadę Zgromadzenie Narodowe dość ewidentnie starało się przy pomocy konstytucji cywilnej przeforsować. Przyjąć zwierzchność tego typu nadzorczej i zewnętrznej władzy, czy raczej wyższej zewnętrznej władzy, to w teorii zanegować samą istotę katolicyzmu, w praktyce zaś – zamienić Kościół Katolicki w dokładnie to samo, czym stały się wszystkie religie państwowe chrześcijańskiego świata.

Powiedziałem, że dopiero z końcem roku 1790 rozpoczęła się debata o przymuszeniu księży do składania przysięgi obywatelskiej.

Wymownym komentarzem do całej sprawy jest już samo to, że kwestia przymusu w ogóle stała się przedmiotem debaty. Wydawać by się mogło przecież, że wynikała wprost z litery prawa. Niemniej, działania Zgromadzenia były tak nietypowe i, jak się wtedy zaczęto przekonywać, tak ryzykowne, że potrzeba było specjalnego dekretu – z podpisem króla – aby ta logiczna konsekwencja przepisów od miesięcy obowiązującego prawa mogła zostać wprowadzona w czyn.

Niech czytelnik zatrzyma się tutaj na moment i zastanowi się, z czym zbiegły się wydarzenia tamtego czasu – końca roku 1790.

Asygnaty, papierowe pieniądze, zabezpieczone na dobrach skonfiskowanych Kościołowi, straciły już 10% wartości. Ci, którzy zdecydowali się ich używać, płacili o jednego pensa więcej za każdy liwr, lub – jak my byśmy powiedzieli – ćwierć pensa za każdego szylinga – wyłącznie z powodu tego, co musiało im się wydawać nierozumnym oporem jednej korporacji – do tego bardzo niepopularnej – wobec dekretów Zgromadzenia Narodowego.

W tym właśnie momencie, pierwsza rzeczywista reakcja wobec Rewolucji zaczęła nabierać kształtów, a lud po raz pierwszy zaczął coś podejrzewać; w tym właśnie momencie dwór zaczął negocjować swoją ucieczkę; i w tym właśnie momencie (choć lud nie miał o tym

pojęcia) Mirabeau doradzał królowi by ten wykorzystał przysięgę kleru jako pretekst do rozpoczęcia wojny domowej.

Tamtej zimy czuć było w powietrzu wątpliwość i niepewność: w sercach tych wszystkich, którzy dotąd z entuzjazmem wspierali pochód Rewolucji, lodowate dni przełomu lat 1790-91 zasiały ziarna rozpacz, i ten niezwykle krótki moment wystarczył, aby sprawa przysięgi duchowieństwa nie tylko że wywołała reakcję antydemokratyczną, ale stała się także ostrzem, które rozcięło naród na poły.

Z samym początkiem nowego roku, 4 stycznia, biskupi i księża zostali wezwani do złożenia przysięgi na wierność królowi, narodowi i prawu; częścią prawa była wszakże konstytucja cywilna kleru – w związku z czym nastąpiła odmowa. W ciągu następnych trzech miesięcy Mirabeau zmarł, król podjął decyzję o ucieczce, Paryż płonął z niepokoju, duchowieństwo całej Francji albo przyjmowało przysięgę, albo ją odrzucało, a schizmatyccy księża obejmowali parafie – można sobie tylko wyobrazić w jakiej atmosferze i wobec jakich protestów miejscowych wieśniaków! Nie dalej niż dwa tygodnie później, pojawiło się papieskie breve, długo wyczekiwane, znane jako breve „Caritas”, potępiające konstytucję cywilną kleru. Sześć tygodni później, pod koniec maja, wydano z dworu nuncjusza apostolskiego – tym samym rozpoczynając wojnę religijną.

Każdy nowy akt tego sporu, formalnie ciągnącego się już cały rok, choć w sensie właściwym sześć miesięcy, niezależnie od tego, której

strony był dziełem, z konieczności tylko pogarszał sytuację. Nie tylko nie mogło być mowy o żadnej formie pojednania, ale z samej natury rzeczy nawet najbardziej wyważona opinia nie mogła zachować pełni obiektywizmu, i każde działanie publiczne, dotyczące tego czułego punktu, nawet tylko bezpośrednio i bez najmniejszej intencji podgrzewania nastrojów, natychmiast zaczynało jawić się wszystkim jako prowokacja jednej lub drugiej strony.

Takiego stanu rzeczy nie dało się uniknąć – nie w społeczeństwie, które dawno odstąpiło od praktyk religijnych, nie przy takich związkach struktur kościelnych ze strukturami politycznymi *ancien régime'u*, nie wobec żelaznej dyscypliny, jednoczącej francuskie duchowieństwo w jeden organizm, i przede wszystkim: nie w momencie, w którym Rewolucja – z rzeczywistej konieczności etapu – musiała znaleźć sobie jednego, określonego wroga.

Ten ostatni punkt ma kapitalne znaczenie. Opinia publiczna wrzała z oburzenia, bo król okazał się już jednoznacznie przeciwnikiem zmian demokratycznych; podpisywał wszakże ustawy i nie dało się go otwarcie zaatakować. Powszechnie wiadano także, że królowa jest jeszcze bardziej przeciw; lecz ona formalnie nie rządziła. Konserwatywne rządy europejskie były Francji wrogie; ale nie pojawiła się jeszcze nawet nota dyplomatyczna, przeciwko której opinia publiczna mogłaby skierować swój gniew.

Opór duchownych wobec konstytucji cywilnej kleru odegrał w tamtej chwili rolę analogiczną do tej, którą odgrywa zarodek w procesie krystalizacji. Spolaryzował on energie Rewolucji, dostarczył

jasnego punktu wyjścia, jasnego negatywnego odniesienia, jasnej kontrtezy, pewnego gruntu działania. Tu wreszcie sprawa była prosta. Ludzie noszący charakterystyczne stroje, pełniący powszechnie znane funkcje i odgrywający powszechnie znaną rolę społeczną – mianowicie: księża – stali się nagle głównymi wrogami przygotowywanej właśnie nowej, demokratycznej Konstytucji. Nie chcieli przysiąc, że będą jej wierni: buntowali się przeciw niej w każdej części kraju – z reguły w sekrecie, tam zaś, gdzie utracili swoje stanowiska, zupełnie otwarcie. Tak też duchowni – to jest, duchowni, którzy odmówili złożenia przysięgi (duchowieństwo państwowe od początku było ledwie eksperymentem społecznym, który szybko przerodził się w zwykłą fikcję) – po kwietniu roku 1791 w oczach wszystkich demokratów tamtego czasu uchodzili za najbardziej konkretną i najtwardszą opozycję antydemokratyczną.

Do takiego przedstawienia problemu bardzo wiele można by jeszcze dodać. Już sam fakt, że ruch demokratyczny przeszedł okres niewiary i był w swych źródłach niekatolicki, jako taki sprzyjałby tutaj wybuchowi konfliktu. Podobnie jak konieczne przywiązanie Kościoła do pojęcia autorytetu, i nader częsta pomyłka utożsamienia zasady autorytetu z roszczeniami tradycyjnej monarchii. Również wszelkie elementy pychy, chciwości, fałszywego pojęcia celu ostatecznego, nieodłącznie towarzyszące wszelkiej czysto demokratycznej teorii państwa, z konieczności konfliktują tę teorię z religią. Wszystkie te wieki, przez które ołtarz i tron występowały w roli symboli bliźniaczych, szczególnie we Francji, także odegrały tutaj niemałą rolę. Niemniej, powtarzam, ostatecznym aktem, bez którego spór ów nigdy nie osiągnąłby tak kolosalnych

rozmiarów, jakie ostatecznie osiągnął, błędem wszystkich błędów, który zniweczył jedność ruchu rewolucyjnego, było nie co innego, tylko właśnie konstytucja cywilna kleru.

Tyle na temat pierwszego roku schizmy, od maja 1790 do maja 1791. Drugi to tylko intensyfikacja wszystkich procesów, rozpoczętych w pierwszym.

Zaczyna się on z ucieczką króla, w lipcu 1791 roku: to jest, pierwszym otwartym przejawem wrogości wobec Zgromadzenia Narodowego od czasu, kiedy dwa lata wcześniej parlament ogłosił się we Francji władzą najwyższą. W tamtej chwili, dwór i duchowieństwo widziano powszechnie jako jeden front, co znajduje swój szczególny wyraz w opinii, jakoby podjęta przez króla próba wyjazdu do miejscowości Saint-Cloud wynikała z pragnienia przyjęcia Komunii świętej z rąk kapłana, który nie podporządkował się konstytucji cywilnej [\[83\]](#) \*. Kiedy zatem król uciekł, to choć jego ucieczka nie miała żadnego związku ze sporem religijnym, to tak właśnie się w ogólnym odbiorze skojarzyła – głównie ze względu na próbę opuszczenia Paryża już w kwietniu i długi sojusz dworu ze zbuntowanym duchowieństwem. Eksplozja resentymentów antymonarchicznych, którą wywołała, była w związku z tym zarazem eksplozją resentymentów antyklerykalnych; różnica polegała na tym, że księża byli wszędzie – więc wszędzie można ich było zaatakować. Deklarację z Pillnitz, którą naród bardzo słusznie odebrał jako początek działań zaczepnych reszty Europy przeciwko francuskiej demokracji, uważano nie tylko za akt wsparcia dla króla, ale i zbuntowanego kleru.

Idźmy dalej. Niepokoje wojenne, trwające przez jesień i zimę przełomu lat 1791-92, przedziwna zmiana usposobienia społecznego, którą wojna – lub tylko jej groźba – w konieczny sposób musi wywołać – swego rodzaju konstruktywne uniesienie czy twórcza namiętność – skanalizowała znaczną część energii – czy furii – narodu przeciwko prawowiernym kapłanom.

Nowy parlament, „Legislatywa” jako go nazywano, przed upływem dwóch miesięcy swojej kadencji przegłosował, 29 listopada 1791, dekret o pozbawieniu nielojalnych księży wynagrodzenia. I tutaj po raz kolejny nie możemy nie zauważyć osobliwego oderwania prawa od faktów, przewijającego się przecież przez całą długość trwania tego konfliktu! Przez ponad rok wypłacano wynagrodzenie ludziom, którzy w tym roku nie powinni go byli nawet powąchać! A jednak, tak jak w wypadku przysięgi obywatelskiej, wymagane było działanie specjalne, przy którym parlament nie ograniczył się tylko do – cokolwiek spóźnionego – określenia logicznych skutków obowiązującego prawa, ale dodał jeszcze rozporządzenie, według którego ci księża, którzy nie złożą przysięgi w osiem dni po jego wydaniu, mieli otrzymać status „podejrzanych”.

Słowo „podejrzany” jest tutaj bardzo istotne. Nawet w tamtym momencie parlament nie mógł działać – przynajmniej nie bez współpracy króla; i status „podejzranego”, niełączący się z żadnym widocznymi konsekwencjami, stanowił jakby groźbę wypadków gorszych od normalnej, normowanej prawnie kary. Było to coś takiego, jakby jakaś tajna, działająca bezprawnie organizacja

oznaczyła w pewnym mieście drzwi domostw ofiar przyszłej masakry.

Trzy tygodnie później, Ludwik zawetował dekret pozbawiający wynagrodzenia księży, którzy nie złożyli przysięgi obywatelskiej, i rok 1791 zakończył się kompletnym impasem – i w stanie niepokoju balansującego na granicy szaleństwa.

Pierwsze trzy miesiące 1792 nie przyniosły zmian. Nieposłuszni księża – mimo iż działali bezprawnie – wciąż cieszyli się wsparciem ze strony egzekutywy, i – co jeszcze dziwniejsze – wciąż otrzymywali publiczne wynagrodzenie i w znacznej większości pełnili dawne funkcje; opinia, jakoby księża stanowili najgroźniejszych, a przynajmniej najbardziej ewidentnych przeciwników nowego *régime'u* twardniała w niewzruszone przekonanie, a po nieudanej próbie rozpoczęcia prześladowań – jak nazywała to jedna strona sporu – oraz upartym i antynarodowym buncie dysydenckich kapłanów – jak nazywała to druga strona sporu – wielkimi krokami zbliżały się zarówno prawdziwe prześladowania, jak i prawdziwy bunt.

W kwietniu 1792 roku nastąpiła wojna, ze wszystkimi swymi konsekwencjami.

Znana powszechnie wrogość króla do Rewolucji zmieniała się w coś znacznie gorszego: znane powszechnie związki z wrogiem. Główną taktyką rewolucjonistów stało się zatem granie na to, by Ludwik się odsłonił.



Dla tych, którzy chcieli wymusić na Ludwiku XVI jawne działania przeciwko narodowi, jego religijność stała się doskonałym celem ataku. Żadna kwestia nie pozwalała tak skutecznie prowokować monarchy, jak właśnie kwestia religijna, ze względu na którą pierwszy raz skorzystał przecież – w grudniu 1791 roku – z prawa weta.

27 maja 1792 roku zatem, Gaudet [\[84\]](#) i Verginiaud [\[85\]](#), żyrondyści, wysunęli propozycję, by księża, którzy odmówili złożenia przysięgi, powinni być deportowani na życzenie ledwie dwudziestu podatników, zamieszkałych w obrębie jednego zbioru parafii, znanego jako „kanton”. Stało się to dokładnie dwa lata po tym, jak konstytucja cywilna kleru pierwszy raz przedstawiona została parlamentowi przez komisję kościelną Konstytuanty czy Zgromadzenia Narodowego.

Nie wolno zapomnieć, w jak dramatycznych okolicznościach zaczęto domagać się tego bardzo brutalnego rozwiązania, początku rzeczywistych prześladowań. Minął miesiąc od tego, jak 20 kwietnia działania wojenne rozpoczęły się przy granicy belgijskiej od haniebnej paniki armii francuskiej i morderstwa generała Dillona [\[86\]](#); niemalże w tym samym czasie miał miejsce słynny i bezładny odwrót wojsk francuskich zmierzających w kierunku Mons. Cała Europa rozprawiała o tym, że Francja jest słaba, i że można na nią uderzyć; i, ogólnie mówiąc, dekret ten stanowił po prostu element szerszych, bardzo nerwowych działań politycznych, podejmowanych celem przeciwstawienia się terrorowi nadchodzącej inwazji.

Po nim nastąpił, rzecz jasna, dekret likwidujący Gwardię Królewską, i – nieco ponad tydzień później – dekret nakazujący formowanie armii ochotniczej pod murami Paryża. Tymi wszakże nie będziemy się tutaj zajmować. Król zawetował dekret wymierzony w nieposłuszne duchowieństwo, i w ciągu dwóch strasznych miesięcy, jakie potem nastąpiły, lud – a szczególnie lud paryski – skojarzył działania prawowiernych księży z inicjatywą restauracji *ancien régime'u* i postępami zagranicznych wojsk.

Wraz z katastrofą 10 sierpnia [\[87\]](#), rozpoczęły się prześladowania religijne: prawdziwe prześladowania, będące w stosunku do rosnącej goryczy ostatnich dwóch lat tym, czym cios w szczękę w stosunku do pierwszych słów sprzeczeki.

Dekret z 27 maja wdrożono jedenaście dni po upadku Tuileries. Prawda, że nie wprowadzono go w czyn tak bezwzględnie, jak domagał się tego parlament: nieposłusznym kapłanom dawno dwa tygodnie na opuszczenie królestwa, a przymusowe deportacje miały nastąpić dopiero po upływie tego czasu.

Od tego dnia do końca Wielkiego Terroru, jaki nastąpił dwadzieścia trzy miesiące później, historia relacji Kościoła i Rewolucji, choć straszna i brutalna, była zupełnie prosta: to historia krwawych prześladowań, kulminujących w aktach niewyobrażalnego okrucieństwa i rzekomej „dechrystianizacji” (jak to nazywano) Francji.

Do tego czasu, we wszystkich zakątkach Francji zaczęto uważać prawowiernych księży za naczelnych wrogów ruchu rewolucyjnego; oni sami zaś, zaczęli postrzegać ruch rewolucyjny przede wszystkim jako siłę mającą na celu zniszczenie Kościoła.

W sześć miesięcy po upadku monarchii, od 18 marca 1793 roku, księża – posłuszni czy nieposłuszni – mogli zostać poddani deportacji na podstawie zeznań sześciu świadków.

Potem nastąpiła frontalna ofensywa przeciwko całej religii. Próba zamknięcia wszystkich kościołów spaliła, rzecz jasna, na panewce, niemniej całym sercem uwierzono, że resztki przywiązania do wiary, obecne w różnych regionach Francji, stanowiły wyłącznie skutek wiejskiej ignorancji, bądź też instynktu samozachowawczego tych, którzy je podtrzymywali. Procedura dechrystianizacji skończyła się klęską, ale miesiące terroru i okrucieństwa, mrowie śmierci męczeńskich (bo nie da się tego inaczej nazwać) oraz niewyobrażalne tortury fizyczne i psychiczne, którym poddawano pozostałych w kraju duchownych, wżarły się – by tak rzec – w samą żywotną tkankę struktur katolicyzmu francuskiego i pozostały, niezależnie od wszelkich teorii politycznych, niezależnie od wielkiej lojalności narodowej duchowieństwa, jedynym wielkim wspomnieniem, odziedziczonym po tamtych czasach.

Odpowiednio, obraz księdza jako straszliwego i koniecznego – z samych swych nawyków i samej swej natury – wroga teorii rewolucyjnej, tak mocno utrwalił się w umysłach republikanów, że nie udało się go usunąć przez dwa pokolenia, i nawet w naszych

czasach ludzie starsi, pomimo oczywistości teoretycznego kształtu zagadnienia, nie potrafią pozbyć się pojęcia wyimaginowanego związku Kościoła Katolickiego z międzynarodowym spiskiem antydemokratycznym. Nad podtrzymaniem tego irracjonalnego, lecz bardzo realnego uczucia, pracują także wcale skutecznie ci, którzy – sprzeciwiając się teorii politycznym Rewolucji – nieustannie nazywają Kościół jej wiecznym i świętym przeciwnikiem.

Próba „dechrystianizacji” Francji skończyła się – jak powiedziałem – kompletną klęską. Kult publiczny został przywrócony, zawarty przez Napoleona konkordat wydawał się ustalać relacje na linii Kościół-państwo w sposób definitywny. Na naszych oczach został on wszakże rozwiązany; lecz oczy tego pokolenia, ani prawdopodobnie nawet następnego, nie zobaczą niestety rozwiązania tego wielkiego sporu – sporu dwóch potężnych energii intelektualnych, rozdzielonych nie mocą rozumu, ale skutkiem przemożnego wpływu jakże żywej – i jakże tragicznej – pamięci.

## KONIEC

---

[1]        Staralem się jak najlepiej oddać niedbały tok tego akapitu [wszystkie przypisy „pod cyfrą” pochodzą od tłumacza – tłumacz].

[2] \*        Nie musimy marnować czasu na tych, którzy gadają, że taka a taka forma rządu jest dobra ponieważ „działa”. Używanie podobnego języka świadczy o tym, że używającemu ewidentnie znudziło się myślenie. Bo co to znaczy „działać”, czyli dobrze funkcjonować, w jakiegokolwiek sferze? Osiągać właściwe tej sferze cele. Jaki jest cel istnienia państwa? Jeśli chodzi o dobrobyt materialny, to można dać sobie spokój z patriotyzmem, narodem, opinią publiczną i innymi rzeczami, które – jak bardzo dobrze wiemy – ludzie zawsze uważali i zawsze będą uważać za najważniejsze sprawy interesu publicznego. Jeśli zaś celem nie jest dobrobyt materialny, ale poczucie wolności politycznej i obywatelskie prawo reakcji na działania państwowe, mówić że jakaś instytucja „działa” choć pozornie sprzeciwia się demokracji to mówić tyle, że w takich a takich warunkach instytucja owa najpełniej realizuje demokratyczne cele. Innymi słowy, „obalanie” teorii demokratycznej przy pomocy przykładów „dobrze działających” instytucji niedemokratycznych jest zupełnie bez sensu. Wszelka instytucja publiczna „działa” na tyle, na ile udaje się jej zaspokoić fundamentalne

pragnienie polityczne, które demokracja idealna – gdyby dało się ją ustanowić – zaspokoiłaby w sposób zupełny i ostateczny. [wszystkie przypisy „pod gwiazdką” pochodzą od Autora – tłumacz].

[3] Aluzja do wiersza Walta Whitmana. Co ciekawe, GKC ten „epigram” bardzo się podobał.

[4] Tłumaczyłem bezpośrednio z angielskiego, acz z konsultacją z polskim przekładem Antoniego Peretiakowicza; można przypuszczać, że Belloc – mający do dzieła stosunek niezmiernie osobisty – upierałby się z furią (jak to on) przy pewnych niuansach, które starałem się niniejszym tutaj oddać.

[5] Ludwik Maria Jakub Almaryk, hrabia Narbonne (1755-1813) – francuski żołnierz i dyplomata, dowódca Gwardii Narodowej, zwolennik monarchii konstytucyjnej; służył i za Napoleona. Istotnie, większość swoich nominacji zawdzięczał protekcji znajomych.

[6] Karol Dumouriez (1739-1823) – generał francuski, zwycięzca spod Jemappes (6 listopada 1793), człowiek chwiejny. Początkowo należał do stronnictwa jakobinów, jednak później się rozmyślił i przeszedł na stronę Austriaków, wzywając żołnierzy do marszu na Paryż. Jeden z dowódców konfederacji barskiej. Przed insurekcją kościuszkowską spotkał się z Kościuszką, by potem przekazać plany powstania Prusakom.

[7] Józef Maria Lafayette (1757-1834) – francuski arystokrata, wojskowy, uczestnik i niezwykle ważna figura Rewolucji Amerykańskiej, Rewolucji Francuskiej i rewolucji lipcowej z 1830 roku (przypis z *Co widziałem w Ameryce* GKC).

[8] Honoriusz Gabriel Riqueti, hrabia Mirabeau (1749-91) – wpływowy polityk francuski, członek Stanów Generalnych i Zjednoczenia Narodowego, pisarz. Zwolennik silnej władzy królewskiej w ramach porządku konstytucyjnego, przeciwnik radykałów rewolucyjnych. Przez Belloc oceniany bardzo pozytywnie.

[9] Jakub Necker (1732-1804) – szwajcarski bankier i francuski minister finansów w latach 1777-81 i 1788, bazujący głównie na sprawnym zaciąganiu pożyczek; autor „Sprawozdania finansowego”, sporządzonego dla króla, które miało skutek dwojaki; po pierwsze rozbudziło w społeczeństwie francuskim zainteresowanie finansami dworu, po drugie – wściekłość (było kompletnie zafalszowane).

[10] Karol Aleksander Calonne (1734-1802) – minister finansów Francji, w latach 1786-87 próbujący przeprowadzić reformę podatkową i ogólnie gospodarczą, zakładającą m.in. opodatkowanie arystokracji i kleru, a także zmiany w podatkach pośrednich. Projekt został odrzucony, a Calonne zdymisjonowany, przez co ostatnia szansa na uratowanie budżetu prysła (powierzono to zadanie Neckerowi, ale on naprawę nie miał, zgodnie z sądem pana B., przesadnych sukcesów).

[11] Deklaracja wydana przez Karola Wilhelma Ferdynanda księcia Brunshwiku (1735-1806), naczelnego dowódcę sił sprzymierzonych (austriacko-pruskich, z dodatkiem księstw mniejszych, np. armii hanowerskiej), wzywająca naród francuski do odtworzenia ładu przedrewolucyjnego i grożąca konsekwencjami w razie jakichkolwiek działań przeciwko rodzinie królewskiej. Przyniosła, oczywiście, skutek odwrotny od zamierzonego.

[12] Maria Teresa Luiza de Savoie-Carignan (1749-92) – francuska arystokratka, przyjaciółka Marii Antoniny, ochmistrzyni dworu, nominowana z klucza wyłącznie osobistego, bez kompetencji czy wskazań praktycznych. Zabita podczas masakr wrześniowych w 1792 roku.

[13] Jolanta Martyna Gabriela de Polastron (1749-93) – francuska arystokratka, hrabina Polignac, intrygantka i niezwykle wpływowa postać Wersalu, w znacznej mierze zarządzająca Francją „z tylnego siedzenia” (w prawdziwym sensie tego słowa).

[14] Axel de Fersen (1755-1810) – szwedzki arystokrata, wojskowy, współpracował z armią francuską, m.in. w Ameryce Północnej. Istotnie, ukochany Marii Antoniny. Różnie się mówi o ich relacji, jednak jak zwykle wolę wierzyć panu B.

[15] Pasma wzgórz w północno-wschodniej Francji. Dumouriez faktycznie zdołał wymanewrować w Lesie Argońskim armię niemiecką.

[16] Bitwa pod Valmy – odbyła się 20 września 1792 roku. Wzięły w niej udział siły francuskie i pruskie, a zakończyła się ona zwycięstwem Francuzów (przypis ze *Zbrodni Anglii* GKC, więcej w dalszej części książki).

[17] Jan Sylwan Bailly (1736-93) – francuski astronom, matematyk, polityk, mason, aktywny uczestnik pierwszych lat Rewolucji (burmistrz Paryża w latach 1789-91), zgilotynowany podczas Wielkiego Terroru.

[18] Jan Antoni Mikołaj Caritat markiz de Condorzet (1743-94) – francuski filozof, matematyk, ekonomista, polityk, żyronzysta. Twórca oświeceniowej koncepcji postępu, liberał ekonomiczny, humanitarysta. Zgilotynowany podczas Wielkiego Terroru.

[19] Łazarz Mikołaj Margaryt Carnot (1753-1823) – francuski matematyk, inżynier, wojskowy, faktyczny organizator wojsk republiki, członek Komitetu Ocalenia Publicznego. Przez Belloc, co się za chwilę okaże, uznawany za faktycznego dyktatora Francji w okresie Wielkiego Terroru.

[20] Bitwa między siłami francuskimi a wojskami koalicji niemieckiej, mająca miejsce w dniach 15-16 października 1793. Zakończona walnym zwycięstwem Francuzów, zmusiła Niemców do odstąpienia od oblężenia Maubeuge i odwrotu.

[21] Bitwa między wojskami I koalicji (brytyjskimi i hanowerskimi) oraz armią francuską, mające miejsce w dniach 6-8 września 1793 roku, zakończona zwycięstwem Francuzów.

[22] Józef Fouché (1759-1820) – francuski polityk rewolucyjny, minister policji za Napoleona; za Rewolucji zwany „Katem Lyonu” (ze względu na krwawe stłumienie rebelii rojalistycznej w tym mieście). Człowiek umiejący w porę zmieniać strony, co jednak nie uchroniło go ostatecznie (choć bardzo się starał być przyjacielem nowego króla) przed karą dożywotniej banicji, na którą rojaliści skazali go w 1816.

[23] \* Istnieje bodaj jedna godna zaufania monografia o Maracie. Dla badacza Rewolucji będzie to przede wszystkim interesujące świadectwo tego, jak bardzo inspirująca do dziś może być ta postać. Autorem monografii tej jest Ch è vrement.

[24] Bernard Barrère (1755-1841) – polityk francuski, dziennikarz, wolnomularz, przez wielu rewolucjonistów oskarżany o cynizm i bezideowość.

[25] Ludwik de Saint-Just (1767-94) – francuski polityk rewolucyjny, radykał; pełnił wiele funkcji, w tym propagandysty wojskowego w nowo uformowanych armiach walczących z wojskiem niemieckim, gdzie zasłynął wielką osobistą odwagą. Nieprawdopodobnie uczciwy, ale i nieprawdopodobnie bezwzględny – postać fascynująca.

[26] Jan Bon de Saint-Andre (1749-1813) – francuski polityk rewolucyjny, w KOP odpowiedzialny za marynarkę.

[27] Historia sfalsyfikowała to zaraz po rewolucji październikowej; 3 listopada 1918 roku wzniesiono w Moskwie statuę upamiętniającą wielkiego Maksymiliana (ciekawe, że GKC odnosił się do niego znacznie, ale to znacznie cieplej, niż Belloc, co świadczy o poważnych różnicach temperamentalnych). Przetrwała siedem dni, i rozpadła się z przyczyn naturalnych; lubię myśleć, że była to interwencja Opatrzności.

[28] Belloc stosuje tutaj, zapewne w trosce o głowę czytelnika, angielski termin *the Commons*, co oddaje pisząc małymi literami, żeby nie mylić tego z izbą parlamentu angielskiego.

[29] Emanuel Józef Sieyes (1748-1836) – katolicki duchowny, opat, myśliciel polityczny, jedna z najważniejszych postaci Rewolucji (autor wspaniałego artykułu „Czym jest stan trzeci?”); potem oddany bonapartysta. Wielki demokrat w stylu iście Bellokowskim.

[30] Karol Ludwik Franciszek Barentin (1738-1819) – francuski arystokrata, polityk, strażnik pieczęci na dworze Ludwika, jeden z jego najbliższych doradców.

[31] Karol Filip Burbon (1757-1836) – brat Ludwika XVI, król Francji w latach 1824-1830.

[32] Ludwik Józef de Burbon, książę Condé (1736-1818) – francuski arystokrata, sybarta, organizator sił wojskowych emigracji.

[33] Franciszek Klaudiusz Amour, hrabia Bouillé (1739-1800) – generał francuski, postać znaczna, zdeklarowany rojalista i przeciwnik Rewolucji.

[34] Powinno być: „czwarta”.

[35] Jan Chrzyciel Drouet (1763-1824) – polityk rewolucyjny, żołnierz, słynny z decydującej roli, jaką odegrał w aresztowaniu Ludwika podczas jego ucieczki w 1791.

[36] Brutalne stłumienie manifestacji antyrojalistycznej przez GN; 17 lipca 1791 roku.

[37] Piotr Verganiaud (1753-93) – polityk francuski, żyronzysta, jak każdy żyronzysta mało zdecydowany i chwiejny; zwolennik twardego stanowiska wobec Kościoła. Zgilotynowany w czasie Wielkiego Terroru (czyli, jak już wiemy, *nie* „za Robespierre’a”, bo „Rewolucja nie znała okresu robespierre’owskiego”).

[38] Maksymin Isnard (1755-1825) – polityk francuski, żyronzysta, człowiek żyronzystyczny; za rewolucji ostatecznie antymonarchista, w okresie napoleońskim apologeta katolicyzmu i piewca Cesarstwa, w okresie restauracji zdeklarowany rojalista; życie miał stosunkowo miłe i spokojne, za wyjątkiem krótkiego czasu, gdy ukrywał się przed jakobinami.

[39] Jakub Paweł Brissot (1754-93) – francuski prawnik, filozof i polityk, antyklerykał. Bardzo ważny dla rozpętania wojny z Austrią. Zgilotynowany w czasie Wielkiego Terroru.

[40] Jan Maria Roland (1734-93) – francuski polityk, rewolucjonista, minister spraw wewnętrznych (1792). Popęłił samobójstwo na wieść o zgilotynowaniu żony; jego małżonka, Joanna Maria (1754-93), republikanka, podobno wywierała na męża znaczny wpływ polityczny. Razem tworzyli znaną we Francji parę.

[41] Z francuskiego: fédérés, członkowie Gwardii Narodowej popierający parlament przeciw królowi.

[42] \* Czytelnik powinien zawsze pamiętać, że dokładna liczba stanowi tutaj przedmiot wciąż żywej debaty. Ostatnie opracowania mówią o nie więcej, niż czterech tysiącach. Po szczegółowym zbadaniu



dostępnych dowodów z pełną odpowiedzialnością wszakże mogę stwierdzić, że garnizon pałacowy liczył właśnie sześć tysięcy mężczyzn.

[43] \* Legenda o rzekomej odpowiedzialności Dantona za masakry oparta jest na niedostatecznej podstawie dowodowej. Zwolennicy tej teorii zazwyczaj uciekają się do wątpliwych relacji z drugiej czy wręcz trzeciej ręki, ale dowód naczelny rzekomo stanowić ma tutaj słynny dokument podpisany przez ministra sprawiedliwości, który – jak dowiódł tego wystarczająco dobrze doktor Robinet [Jan Franciszek Eugeniusz {1825-99} – francuski psychiatra i historyk, badacz Rewolucji – wyd. tłum.] – spisany został przez jednego z jego podwładnych, i Danton nic o tym nie wiedział. Co do głębszych jeszcze opowieści, jakoby w mordzie brali udział słynni „federalni” z Marsylii, badacz Rewolucji nie powinien zupełnie zwracać sobie nimi głowy; zostały one do szczytu i w oparciu o niezbity materiał historyczny dosłownie zrównane z ziemią w znakomitej monografii Pollio i Marcela [Józef B. Pollio {1852-1930} – francuski biograf, dziennikarz, historyk; informacji o drugim z autorów nie udało mi się niestety odnaleźć; książka, o której mowa, ukazała się w 1881 roku – wyd. tłum.].

[44] W Antwerpii.

[45] Wieś we Flamandii. Starcie miało miejsce 18 marca 1793 i zakończyło się sromotną klęską Francuzów.

[46] Piotr Józef Cambon (1756-1820) – francuski polityk, finansista, jeden z autorów wielkiej restrukturyzacji francuskiego długu publicznego. Zaciekle antyklerykał, wielki przeciwnik Robespierre’a (wbrew temu, co się – z niewiadomych względów – utrzymuje, Wielki Jakobin nie był wcale wrogiem Kościoła – i to chyba przede wszystkim drażniło wielu jego przeciwników, Cambona na pewno).

[47] Maria Józef Chalier (1747-93) – francuski polityk rewolucyjny, przywódca frakcji jakobińskiej w Lyonie, wielki pogromca nadużyć gospodarczych i orędownik solidaryzmu społecznego (który wdrażał przy użyciu jeśli nie pancernej, to na pewno twardej pięści). Postać niezwykła.

[48] Franciszek Józef Westermann (1751-94) – francuski generał i polityk rewolucyjny, istotnie przyjaciel Dantona; po pierwszych porażkach w walce z Wandejczykami, zmiotł ich z powierzchni ziemi. Robił zawrotną karierę aż w 1794 roku, jako protegowany Dantona, skończył na gilotynie. No cóż – nie baw się zapalkami, jak nie masz znajomości w straży pożarnej.

[49] Jerzy Couthon (1755-94) – polityk rewolucyjny, jakobin, przeciwnik żyrondy; człowiek rozsądny.

[50] \* Na stronie 403 mojej monografii o Dantonie (Nisbet & Co., 1899) znajdzie czytelnik niepublikowany raport Komitetu Ocalenia Publicznego, sporządzony tuż przed klęską żyrondystów 31 maja 1793 roku. Jeśli czytać ów dokument w świetle innych działań Komitetu, stanowi on, moim zdaniem, przesądzający dowód na to, że komisarze faktycznie sprzymierzyli się z Paryżem.

[51] Kamil Desmoulins (1760-94) – dziennikarz, prawnik i polityk francuski, zwolennik Dantona, wielki radykał. Co ciekawe, przed śmiercią bronił przez Robespierre’a (oczywiście bezskutecznie), co zdaje się potwierdzać tezę pana B. w sprawie roli wielkiego jakobina w Komitecie. Miał facet odwagę – i naprawdę miał dowody!

[52] Jakub Rene Hébert (1757-94) – francuski dziennikarz i polityk, nieprawdopodobny radykał, antyklerykał zwany „psem na Kościół” i autor projektu „dechrystianizacji”. Wielki wróg Robespierre’a, którego nazywał bodaj „ślugusem klechów” (gdy ten oskarżył go o bandytyzm i dyskryminację katolicyzmu; tak to ujmował: „bandycka dechrystianizacja”).



[53] Elżbieta Bourbon (1764-94) – siostra Marii Antoniny, masonka.

[54] Augustyn Robespierre (1763-94).

[55] Filip Franciszek Józef (1762-94) – francuski polityk, rewolucjonista, jakobin.

[56] Bitwa francusko-austriacka, mająca miejsce 11 maja 1745, zakończona zwycięstwem Francuzów; skuteczność wojsk angielskich, a także szacunek z jakim odnosili się do przeciwników, stała się niemal przysłowiowa (opisywało ją wielu świadków epoki, w tym m.in. Wolter).

[57] Karol Maurycy de Talleyrand-Périgord (1754-1838) – francuski dyplomata, minister spraw zagranicznych, biskup Autun, ekskomunikowany w 1791 roku; wielki orędownik Rewolucji. Orędownik monarchii konstytucyjnej, bonapartysta, zwolennik ugody z państwami „Świętego Przymierza”.

[58] Franciszek markiz Bouill é (1739-1800) – francuski generał, rojalista, jeden z głównych orędowników ucieczki Ludwika; po jej niepowodzeniu uciekł na wygnanie. Wymieniany w „Marsyliance”.

[59] Deklaracja ogłoszona 27 sierpnia 1791 po konferencji w Pillnitz, w której Prusy i Austria zobowiązały się do przywrócenia we Francji starego porządku. Odczytana przez rewolucjonistów i społeczeństwo jako wypowiedzenie wojny.

[60] Wenzel Anton, książę Kaunitz (1711-94) – austriacki mąż stanu, dyplomata, polityk, przez lata prawa ręka cesarzy.

[61] Franciszek Krzysztof Kellerman (1735-1820) – generał, a później marszałek francuski, mason, człowiek chwiejny. Choć obsypany zaszczytami przez Napoleona, zdecydował się wesprzeć restaurację i czerpał z niej spore profity. Taka to postać.

[62] Fryderyk Józiasz książę Sakso-Coburg-Saafeld (1737-1815) – generał austriacki, postać prominentna; dowódca sił koalicji podczas kampanii w Niderlandach.

[63] Adam Filip de Custine (1740-93) – francuski generał, arystokrata, zginął na gilotynie, prawdopodobnie na skutek intryg agentury kontrewolucyjnej (która nigdy nie mogła wybaczyć mu „zdrady” starego porządku); z powodu imponującego wąsa (uwiecznionego przez malarzy) zyskał piękny przydomek „wąsaty”.

[64] Długa linia umocnień francuskich, wzniesiona w 1706 roku podczas wojny o sukcesję hiszpańską, rozciągające się od miejscowości Weissembourg do miejscowości Laterbourg. Do 1870 prawie zupełnie zniknęła.

[65] Dagobert Zygmunt von Wurmser (1724-97) – marszałek austriacki, dowódca wojsk Koalicji na froncie reńskim.

[66] August Maria de Dampierre (1756-93) – francuski arystokrata, wojskowy, generał. Zginął na skutek odniesionych ran (został trafiony w nogę kulą armatnią).

[67] Jan Mikołaj Houchard (1740-93) – francuski generał, zgilotynowany w okresie Wielkiego Terroru.

[68] Karol Edward Kilmaine (1751-99) – irlandzki wojskowy, działacz niepodległościowy, współpracownik Wolfe Tone’a; służbę w wojsku francuskim kontynuował za Napoleona I.

[69] \* Należy przy okazji zauważyć, jak bardzo prawdziwa jest teza, że jakoś wojskowa zależy od poziomu organizacji, a nie siły fizycznej żołnierzy; w czasie wojen napoleońskich, energia i szybkość oddziałów brytyjskich częstokroć osiągała szczyty, i być może największym wyczynem mniejszych formacji był marsz brygady lekkiej kawalerii, która przyszła Wellingtonowi w sukurs pod Talaverą.

[70] Henryk Wilhelm von Freytag (1720-98) – generał hanowerski.

[71] Pierre Marie Joseph Salomon Dumesny (1739-1803) – generał francuski, w 1793 roku wtrącony do więzienia uniknął gilotyny i doczekał naturalnego końca żywota.

[72] \* Nie mogę, gwoli uczciwości wobec czytelnika, pominąć milczeniem ogromnej liczby dzieł – od monografii Jominiego po klasyczne opracowania pana Fortescue na temat Armii Brytyjskiej – według których właściwą strategią postępowania byłoby dla sił koalicji ledwie zabezpieczyć fortece przygraniczne, potem zaś wypuścić na Paryż oddziały kawaleryjskie. Hipotezy historyczne zawsze mogą być co najwyżej kwestią opinii, przyznaję wszakże, że pogląd ten wydaje mi się skutkiem zlekceważenia – często spotykanego zresztą w badaniach historyków wojskowości, szczególnie zagranicznych – roli warunków społecznych roku 1793. Kawaleria to formacja bezwzględnie najsłabiej radząca sobie z rozproszonym, niezorganizowanym, lecz zaciekłym oporem cywili. Przejazd przez gęsto zaludnione okolice traktu paryskiego porównać można do szturm na nieufortyfikowane miasteczko – a przecież do tego, kawalerii nigdy się nie używa. W kwestii zaś, czy armia może prowadzić kampanię nie zadbawszy o bezpieczeństwo swych linii komunikacyjnych, nie trzeba w ogóle strzepić sobie języka; i raz jeszcze trzeba podkreślić, że gdyby Koalicja zdecydowała się na coś takiego, francuskie uderzenie z północy natychmiast odcięłoby jej żołnierzy od dostaw prowiantu i amunicji. Nie ma pewności, lecz można chyba założyć, że Coburg wiedział co robi przystępując do oblężenia ostatniej fortecy.

[73] Jan Chrzyciel Jourdan (1762-1833) – francuski oficer, generał, marszałek u Napoleona.

[74] Piotr Rafał de Beauregard (1734-99) – francuski oficer, generał; w 1793, za błędy pod Wattignies, skazany na karę 10 miesięcy więzienia. Brał przelotny udział w tłumieniu rebelii wandejskiej. W 1796 roku przeszedł na emeryturę.

[75] Łazarz Hoche (1768-97) – francuski generał, płomienny republikanin; stłumił powstanie rojalistyczne w Bretanii. Więziony krótko pod zarzutami zdrady stanu. W 1794, po uwolnieniu, w pojedynkę zakończył powstanie wandejskie.

[76] Jan Karol Pichegru (1761-1804) – generał francuski, który odegrał ogromną rolę w reorganizacji frontu reńskiego. Po reakcji termidoriańskiej przeszedł na stronę rojalistów, i brał udział w spiskach przeciw republice, zdradzając plany militarne wrogowi i świadomie sabotując działanie jej armii, w związku z czym w 1797 musiał salwować się ucieczką do Londynu. W 1803 przybył potajemnie do Paryża, by objąć dowództwo nad rojalistyczną rebelią przeciw Napoleonowi; wydany agentom wywiadu został aresztowany, po czym „powiesił się” w celi 28 lutego 1804 roku.

[77] Bitwa stoczona 14 czerwca 1800 roku między siłami francuskimi i austriackimi; zakończona zwycięstwem Francuzów, stanowiła zwieńczenie kampanii włoskiej, ostatecznie pieczętując tryumf Napoleona.

[78] Franciszek Sebastian de Clerfayt (1733-98) – Walończyk, generał w służbie cesarza.

[79] Karol Ludwik Habsburg (1771-1847) – następca tronu Cesarstwa, teoretyk wojskowości, generał, potem marszałek wojsk austriackich. Dowodził pod Wagram, gdzie został ciężko ranny.

[80] Jan Emerich Edward Dalberg-Acton (1834-1902) – polityk angielski, myśliciel, liberał, teoretyk i historyk wolności politycznej. Katolik. Aktywny także w życiu Kościoła, do końca życia nie mógł pogodzić się z dogmatem o nieomylności papieża. Zmarł w Monachium.

[81] Franciszek Seweryn Marceau (1769-96) – francuski generał rewolucyjny, w bitwie pod Fleurus zginął pod nim koń. On sam zginął od ran wojennych w 1796.

[82] Ryszard Howe (1726-99) – angielski admirał, polityk, szlachcic. W marynarce służył od 1740.

[83] \* Opinia owa zagościła w tak wielu protestanckich i ogólnie niekatolickich książkach poświęconych Rewolucji, że warto skrytykować ją raz jeszcze w tym niewielkim dziele. Król miał pełną swobodę przyjmować Komunię z rąk prawowiernych kapłanów, przyjmował ją, i to w porach nakazanych przez Kościół. Wyjazd z Paryża do Saint-Cloud 18 kwietnia 1791 nie miał zasadniczo przyczyny religijnej, poza *obyczajem* (czyli nie religijnym obowiązkiem) publicznego komunikowania w Wielką Niedzielę; chodziło zatem głównie o kwestię polityczną [przyp. Belloc].

[84] Marguerite-Elie Gaudet (1758-94) – francuski prawnik, żyronzysta, zwolennik reform, ale przeciwnik zbrojnego obalenia monarchii. Zgilotynowany podczas Rządów Terroru.

[85] Piotr-Wiktoryn Verginiaud (1753-93) – francuski działacz rewolucyjny, żyronzysta, przeciwnik eskalacji przemocy i polityki jacobinśkiej. Zgilotynowany podczas Rządów Terroru.

[86] Teobald Dillon (1745-92) – irlandzki generał wojsk francuskich, zamordowany przez własnych żołnierzy w okolicy miasta Lille po porażce pod Marquain (29 kwietnia 1792).

[87] Dzień zbrojnego obalenia monarchii.

# Table of Contents

rewolucja francuska wsadowy.docx

Słowo od tłumacza

Wstęp

Rozdział I – Polityczna teoria Rewolucji

Rozdział II – Rousseau

Rozdział III – Postaci

Ludwik XVI

Królowa

Mirabeau

La Fayette

Dumouriez

Danton

Carnot

Marat

Robespierre

Rozdział IV – Fazy

I – Od maja do 17 lipca 1789

II – Od 17 lipca do 6 października 1789

III – Od października 1789 do czerwca 1791

IV – Od lipca 1791 do września 1792

V – Od początków inwazji (września 1792) do ustanowienia  
Komitetu Ocalenia Publicznego w kwietniu 1793

VI – Od kwietnia 1793 do lipca 1794

Rozdział V – Aspekt militarny

Etap pierwszy

Etap drugi

Etap trzeci

Etap czwarty

Etap piąty

Rozdział VI – Rewolucja i Kościół Katolicki